

MRO CZNA  
SERIA

HELP

ARNALDUR  
INDRIÐASON

TERMA

ARNALDUR  
INDRIÐASON

# **HIPOTERMIA**

przełożył Jacek Godek

Tytuł oryginału: *Harðskafi*

Copyright © Arnaldur Indriðason, 2007

Published by agreement with Forlagið, forlagid.is

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Jacek Godek, MMXVI

Wydanie I

Warszawa

# Spis treści

## Motto

\*\*\*

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

*Starszy brat wylizał się z odmrożeń, ale od tego czasu zamknął się w sobie  
i zawsze był przygaszony.*

*Tragedia na wrzosowisku Eskifjardarheidi*

\*\*\*

Pogrzeb odbył się jakby poza świadomością Marii. Siedziała otepiąta w pierwszej ławce, trzymając Baldvina za rękę, nie całkiem świadoma otoczenia czy ceremonii. Kazanie pastora, ludzie przybyli na pogrzeb i śpiew niedużego chóru złąły się w jeden żałobny skowyt. Pani pastor odwiedziła ich i wypytała o wszystko, tak że Maria znała treść mowy. Traktowała głównie o karierze naukowej Leonory, jej matki, odwadze, jaką okazała w walce z nieproszonym gościem, o licznych gronie przyjaciół, jakich zebrała, idąc przez życie, o niej – jedynaczce, która w pewnym sensie poszła w ślady matki. Pani pastor wspomniała, jak bardzo wybiła się w swojej dziedzinie i jak dbała o swoich przyjaciół, o czym najlepiej świadczy liczba żałobników w ten smutny, jesienny dzień. Większość zgromadzonych w kościele stanowili ludzie związani z uniwersytetem. Leonora czasem mówiła Marii, że to wielki dar należeć do klasy wykształciuchów. W jej słowach kryła się pewna arogancja, której Maria wolała nie zauważać.

Pamiętała jesiennie barwy cmentarza i zamarznięte kałuże na szutrowej alejce prowadzącej do grobu, trzask kruchego lodu pękającego pod ciężarem żałobników. Pamiętała chłód i znak krzyża uczyniony nad trumną. Jak tylko stało się jasne, że matka umrze na tę chorobę, wiele razy myślała o tej chwili. Teraz nadeszła. Maria patrzyła na trumnę w grobie i nim przeżegnała się, zmówiła w myślach krótką modlitwę. A potem stała bez ruchu nad grobem, dopóki Baldwin jej nie zabrał.

Pamiętała ludzi na stypie, którzy podchodzili do niej, by złożyć kondolencje. Niektórzy proponowali wsparcie. Gdyby było coś, co mogą dla niej zrobić.

Zanim wszystko ucichło i została sam na sam z sobą w ciemną noc, nie myślała o jeziorze. Nie myślała o nim, zanim wszystko nie przebrzmiało i umysł nie zaczął rozpamiętywać wydarzeń tamtego bolesnego dnia. Rodzina ze strony ojca nie zjawiała się na pogrzebie.

Tuż po północy zadzwonił telefon alarmowy. W słuchawce odezwał się nerwowy głos kobiety:

- Ona... Maria targnęła się na swoje życie... ja... to okropne... okropne!
- Jak ma pani na imię? – zapytał dyżurny.
- Ka... Karen.
- Skąd pani dzwoni?
- Jestem w... to jest... jej domek letniskowy...
- Gdzie? Gdzie to jest?
- Nad jeziorem Thingvallavatn. W... w jej domku letniskowym. Szybko....

Ja... będę tu...

Karen myślała, że nie znajdzie tego domku. Dużo czasu minęło od jej ostatniej wizyty, prawie cztery lata. Dla pewności Maria udzieliła jej dokładnych wskazówek, ale te wleciały jednym uchem, a wyleciały drugim, bo była przekonana, że pamięta drogę.

Wyjechała z Reykjavíku prawie o dziewiątej wieczorem, było ciemno. Przejechała Mosfellsheidi, ruch panował niewielki, pojedyncze światła mijaly ją po drodze. Jeszcze tylko jeden samochód jechał na wschód, przykleiła się więc do tylnych świateł zadowolona z towarzystwa. Męczyła ją samotna jazda w ciemności i gdyby coś Karen nie zatrzymało, wyjechałaby wcześniej. Pracowała jako rzeczniczka dużego banku i akurat nastąpił wysyp zebrań i telefonów.

Minęła Grimannsfell po prawej stronie, choć samej góry nie widziała, i Skalafell po lewej. Minęła zjazd do Vindashlid, gdzie jako dziecko spędziła dwutygodniowe wakacje. Z bezpieczną prędkością goniła czerwone światła, dopóki nie dojechali do pola lawy Kerlingarhraun. Tam rozdzieliły się ich drogi. Czerwone światła przyspieszyły i znikły w mroku. Pomyślała sobie, że może podążają do górskich grzbietów Uxahryggjar i dalej na północ, do Kaldidalur. Często jeździła tą drogą, pamiętała piękne widoki podczas wyjazdu z Lúndarreykjadalur i zjeżdżie nad Borgarfjörður. To wywołało wspomnienia cudownego letniego dnia nad jeziorem Sandklúftavatn.

Sama skręciła w prawo i wjechała wprost w mroki Thingvellir. Trudno było się jej zorientować w ciemności. Czyżby przegapiła skręt? Czy to właściwy zjazd nad jezioro? A może następny? Zajechała za daleko?

Dwukrotnie się zapędziła i musiała zawracać. Był czwartkowy wieczór



i większość domków stała pusta. Zabrała z sobą prowiant i książki, a Maria powiedziała jej, że od niedawna jest telewizor. Ale Karen najbardziej chciała się wyspać i odpocząć. Po ostatniej próbie przejęcia bank przypominał dom wariatów. Przestała rozumieć zmagania dużych udziałowców zakładających sojusze przeciw innym. Co dwie godziny wydawano nowe oświadczenie, a sprawę pogorszyła jeszcze informacja o tym, że zawarto porozumienie w sprawie odejścia na emeryturę jednego z prezesów, którego jedna ze stron chciała się pozbyć, gwarantując mu odprawę w wysokości setek milionów koron. Zarząd banku sprowadził na siebie gniew ludu i Karen musiała temu przeciwdziałać. Tak to wyglądało w ostatnich tygodniach, a ona miała już naprawdę dość. Stąd pomysł, aby uciec z miasta. Maria nie raz proponowała jej domek na kilka dni, więc postanowiła do niej zadzwonić. „Oczywiście”, odpowiedziała Maria.

Karen wolno jechała gruntową drogą wśród niskiej roślinności, dopóki światła samochodu nie padły na domek nad jeziorem. Maria dała jej klucz i powiedziała, gdzie znajduje się zapasowy. Czasem dobrze jest schować zapasowy klucz w pobliżu.

Marzyła o tym, by obudzić się następnego dnia wśród jesiennych barw Thingvellir. Karen pamiętała, że jesienią zawsze ogłaszano specjalne wycieczki jesienne do parku narodowego. Jesienne kolory w niewielu miejscach bywają piękniejsze niż nad jeziorem, gdzie rdzawe i pomarańczowe barwy umierającej roślinności rozciągają się jak okiem sięgnąć.

Zaczęła wnosić bagaże z auta i stawiała je na tarasie. Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i wymacała włącznik. Rozbłysło światło na korytarzu do kuchni. Weszła z niewielką torbą podróżną i zaniósła ją do sypialni małżeńskiej. Zdziwiła się, że łóżko nie jest pościelone. To było niepodobne do Marii. Na podłodze w ubikacji leżał ręcznik. Zapaliła światło w kuchni i poczuła coś dziwnego. Nie bała się ciemności, ale nagle zrobiło jej się nieswojo. Salon tonął w ciemności z pięknym widokiem na jezioro.

Zapaliła światło.

Cztery solidne belki podpierały sufit i z jednej zwisało ludzkie ciało zwrócone do Karen tyłem.

Tak się wystraszyła, że odskoczyła gwałtownie. Uderzyła głową w boazerię. Pociemniało jej przed oczami. Ciało zwisało z belki na cienkiej, niebieskiej linie i odbijało się w ciemnym oknie salonu. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim odważyła się podejść bliżej. Spokojna okolica jeziora nagle zmieniła się w scenę jak z horroru, której nigdy nie zapomni. Karen

zapamiętała każdy szczegół. Taboret z kuchni, obcy element w salonie, przewrócony pod wiszącym ciałem. Niebieski kolor sznura. Odbicie w oknie. Ciemność Thingvellir. Nieruchome ciało pod belką.

Ostrożnie zbliżyła się i spojrzała w siną, nabrzmiąłą twarz. Złe przeczucie potwierdziło się. To była jej przyjaciółka. Maria.

Według Karen dziwnie mało czasu upłynęło od momentu, gdy zadzwoniła na telefon alarmowy, do chwili, kiedy na miejsce przybyli policjanci z Selfoss. Sprawa leżała w gestii policji z tego miasteczka, a funkcjonariusze wiedzieli jedynie, że samobójczyni była mieszkanką Reykjavíku, zamieszkałą w Grafarvogur, zamężną i bezdzietną.

W domku przybysze rozmawiali półgłosem. Znaleźli się w niezręcznej sytuacji w nieznannej daczce, gdzie wydarzyła się tragedia.

– To pani dzwoniła? – spytał młody funkcjonariusz.

Ktoś mu wcześniej wskazał kobietę, która znalazła zwłoki, a teraz siedziała skulona w kuchni, wbijając wzrok w podłogę.

– Tak. Na imię mam Karen.

– Możemy sprowadzić tu psychologa, jeśli...

– Nie, myślę że... w porządku.

– Dobrze ją pani znała?

– Znałyśmy się z Marią od dziecka. Wynajęła mi domek. Chciałam tu odpocząć przez weekend.

– Nie zauważyła pani jej samochodu za domkiem? – dociekał funkcjonariusz.

– Nie. Sądziłam, że nikogo tu nie ma. Potem zauważyłam, że łóżko nie jest pościelone, a kiedy weszłam do salonu... Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Biedna Maria! Biedna dziewczyna!

– Kiedy z nią pani rozmawiała?

– Kilka dni temu. Kiedy dawała mi klucze.

– Mówiła, że tu będzie?

– Nie. Nic na ten temat nie wspominała. Powiedziała, że mogę pomieszkać tu kilka dni. Że to żaden problem.

– A czuła się... zdrowa?

– Tak, wydaje mi się że tak. Kiedy odbierałam klucze, zachowywała się jak zwykle.

– Wiedziała, że pani przyjedzie?

– Tak. A czemu pan pyta?

– Wiedziała, że ją pani znajdzie – podsumował policjant.

W trakcie rozmowy przysunął sobie taboret i usiadł obok. Chwyła go za ramię i wbiła weń wzrok.

– Chce pan powiedzieć, że...?

– Niewykluczone, że miała pani ją znaleźć – odparł mundurowy. – Chociaż nic o tym nie wiadomo.

– Dlaczego miałyby chcieć, żebym ją znalazła?

– To tylko domysł.

– Ale to prawda, wiedziała, że będę tu przez weekend. Wiedziała, że tu przyjadę. Kiedy... kiedy ona to zrobiła?

– Tego jeszcze nie wiemy, ale lekarz sądzi, że nie wydarzyło się to później niż wczoraj wieczorem. Minęła może doba.

Karen ukryła twarz w dłoniach.

– Boże, to takie... nierzeczywiste. Nie powinnam była prosić jej o ten domek. Rozmawialiście z jej mężem?

– Właśnie do niego jadą. Mieszkają w Grafarvogur, prawda?

– Tak. Jak ona mogła sobie coś takiego zrobić? Jak w ogóle można coś takiego robić?

– Trzeba być bardzo zdesperowanym – odpowiedział policjant i skinął na lekarza. – Rozdartym wewnątrz. Nie zauważyła pani u niej nic takiego?

– Dwa lata temu straciła matkę – wyjaśniła Karen. – To był dla niej straszny szok. Zmarła na raka.

– Rozumiem – odparł funkcjonariusz.

Karen była załamana. Policjant spytał ją, czy lekarz nie mógłby jakoś pomóc. Pokręciła głową i zapewniła, że nic jej nie jest, chce tylko wrócić do domu, jeśli może. To było oczywiste. Porozmawiają z nią później, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Funkcjonariusz odprowadził ją na podwórko przed domem i otworzył drzwi auta.

– Na pewno nic pani nie będzie? – spytał.

– Nie, raczej nie – zapewniła go Karen. – Dziękuję.

Policjant obserwował, jak zawraca i odjeżdża. Kiedy wrócił do domku, ciało już zdjęto i położono na podłodze. Ukląkł obok. Kobieta miała na sobie biały T-shirt i niebieskie dżinsy, była bez skarpetek. Miała ciemne, krótkie włosy, drobną twarz, szczupłą sylwetkę. Nie zauważył żadnych oznak walki ani na jej ciele, ani w domu, poza wywróconym stołkiem, z którego kobieta skorzystała, mocując sznur do belki. Niebieską linę można kupić w każdym sklepie budowlanym. Pętla wcięła się głęboko w szczupłą szyję.

– Niedobór tlenu – oznajmił lekarz, rozmawiając z sanitariuszami. – Kręgi szyjne nie zostały zerwane. Skonałaby szybciej. Dusila się, kiedy sznur zaciskał się wokół szyi. Trochę to mogło trwać. Pytają, kiedy mogą ją zabrać.

- Jak długo konała? – zapytał policjant.
- Dwie minuty, może krócej. Zanim straciła przytomność.

Policjant wstał i rozejrzył się po domku. To był zwyczajny islandzki domek letniskowy. Salon ze skórzanym kompletem wypoczynkowym, w jadalni solidny stół, wyposażenie kuchni wyglądało na dość nowe. Salon wypełniały regały z książkami. Podszedł do jednego z nich i zauważył brązowe skórzane grzbiety pięciu tomów *Opowieści gminnych* Jona Arnasona. Opowieści o duchach, pomyślał. Inne półki zajmowała literatura francuska, powieści islandzkie, między nimi bibeloty, porcelanowe czy gliniane, i zdjęcia w ramkach: trzy przedstawiające tę samą kobietę w różnym wieku, jak się zdawało na pierwszy rzut oka. Na ścianach wisiały grafiki, niewielkie obrazy olejne i akwarele.

Funkcjonariusz udał się do sypialni. Po jednej stronie pościel była rozkopana. Na stoliku nocnym leżały książki. Na wierzchu tomik wierszy Davida Stefanssona z Fagraskogur. Obok niewielki flakonik perfum.

Jego przechadzka po domu nie wynikała wcale z ciekawości. Szukał śladów walki, jakichś wskazówek mogących świadczyć o tym, że kobieta nie poszła do kuchni po stołek z własnej woli, nie z własnej woli podstawiła go pod belkę, stanęła na nim i nałożyła pętlę na szyję. Ale jedyne, co stwierdził, to to, że była to bardzo cicha śmierć, bez mała kulturalna.

Kolega z policji w Selfoss zakłócił mu te rozważania.

- Masz coś? – zapytał.
- Nic. To samobójstwo. Czyste i jasne. Nic nie wskazuje, aby było inaczej. Targnęła się na swoje życie.
- Na to wygląda.
- Odciąć sznur z belki, zanim się stąd zabierzemy? Ta kobieta ma męża?
- Odetnij. Ma, musi tu przyjechać.

Policjant podniósł sznur z podłogi i obracał go między palcami. Pętla nie została zrobiona fachowo, luźna, węzeł zupełnie amatorski. Pomyślał, że sam lepszy by zrobił, ale przecież niepodobna oczekiwać, aby kobieta z Grafarvogur skonstruowała doskonałe narzędzie samobójcze. Przecież nie studiowała tego i nie przygotowała samobójstwa w szczegółach. Działała raczej pod wpływem impulsu niż według jakiegoś precyzyjnie ustalonego planu.

Otworzył drzwi na taras. Prowadziły zeń dwa schodki, a dalej było tylko kilka kroków do jeziora. Od kilku dni przy brzegu trzymał mróz – wodę pokrył cienki lód. Gdzieniegdzie jednak był solidniejszy i pod grubszą warstwą chlupotała woda.

Erlendur podjechał pod zwykły dom jednorodzinny w dzielnicy Grafarvogur. Dom stał na końcu ślepej, acz pięknej uliczki. W większości domy były do siebie bardzo podobne, pomalowane na biało, niebiesko lub czerwono, z garażami, dwa samochody przed każdym numerem. Uliczka była oświetlona i schludna, ogrody dobrze utrzymane, trawa skoszona, a drzewa i krzewy przycięte. Gdziekolwiek spojrzeć – wszędzie prostokątne żywopłoty. Domek wydawał się starszy od innych przy tej uliczce, był w innym stylu, żadnych okien weneckich czy pretensjonalnych kolumn przy wejściu, żadnych altanek ogrodowych. Dom z płaskim dachem i wielkim oknem w salonie, wychodzącym na Kollafjörður i górę Esja, pomalowany był na biało. Duży, dobrze oświetlony ogród, o który najwyraźniej troskliwie dbano, okalał budynek. Pięciornik krzewiasty i alpejski, różanecznik i fiołek ogrodowy obumarły wraz z nadejściem jesieni.

Uczucie przenikliwego zimna potęgował suchy, lodowaty wiatr z północy, który nawiewał liście na koniec ślepej uliczki. Erlendur zaparkował i podniósł wzrok ku dachowi. Wziął głęboki oddech, zanim wszedł do środka. To już drugie samobójstwo w tym tygodniu. Może to jesień i nadciągająca długa, ciemna zima?

Ktoś z policji w Reykjavíku musiał skontaktować się z mężem i padło na niego. Ci w Selfoss natychmiast postanowili odesłać sprawę do stolicy w celu należytego zachowania procedur, jak to określono. Do męża wysłano także pastora. Kiedy zjawił się Erlendur, siedzieli w kuchni. Wielebny otworzył mu i wprowadził Erlendura do środka. Przedstawił się jako pastor zboru w Grafarvogur; Maria uczęszczała na msze gdzie indziej, ale nie udało się skontaktować z jej ministrem.

Mąż siedział bez ruchu przy stole kuchennym w białej koszuli i dżinsach, był szczupły i silnie zbudowany. Erlendur się przedstawił, podali sobie ręce. Mężczyzna miał na imię Baldvin. Pastor stanął przy drzwiach kuchennych.

– Będę musiał pojechać do domku – stwierdził Baldvin.

– Tak, ciało... – zaczął Erlendur, ale nie dane mu było skończyć.

– Mówiono mi, że... – zaczął Baldvin.

– Pojedziemy tam z panem, jeśli pan chce. Ale ciało zostało przewiezione do Reykjavíku. Do kostnicy przy Baronsstigur. Pomyśleliśmy, że wolałby pan, aby tam się znalazło niż w szpitalu w Selfoss.

– Dziękuję.

– Musi pan ją zidentyfikować.

– Jasne. Oczywiście.

– Czy była sama w Thingvellir?

– Tak, dwa dni temu pojechała tam popracować i dziś wieczorem miała wrócić. Powiedziała, że przyjedzie późno. A na weekend udostępniła domek swojej przyjaciółce. W każdym razie tak mi powiedziała. Że może na nią zaczeka.

– To jej przyjaciółka Karen ją tam znalazła. Zna ją pan?

– Tak.

– Pan był tu w domu?

– Tak.

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan z żoną?

– Wczoraj wieczorem. Zanim położyła się spać. Miała z sobą swoją komórkę.

– To dzisiaj pan nie miał z nią kontaktu?

– Nie, żadnego.

– Nie czekała na pański przyjazd?

– Nie. Weekend mieliśmy spędzić w mieście.

– Ale dziś wieczorem spodziewała się swojej przyjaciółki?

– Tak, o ile dobrze zrozumiałem. Wielebny powiedział mi, że Maria... zrobiła to wczoraj wieczorem?

– Lekarz musi dopiero określić czas zgonu.

Baldvin milczał.

– Próbowwała zrobić to już wcześniej? – spytał Erlendur.

– To? Samobójstwo? Nie. Nigdy.

– Czy miał pan jakieś sygnały, że żona może źle się czuć?

– Była trochę przygnębiona i ponura – przyznał Baldvin. – Ale nie na tyle, żeby... to nie...

Rozplakał się.

Pastor spojrzał na Erlendura i dał znać, że to na razie wystarczy.

– Przepraszam – powiedział Erlendur i wstał od stołu. – Porozmawiamy lepiej później. Chce pan zadzwonić do kogoś, kto mógłby z panem zostać? A może sprowadzić pomoc psychologiczną? Może...

– Nie, to... dziękuję.

Wychodząc, Erlendur przeszedł przez salon z wielkimi regałami. Podjeżdżając, przed garażem zauważył okazalego dżipa.

Po co umierać, mając taki dom, pomyślał sobie, czy naprawdę nie ma tu

nic, dla czego warto by żyć?

Wiedział, że takie rozważania są całkiem bez sensu. Doświadczenie mówi, że samobójstwa mogą być nieprzewidywalne i niezależne od statusu majątkowego. Potrafią kompletnie zaskoczyć. Zdarzają się wśród ludzi w każdym wieku: młodych, dorosłych, starszych. Po prostu któregoś dnia ktoś postanawia skrócić sobie życie. Czasami początek to długa historia depresji i nieudanych prób. W innych wypadkach taki czyn zupełnie zaskakuje rodzinę i przyjaciół. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, że on się tak podle czuł. Nigdy nic o tym nie wspominała. Skąd mieliśmy o tym wiedzieć? Krewni pozostawali pogrążeni w żalu, zaskoczeni, niedowierzający, przerażonym głosem zadający pytania: dlaczego? Czy mogłem to przewidzieć? Co mogłem zrobić lepiej?

Mężczyzna odprowadził Erlendura do drzwi.

– Podobno niedawno straciła matkę?

– Tak, to prawda.

– Jej śmierć duży miała wpływ na Marię?

– To był dla niej duży szok – wyjaśnił mąż. – Ale przecież to zupełnie niezrozumiałe. Mimo że ostatnio była przygnębiona, jest to zupełnie niezrozumiałe.

– Oczywiście – zgodził się Erlendur.

– Wam oczywiście takie przypadki są znane? – zainteresował się Baldwin. – Samobójstwa?

– To się raz na jakiś czas zdarza – przytaknął Erlendur. – Niestety.

– Czy ona... cierpiała?

– Nie – odpowiedział komisarz stanowczo. – Nie cierpiała.

– Jestem lekarzem – powiedział Baldwin. – Nie musi mnie pan okłamywać.

– Nie okłamuję – zaprzeczył policjant.

– Od dłuższego czasu była jakaś przybita – zaczął Baldwin. – Ale nic z tym nie robiła. Może powinna. Może ja powinienem bardziej zainteresować się, przez co przechodzi. Ona była bardzo blisko z matką. Trudno było jej się pogodzić z jej śmiercią. Leonora miała dopiero sześćdziesiąt pięć lat, zmarła w kwiecie wieku. Na raka. Maria się nią opiekowała i nie jestem pewien, czy udało jej się dojść do siebie po śmierci matki. Była jedynym dzieckiem Leonory.

– Wyobrażam sobie, że ciężko sobie z tym poradzić.

– Trudno jest postawić się na miejscu Marii – powiedział Baldwin.

– Tak, oczywiście – odparł Erlendur. – A jej ojciec?

– Nie żyje.



– Była wierząca? – spytał Erlendur, spoglądając na figurkę Jezusa na komodzie w przedpokoju. Obok leżała Biblia.

– Tak, bardzo – przyznał mężczyzna. – Chodziła do kościoła. Była o wiele bardziej religijna niż ja. I z wiekiem to narastało.

– Pan nie jest wierzący?

– Nie powiedziałbym.

Baldvin ciężko westchnął.

– To... to jest takie nierzeczywiste, proszę wybaczyć, ja...

– Tak, przepraszam – uspokoił go Erlendur. – Już skończyliśmy.

– To pojedę na Baronsstigur.

– Dobrze. Anatomopatolog musi ją zbadać. Zawsze tak postępujemy w podobnych przypadkach.

– Rozumiem – przytaknął Baldvin.

Za chwilę dom opustoszał. Erlendur pojechał w ślad za pastorem i Baldvinem. Ruszając, zerknął w lusterko wsteczne i odniósł wrażenie, że zasłony w salonie się poruszyły. Nadepnął na hamulec i długo obserwował okno w lusterku. Nie zauważył żadnego ruchu i na- brał przekonania, że przywidziało mu się. Zdjął nogę z hamulca i odjechał.

*Przez pierwsze tygodnie i miesiące po zgonie Leonory Maria nie miała ochoty spotykać się z ludźmi. Nie chciała wizyt, przestała odbierać telefony. Baldvin wziął dwa tygodnie urlopu w pracy, ale im więcej chciał dla Marii zrobić, tym bardziej stanowczo żądała, by ją zostawił w spokoju. Załatwił jej leki na otępienie i depresję, ale nie chciała ich brać. Znał psychiatrę, który gotów był się z nią spotkać, ale nie wyraziła ochoty. Powiedziała, że sama upora się ze swoją żałobą. Że to nie stanie się natychmiast, a on musi być cierpliwy. Już kiedyś musiała sobie z tym poradzić i teraz też da radę.*

*Wiedziała, co to lęk, depresja, brak łaknienia i utrata wagi, znała uczucie duchowego paraliżu, które pozbawiało ją sił i zainteresowania czymkolwiek, co dotyczyło czegoś innego niż jej prywatny świat smutku. Nikogo do tego świata nie wpuszczała. To samo przeżywała, kiedy zmarł jej ojciec. Ale wtedy miała matkę, która ją mocno wspierała. Przez pierwsze lata od jego śmierci Marii bezustannie śnił się ojciec, a większość z tych snów to były koszmary, które nie chciały jej opuścić. Cierpiała na halucynacje. Tak wyraziście jej się objawiał, że czasem myślała, iż jeszcze żyje. Że nie umarł. Nawet na jawie czuła jego bliskość, ba, czuła zapach jego cygar. Niekiedy miała wrażenie, że stoi obok niej i śledzi każdy jej ruch. Była jeszcze dzieckiem i myślała, że on przybywa do niej z innego świata.*

*Jej matka, Leonora, była realistką i uspokajała ją, że te zwidy, które jej się*

zdarzają, dźwięki, które słyszy, zapach, który czuje, to naturalna reakcja żałobna, reakcja na śmierć ojca. Byli sobie bardzo bliscy i jego śmierć stanowiła dla niej tak wielki wstrząs, że jej wewnętrzne ja wywoływało jego obraz; czasem całą postać, a czasem zapach z nim się kojarzący. Leonora nazywała to wewnętrznym okiem, które było władne rozpaść życie w wyobraźni Marii, wstrząs ten uczynił ją wrażliwą, a jej uczucia delikatnymi i kruchymi, i wywołał nienaturalne odczucia, które z czasem ustąpią.

– A co, jeśli to nie było wewnętrzne oko, o którym zawsze mówiłaś? Co jeśli to, co wiedziałam, kiedy umarł tata, leżało na granicy dwóch światów? Co, jeśli mnie nawiedzał? Chciał mi coś powiedzieć?

Maria siedziała na łóżku matki. Od kiedy stało się jasne, że los Leonory jest przesądzony, otwarcie rozmawiały o śmierci.

– Przeczytałam już wszystkie te książki o świetle i tunelu, które mi przyniosłaś – powiedziała Leonora. – Może i jest coś w tym, co ludzie powiadają. O tunelu do wieczności. Wiecznego życia. Ale szybko się o tym przekonam.

– Jest tyle wyrazistych relacji – odpowiedziała Maria. – O ludziach, którzy umarli i wrócili. O sąsiedztwie śmierci. O życiu po śmierci.

– Tak często o tym rozmawialiśmy...

– A dlaczego nie miałyby być prawdziwe? Niektóre z nich?

Leonora patrzyła spod półprzymkniętych powiek na córkę, która załamana siedziała obok niej. Choroba wywarła dużo większy wpływ na Marię niż na nią. Ciężąca na niej śmierć była dla Marii nieznośna. Kiedy Leonora odejdzie, Maria zostanie sama.

– Nie wierzę w nie, bo jestem realistką.

Siedziały i długo milczały. Maria spuściła głowę, a Leonora co rusz zapadała w drzemkę, umęczona dwuletnią walką z rakiem, który właśnie ją pokonał.

– Dam ci znak – szepnęła i uniosła lekko powieki.

– Znak?

Leonora uśmiechnęła się boleśnie, będąc pod wpływem silnych środków farmakologicznych.

– Niech to będzie coś... prostego.

– Co? – spytała Maria.

– To musi być... musi być coś namacalnego. To nie może być sen ani jakieś nieokreślone odczucie.

– Mówisz, że mi dasz znak z zaświatów?

Leonora skinęła głową.

– A czemu nie? Jeśli to jest coś więcej niż tylko fantazja. Życie po życiu.

– Jak?

*Leonora sprawiała wrażenie śpiącej.*

*– Wiesz... jakie mam gusta... literackie.*

*– Proust.*

*– To... to będzie... obserwuj bacznie...*

*Leonora dotknęła ręki córki.*

*– Proust. – Westchnęła umęczona i wreszcie zasnęła. Wieczorem zapadła w śpiączkę. Kilka dni później umarła, nie obudziwszy się.*

*Trzy miesiące po pogrzebie Leonory Maria zbudziła się w środku poranka i wyszła z sypialni. Baldwin wcześniej rano wyjeżdżał do pracy, a ona zostawała sama w domu. Była słaba i zmęczona ciężkimi snami i długotrwałym brakiem dobrego samopoczucia, stres ją wykańczał. Chciała pójść do kuchni, kiedy nagle poczuła, że nie jest sama w domu.*

*Z początku myślała, że to włamywacz. Rozejrzała się wokół z lękiem. Zawołała, czy ktoś tam jest – to powinno skłonić złodzieja do ucieczki.*

*Zamarła, gdy nagle poczuła słabą woń perfum, których używała jej matka.*

*Maria patrzyła przed siebie i w ciemnym salonie zauważyła Leonorę stojącą przy regałach. Mówiła do niej, ale Maria nie rozróżniała słów.*

*Długo wpatrywała się w matkę, bojąc się poruszyć, dopóki Leonora nie znikła równie nagle, co się pojawiła.*

Wróciwszy do swego mieszkania w bloku, Erlendur zapalił światło w kuchni. Z mieszkania wyżej dochodziły ciężkie takty muzyki. Niedawno wprowadziła się tam para młodych, puszczali całymi wieczorami głośną muzykę, czasem nawet bardzo, a w weekendy urządzali imprezy. Ich goście biegali po klatce schodowej w górę i w dół aż do samego rana, czasem głośno się wygłupiając. Sąsiedzi skarżyli się lokatorom, a ci obiecywali poprawę, ale coś najwyraźniej stało im na przeszkodzie. Według Erlendura to, co puszczali młodzi, właściwie nie było muzyką, lecz uporczywym powtarzaniem tego samego taktu, przetykanym głośnym wyciem.

Usłyszał pukanie do drzwi.

– Widziałem, że się u ciebie świeci – przywitał go jego syn, Sindri Snaer, kiedy komisarz otworzył drzwi.

– Wejdz – zaprosił go Erlendur. – Byłem w Grafarvogur.

– Coś ciekawego? – spytał Sindri, zamykając drzwi.

– Zawsze jest coś ciekawego – odparł komisarz. – Kawy? Czegoś innego?

– Wody poproszę – rzekł Sindri i wyciągnął paczkę papierosów. – Mam urlop. Dwa tygodnie. – Spojrzał na sufit i wsłuchiwał się w rockowe dudnienie, o którym Erlendur zdążył już zapomnieć. – Co to za hałas?

– Nowi lokatorzy! – zawołał Erlendur z kuchni. – Jakież wieści od Evy Lind?

– Nic nowego. Kilka dni temu kłóciła się z mamą, ale nie wiem, o co chodzi.

– Kłóciła się z waszą mamą? – zdziwił się komisarz i wyjrzał przez drzwi do kuchni. – O co?

– O ciebie, z tego co wiem.

– Jakżeż one mogą się o mnie kłócić?

– Z nią pogadaj.

– Pracuje?

– Tak.

– Bierze?

– Nie, chyba nie. Ale nie chce chodzić ze mną na spotkania.

Erlendur wiedział, że Sindri uczęszcza na spotkania AA. Chłopak twierdził, że dobrze mu robią. Pomimo młodego wieku miał już problemy alkoholowe i z substancjami odurzającymi, ale dzięki determinacji udało mu się zawrócić

z tej drogi. Zrobił wszystko, aby opanować uzależnienie. Jego siostra Eva ostatnio przestała brać, ale nie będąc na odwyku, nie chodziła na spotkania i uważała, że poradzi sobie sama, bez wsparcia.

– Co się stało w Grafarvogur? – spytał Sindri. – Coś się wydarzyło?

– Samobójstwo – odparł Erlendur.

– A to przestępstwo czy...?

– Nie, samobójstwo to nie przestępstwo – zapewnił go ojciec. – Chyba że wobec tych, którzy zostali przy życiu.

– Chłopak, którego znałem, się zabił – powiedział Sindri.

– Tak?

– Tak, Simmi.

– A kto to był?

– Fajny gość. Razem robiliśmy w zieleni miejskiej. Spokojny, nigdy się nie odzywał. I potem się po prostu powiesił. W pracy to robił. Mieliśmy taki barak i tam się powiesił. Brygadzysta go znalazł i odciął.

– A wiedzieliście, dlaczego to zrobił?

– Nie. Mieszkał z matką. Raz się z nim uwalilem. Nigdy wcześniej nie pił, po tym rzygał tylko.

Sindri pokręcił głową.

– Simmi – wymamrotał. – Dziwny gość.

Nad nimi dudniła muzyka z odtwarzacza.

– Masz zamiar coś z tym zrobić? – spytał Sindri, spoglądając na sufit.

– Ta banda nikogo nie słucha – odparł Erlendur.

– Mam z nimi pogadać?

– Ty?

– Mogę ich poprosić, żeby to wyłączyli. Jeśli chcesz.

Erlendur się zastanowił.

– Jak chcesz, możesz spróbować – wyraził zgodę. – Mnie się nie chce wchodzić na górę. I o co im w tej kłótni chodziło, mamie i Evie?

– Ja się w to nie wtrącam – zapewnił Sindri. – A to samobójstwo było jakieś tajemnicze? To w Grafarvogur?

– Nie, po prostu tragiczne zdarzenie. Największa tragedia z możliwych. Mąż był w domu, kiedy żona pozbawiła się życia w domku letniskowym.

– I on nic nie wiedział?

– Nie.

Gdy Sindri sobie poszedł, po chwili głośnie dudnienie piętro wyżej ucichło. Erlendur spojrział na sufit. Następnie wyszedł do przedpokoju i wyjrzał na klatkę. Chciał zawołać Sindrego, lecz go już nie było.

Kilka dni później Erlendur dostał raport z autopsji samobójczyni z Thingvellir. Nie było w nim nic nienaturalnego poza śmiercią przez powieszenie. Żadnych uszkodzeń cielesnych ani substancji w krwi. Maria była zdrowa, na nic nie chorowała. Nie znaleziono żadnych biologicznych odpowiedzi, dlatego targnęła się na swoje życie.

Erlendur ponownie spotkał się z jej mężem, Baldvinem, aby przekazać mu wnioski z raportu. W godzinach popołudniowych zjechał do Grafarvogur i zapukał do drzwi. Zabrał z sobą Elinborg. Nie bardzo chciała z nim jechać, twierdząc, że ma mnóstwo roboty. Sigurdur Oli był na chorobowym, leżał zagrypony w domu. Erlendur spojrzał na zegarek.

Baldvin zaprosił ich do salonu. Wziął urlop bezterminowy. Przez dwa dni mieszkała u niego matka, ale już się wyprowadziła. Koledzy z pracy odwiedzali go z kondolencjami, inni przysłali telegramy. Przygotował pogrzeb i wiedział, że kilka osób napisze artykuły wspomnieniowe. To wszystko powiedział Erlendurowi i Elinborg, przygotowując kawę. Był bardzo nieswój, wszystkie czynności wykonywał powoli, ale zachował równowagę ducha. Erlendur przedstawił mu wyniki sekcji. Zgon kobiety zakwalifikowano jako wynik samobójstwa. Ponownie złożył mu kondolencje. Elinborg prawie się nie odzywała.

– Dobrze by było mieć kogoś przy sobie – zauważył Erlendur. – Zważywszy na okoliczności.

– One o mnie dbają, matka i siostra – odparł Baldvin. – Ale czasem dobrze być w samotności.

– Tak, rzeczywiście – potwierdził komisarz. – Dla niektórych to najlepsza terapia.

Elinborg spojrzała na niego. Erlendur przedkładał samotność nad wszystko inne w życiu. Zastanawiała się, co ona robi z nim tutaj, w tym domu. Erlendur nie powiedział jej nic ponad to, że musi przekazać Baldvinowi wnioski anatomopatologa. Że potrwa to tylko chwilę. Tymczasem zaczął rozmawiać z tym człowiekiem, jakby przyjaźnili się od lat.

– Człowiek zawsze się obwinia – powiedział Baldvin. – Wydaje mi się, że powinienem być coś zrobić. Że mogłem coś zrobić lepiej.

– To naturalna reakcja – uspokajał go Erlendur. – Znamy to doskonale z pracy. Zazwyczaj w takiej sytuacji bliscy i tak robią bardzo dużo, jeśli nie wszystko, co w ich mocy.

– Że też wcześniej tego nie dostrzegalem – martwił się mąż. – Ale jedno mogę powiedzieć. Nigdy w życiu się tak nie zląkłem, jak gdy się dowiedziałem, co zrobiła. Nie wyobrażacie sobie nawet, jak się czułem. Jako

lekarz niejedno widziałem, ale... kiedy dzieje się coś takiego... Myślę, że nikt nie może być na coś takiego gotowy.

Najwyraźniej miał potrzebę mówienia i opowiedział, że poznał żonę na studiach. Maria studiowała historię i francuski. On w szkole średniej bawił się w teatr i przez pewien czas uczęszczał na zajęcia do Szkoły Teatralnej, zanim zmienił zainteresowania i postanowił pójść się na medycynę.

– Czy żona zajmowała się historią zawodowo? – spytała Elinborg, która skończyła geologię, ale nigdy nie pracowała w zawodzie.

– Tak, zawodowo – odparł Baldvin. – Pracowała w domu. Mamy na dole gabinet. Trochę uczyła i wykonywała zlecenia dla różnych instytucji i firm, prowadziła prace badawcze, pisała artykuły.

– Kiedy przeprowadziliście się do Grafarvogur? – zainteresował się Erlendur.

– Zawsze mieszkaliśmy w tym domu – powiedział Baldvin, rozglądając się po salonie. – Wprowadziłem się do niej i Leonory jeszcze w czasie studiów. Maria była jedynaczką i odziedzyczyła dom po śmierci matki. Zbudowano go, zanim okolica została rozplanowana i rozpoczęto budowę na szeroką skalę. Jak zapewne zauważyliście, stoi nieco z boku.

– Wygląda na starszy od pozostałych – zauważyła Elinborg.

– Ona tutaj koniała – ciągnął Baldvin. – W jednym z pokoi. Od kiedy zdiagnozowano u niej raka, do śmierci minęły trzy lata. Broniła się przed hospitalizacją. Leonora chciała umrzeć w swoim domu. Maria sama się nią opiekowała cały czas.

– To musiało być trudne dla pańskiej żony – zauważył Erlendur. – Mówił pan, że była religijna.

Zauważył, jak Elinborg zerka ukradkiem na zegarek.

– Tak. Wierzyła naiwnie, jak dziecko. Bardzo dużo rozmawiała na temat wiary, córka i matka. Kiedy Leonora zachorowała. Ale Leonora taka była. Otwarta. Nie wstydziła się mówić o chorobie i o śmierci. Myślę, że to bardzo jej pomogło w smutku. Myślę też, że odeszła stąd pogodzona z sobą. W każdym razie na tyle, na ile to możliwe w takich okolicznościach. Znam to z pracy. Nikt nie godzi się, żeby odchodzić w taki sposób, ale można odejść pogodzoną z sobą i swoimi bliskimi.

– Chce pan powiedzieć, że jej córka także odeszła pogodzona? – spytał Erlendur.

Baldvin zamyślił się.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu. – Wątpię, aby ktoś, kto odszedł w taki sposób jak ona, mógł być do końca pogodzony.

- Ale śmierć nie była po jej myśli.
- Pewno przez całe życie – zgodził się Baldvin.
- A jej ojciec?
- Dawno nie żyje.
- Tak, mówił mi pan o tym.
- Nigdy go nie poznałem. Była małą dziewczynką, kiedy to się stało.
- Jak umarł?
- Utopił się koło ich domku letniskowego. W Thingvellir. Wypadł z niewielkiej łódki. Podobno było bardzo zimno, a on dużo palił, nie zażywał ruchu i... utonął.
- To straszne stracić jedno z rodziców w takim wieku – wtrąciła Elinborg.
- Maria przy tym była – powiedział Baldvin.
- Pańska żona? – zdumiał się Erlendur.
- Miała zaledwie dziesięć lat. To strasznie na nią wpłynęło. Myślę, że po tym nigdy całkiem do siebie nie doszła. A kiedy jej mama zachorowała na raka i umarła, ugięła się pod podwójnym ciężarem.
- Wiele przeszła – zauważyła Elinborg.
- Tak, wiele przeszła – zgodził się Baldvin i spuścił wzrok.



Kilka dni później Erlendur siedział nad filiżanką kawy i przeglądał stary raport z zaginięcia, kiedy poinformowano go, że w recepcji pyta o niego kobieta imieniem Karen. Komisarz pamiętał, że takie imię ma przyjaciółka Marii, która znalazła ją w Thingvellir. Poszedł więc do recepcji i ujrzał kobietę w brązowym skórzanym zakiecie i dzinsach. Pod zakietem miała gruby golf z białej wełny.

– Chciałabym porozmawiać z panem o Marii – powiedziała, kiedy się przywitali. – To pan prowadzi tę sprawę, prawda?

– Tak, ale to nie jest żadna sprawa, już została...

– Możemy gdzieś usiąść na chwilkę?

– Jak wyście się poznały?

– To moja przyjaciółka z dzieciństwa – wyjaśniła Karen.

– No tak.

Erlendur zaprowadził ją do biura, gdzie usiadła naprzeciwko niego. Nie zdjęła zakietu, mimo że było gorąco.

– Nie znaleźliśmy niczego niezwykłego – powiedział – jeśli o coś takiego pani chodzi.

– Nie mogę zapomnieć jej widoku – tłumaczyła się Karen. – Cały czas mam ją przed oczyma. Nie wyobraża pan sobie, jaki to dla mnie szok, że to zrobiła. I że to ja ją znalazłam. Nigdy ze mną o czymś takim nie rozmawiała, a przecież mówiła mi wszystko. Byłyśmy dla siebie powiernicami. Jeśli ktoś Marię znał, to właśnie ja.

– I co? Uważa pani, że nie mogłaby popełnić samobójstwa?

– Właśnie – odpowiedziała Karen.

– To co się stało?

– Nie wiem, ale ona nigdy nie mogłaby tego zrobić.

– Dlaczego pani tak twierdzi?

– Po prostu wiem. Znałam ją i wiem, że nigdy nie popełniłaby samobójstwa.

– Samobójstwo zazwyczaj zaskakuje ludzi. Mimo że Maria o niczym pani nie powiedziała, nie można wykluczyć, że targnęła się na swoje życie. Zresztą wszystko na to wskazuje.

– I dziwi mnie też, że on kazał spalić zwłoki – rzuciła Karen.

– O co pani chodzi?

- Już ją pochowano. Nie wiedział pan o tym?
- Nie – odparł Erlendur i zaczął liczyć dni od pierwszej wizyty w domu w Grafarvogur.
- Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła, że chce zostać skremowana – powiedziała kobieta. – Nigdy.
- A powiedziałaaby pani o tym?
- Tak sądzę.
- Rozmawialiście kiedyś o swoich pochów... co chcecie, aby uczyniono z waszymi ciałami?
- Nie – odpowiedziała Karen z przekąsem.
- Czyli że tak naprawdę nie wie pani, czy chciała, aby ją skremowano, czy nie?
- Nie, ja to po prostu wiem. Znałam Marię.
- Znała pani Marię i mówi mi, formalnie na komisariacie policji, że uważa pani, że w śmierci tej kobiety jest coś podejrzanego?
- Karen zastanowiła się chwilę.
- Moim zdaniem to wszystko jest jakieś dziwne.
- Ale nie ma pani nic na poparcie swoich podejrzeń, że stało się coś niezwykłego.
- Nie.
- W takim razie niewiele możemy zrobić – oświadczył Erlendur. – Wiem pani coś na temat ich pożycia?
- Tak.
- I?
- Było w porządku – odpowiedziała z ociąganiem.
- Czyli nie podejrzewa pani, że mąż przyłożył do tego rękę?
- Nie. Może ktoś odwiedził ją w Thingvellir? Tam różny element się włóczy, Obcokrajowcy. Sprawdziliście to?
- Nic na to nie wskazuje – odparł Erlendur. – Czy Maria miała na panią czekać w Thingvellir?
- Nie – odpowiedziała Karen. – Nie było o tym mowy.
- A Baldvinowi powiedziała, że na panią zaczeka.
- Ciekawe dlaczego?
- Może po to, żeby mieć spokój? – zastanawiał się Erlendur.
- Baldvin opowiedział panu o jej matce, Leonorze?
- Tak – potwierdził Erlendur. – Powiedział, że córka boleśnie przeżyła jej śmierć.
- Związek Leonory i Marii był szczególny – zaczęła Karen. – Nigdy

i nigdzie nie spotkałam tak silnych więzi. Wierzy pan w sny?

– Nie wiem, czy to pani sprawa – odburknął Erlendur. – Z całym szacunkiem.

Entuzjazm tej kobiety zdumiał komisarza. Ale rozumiał, co nią powoduje. Serdeczna przyjaciółka popełniła czyn, który dla niej był nie do pomyślenia. Jeśli Maria miała jakieś problemy, to Karen powinna o tym wiedzieć i coś w tej sprawie zrobić. A teraz, mimo że jest już za późno, i tak chce coś zrobić, odnieść się jakoś do tej tragedii.

– A w życie po śmierci?

Erlendur pokręcił głową.

– Nie wiem, co pani...

– Maria wierzyła. Wierzyła, że sny mogą jej coś powiedzieć, pokierować nią. I wierzyła w życie po śmierci.

Erlendur milczał.

– Mama miała jej przekazać wiadomość – powiedziała Karen. – Wie pan, gdyby dalej żyła.

– Nie bardzo rozumiem – odparł komisarz.

– Maria mi powiedziała, że Leonora da jej znak, jeśli prawdą jest to, o czym tak dużo pod koniec jej życia rozmawiały. Jeśli jest życie po śmierci! Miała zamiar dać jej znak z zaświatów.

Erlendur chrząknął.

– Znak z zaświatów?

– Tak. Jeśli po tym życiu istnieje życie.

– A wie pani jak? W jaki sposób miała dać jej znak?

Karen nie odpowiedziała.

– Dała ten znak? – spytał komisarz.

– Co?

– Czy dała jej znak z zaświatów?

Karen uważnie popatrzyła na Erlendura.

– Pan mnie ma za idiotkę, prawda?

– Proszę dać spokój – powiedział komisarz. – Przecież w ogóle pani nie znam.

– Pan uważa, że gadam same bzdury!

– Nie, ale nie wiem, co tu policja miałaby do roboty. Może mi pani to powiedzieć? Znak z zaświatów! W jaki sposób wszcząć śledztwo w takiej sprawie?

– Uważam, że minimum, co może pan zrobić, to wysłuchać tego, co człowiek ma do powiedzenia.

- Przecież słucham – bronił się Erlendur.
  - Nie, nie słucha pan. – Karen otworzyła torebkę, wyjęła z niej kasetę i położyła przed nim na biurku.
  - Może to coś pomoże – powiedziała.
  - Co to jest?
  - Niech pan posłucha, a potem ze mną porozmawia. Proszę posłuchać i powiedzieć, co pan o tym sądzi.
  - Nie mogę...
  - Niech pan nie robi tego dla mnie – powiedziała Karen. – Niech pan to zrobi dla Marii. Dowie się pan, jak się czuła.
- Wstała.
- Niech pan to zrobi dla Marii – powtórzyła i pożegnała się.

Wieczorem Erlendur zabrał do domu kasetę. Była nieopisana, zwykła kasetka do nagrywania. Komisarz miał stary radiomagnetofon. Magnetofonu nigdy nie używał, nie wiedział nawet, czy działa. Długi czas stał z kasetą w ręku i zastanawiał się, czy powinien ją odsłuchać.

Wyciągnął radiomagnetofon, otworzył kieszeń na kasetę i wsunął ją do środka. Potem ją puścił. Z początku nic nie było słychać. Minęło kilka kolejnych sekund i nadal nic się nie działo. Erlendur spodziewał się usłyszeć ulubioną muzykę denatki, pewno kościelną, zważywszy na wiarę Marii. Potem usłyszał jakiś trzask i urządzenie zaczęło szumieć.

- ...po zapadnięciu w trans – usłyszał na taśmie głęboki męski głos.
- Pogłodził.
- Potem nie wiem, co się działo – kontynuował głos. – To ci, którzy odeszli albo chcą przeze mnie przemawiać, albo pokazywać mi różne rzeczy. Ja jestem tylko narzędziem do nawiązywania kontaktu z ich ukochanymi. Może to trwać dłużej lub krócej, zależy od tego, jaki nawiążę kontakt.
  - Rozumiem – odpowiedział wysoki żeński głos.
  - Przyniosłaś to, o co prosiłem?
  - Mam koszulkę, którą bardzo lubiła, i pierścionek od taty, który cały czas nosiła.
  - Dziękuję. Daj mi je.
  - Proszę.
  - Przypomnij mi, żebym potem dał ci taśmę. Ostatnio zostawiłaś ją u mnie. Czasami człowiek zapomina.
  - Tak.
  - No to zobaczymy, co się wydarzy. Czujesz może lęk? Na początku

mówiłaś, że trochę się tego boisz. Niektórzy boją się tego, co może wyjść na jaw.

– Nie, już nie. Właściwie to się nie bałam, tylko trochę niepewnie się czułam. Nigdy wcześniej niczego takiego nie robiłam.

Długa pauza.

– Błyszcząca tafla wody.

Cisza.

– Jest lato, niska roślinność i błyszcząca tafla wody. Jakby jezioro połyskiwało w słońcu.

– Tak.

– Na jeziorze łódka, kojarzysz?

– Tak.

– Mała łódka.

– Tak.

– Pusta.

– Tak.

– Wygląda znajomo? Poznajesz tę łódkę?

– Mój tata miał małą łódkę. Mamy domek letniskowy nad Thingvallavatn.

Erlendur wyłączył magnetofon. Zdawał sobie sprawę, że to nagranie z seansu spirytystycznego, i uznał za pewne, że wysoki głos należał do kobiety, która odebrała sobie życie. Wiedział na ten temat tylko to, co jej mąż powiedział o jej ojcu, że utonął w jeziorze Thingvallavatn. W pewnym sensie poczuł się nieswojo, słuchając jej głosu. Zupełnie jakby weszły w prywatnym życiu obcych ludzi. Długą chwilę stał bez ruchu nad radiomagnetofonem, dopóki ciekawość nie przewyciężyła wątpliwości, i włączył go ponownie.

– Czuję zapach cygar – usłyszał, jak mówi medium. – Palił?

– Tak. Bardzo dużo.

– Chce, żebyś była ostrożna.

– Dzięki za radę.

Po słowach kobiety nastąpiła długa pauza. Erlendur słuchał tej ciszy. Słyszeć było jedynie szum taśmy. I nagle znów mężczyzna zaczął mówić, tym razem jednak głos medium zmienił się. Był ciemny, surowy, zachrypnięty.

– Uważaj na siebie... Nie wiesz, co robisz!

Erlendura zaskoczył okrutny ton w tych słowach. I niemal natychmiast głos znów się zmienił.

– To było w porządku? – spytało medium.

– Chyba tak – odparła kobieta o wysokim głosie. – Co było...

Kobieta zawahała się.

- To było coś, co znałaś? – spytał mężczyzna.
- Tak.
- Dobrze, ja... Dlaczego jest mi tak zimno...? Dzwonią mi zęby.
- Pojawił się inny głos...
- Inny?
- Tak, nie twój.
- I co powiedział?
- Powiedział, że mam na siebie uważać.
- Nie mam pojęcia, co to było – powiedział mężczyzna medium. – Nic nie pamiętam...
- Przypominał mi...
- Tak?
- Przypominał mi tatę.
- Ten chłód... nie jest stamtąd. Ten dotkliwy chłód, który czuję. On ma bezpośredni związek z tobą. Jest w nim jakieś zagrożenie. Coś, czego powinnaś się wystrzegać.

Erlendur sięgnął do radiomagnetofonu i wyłączył go. Nie ufał sobie na tyle, by słuchać dalej. Uważał, że to wścibstwo. Nagranie zawierało treści, które dotykały jego sumienia. Erlendur nie wyobrażał sobie, by mógł bezcześcić pamięć o tej kobiecie, podsłuchując jej rozmowę.

Starszy pan czekał na niego w recepcji. Niegdyś przychodził na komisariat z żoną, lecz tej się zmarło i teraz zjawiał się sam, by spotkać się z Erlendurem. Małżonkowie regularnie odwiedzali go na komisariacie od niemal trzydziestu lat, najpierw co tydzień, potem co miesiąc, później kilka razy do roku, potem raz do roku i wreszcie co dwa, trzy lata w dniu urodzin ich syna. Młodszy syn małżonków, David, zaginął w 1976 roku i od tego czasu nie mieli od niego żadnych wieści.

Erlendur uściśnął dłoń starszego pana i zaprowadził go do swojego biura. Po drodze spytał go, jak się miewa. Mężczyzna odpowiedział, że od pewnego czasu jest pensjonariuszem domu pogodnej starości i pobyt tam mu się nie podoba. Sami starcy, powiedział. Na komisariat przyjechał taksówką i spytał, czy Erlendur zamówi mu taksówkę, kiedy zakończą spotkanie.

– Każę cię odwieźć do domu – obiecał komisarz, otwierając drzwi do swego gabinetu. – Tak kiepsko się bawicie w domu pogodnej starości?

– Kiepsko – odparł starszy pan, siadając w gabinecie Erlendura.

Przyjechał spytać, czy są jakieś wieści o synu, choć wiedział, i to od dawna, że żadnych wieści nie będzie. Komisarz rozumiał jego maniackalny upór i zawsze uprzejmie podejmował małżonków, okazywał im współczucie i słuchał ich. Wiedział, że cały czas śledzili wieści, czytali gazety, słuchali radia i oglądali telewizję z nikłą nadzieją, że może ktoś gdzieś odkrył jakiś ślad prowadzący na trop ich zaginionego chłopca. Ale przez te wszystkie lata nic takiego się nie zdarzyło.

– Dzisiaj skończyłyby czterdzieści dziewięć lat – powiedział starszy pan. – Ostatnie urodziny, jakie wyprawił, były dwudzieste. Zaprosił wszystkich swoich przyjaciół z liceum, a ja i Gunnthorunn musieliśmy na ten czas wyjść z domu. Zabawa trwała całą noc. Dwudziestych pierwszych urodzin już nie zdążył uczcić.

Erlendur skinął głową. Policji nigdy nie udało się uzyskać żadnych informacji na temat zaginięcia ich syna. Zawiadomienie zostało zgłoszone półtorej doby po tym, jak David wyszedł z domu. Czasem po nocach uczył się razem z jednym z kolegów u niego w domu, po czym razem szli do szkoły. Powiedział swoim rodzicom, że wieczorem do niego pójdzie. Wspomniał także, że musi zająć do księgarni. Kończyli liceum, na wiosnę czekała ich matura. Kiedy następnego dnia nie wrócił do domu, rodzice zaczęli dzwonić

i wypytywać o niego. Zadzwonili do jego przyjaciela, a on odpowiedział, że Davida u niego nie było i nie zwierzał mu się, co ma zamiar robić wieczorem. Spytał wprawdzie Davida, czy nie poszedłby do kina, ale on odpowiedział, że ma co innego do roboty, ale nie sprecyzował co takiego. Inni przyjaciele i koledzy nie mieli pojęcia o zamiarach Davida. Wyszedł z domu lekko ubrany i wspomniął tylko, że być może zanocuje u swego przyjaciela.

Opublikowano jego zdjęcia w gazetach, w telewizji, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Czas płynął i jego rodzice i brat powoli tracili nadzieję. Absolutnie wykluczyli samobójstwo, byli przekonani, że sama myśl o tym była synowi obca. Minęły tygodnie i miesiące, nie znaleziono żadnych wyjaśnień zaginięcia Davida i wtedy Erlendur zasugerował, że nie można wykluczyć samobójstwa. Sam w tej sytuacji nie widział zbyt wiele innych możliwości, bo przecież chłopak nie wybierał się ani na wspinaczkę górską, ani na wycieczkę na pustkowiu. Inna wersja zakładała, że chłopak przypadkiem znalazł się na drodze jakichś rzezimieszków, którzy z nieznanymi przyczyn go zabili, a zwłoki ukryli. Zarówno jego rodzina, jak i przyjaciele zaprzeczyli, by miał z kimkolwiek na pieńku czy zajmował się działalnością przestępczą, co mogłoby wyjaśnić jego zaginięcie. Śledztwo wykazało, że nie wyleciał za granicę, a przewoźnicy nie znaleźli go na swoich listach pasażerów. Pracownicy księgarń nie zauważyli go w swoich sklepach w dniu, w którym zaginął.

Starszy pan wziął filiżankę z rąk Erlendura i sączył kawę, choć była bardzo gorąca. Erlendur był na pogrzebie jego żony. Przyjaciół chyba nie mieli wielu, a rodzinę niezbyt liczną. Ich drugi syn był rozwiedziony i bezdzietny. Przy organach stał mały chór żeński. „Słuchaj niebios, cieślo...”.

– Jakież wieści w naszej sprawie? – spytał starszy pan, opróżniwszy filiżankę do połowy. – Coś wiadomo?

– Nie, niestety – odparł jak zawsze Erlendur. Nie miał nic przeciwko odwiedzinom starszego człowieka. Gorzej, że niewiele mógł dla niego zrobić poza kolejnym wysłuchaniem wyrzekań na temat okropności, jakie to spotkały kochanego chłopca, i jak to może być, że coś takiego się dzieje i że też nic nie wiadomo na jego temat!

– Ale przecież wy macie dość roboty – powiedział starszy pan.

– Robota pojawia się falami – wytłumaczył Erlendur.

– Tak, nie, no cóż, chyba lepiej już sobie pójdę – zdecydował starszy pan, ale nie ruszył się z miejsca. Zupełnie jakby jeszcze czegoś nie powiedział. A przecież w rozmowie padło już wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Skontaktuję się, jak się coś wydarzy – powiedział Erlendur i zauważył, że



stary człowiek się zawahał.

– Tak... hm... to jest... Erlendurze, nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś przyjdę i będę ci przeszkadzał – odezwał się starszy pan. – Chyba czas najwyższy dać sobie spokój. A poza tym znaleźli jakieś... – Chrząknął. – Znaleźli mi jakieś świństwo w płucach. Paliłem jak idiota i teraz to zdaje się wychodzi, tak że nie wiem co... I jeszcze ten pył. Dołożył swoje. A więc pożegnam cię i dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłeś od chwili, gdy po raz pierwszy przyszedłeś do nas do domu tamtego okropnego dnia. Wiedzieliśmy, że nam pomożesz, i pomogłeś, choć wciąż jesteśmy równie daleko. On oczywiście nie żyje od wielu lat. Myślę, że od dawna to wiedzieliśmy. Ale człowiek... my... w końcu zawsze jest jakaś nadzieja, prawda?

Straszy pan wstał. Erlendur także. I otworzył mu drzwi.

– Zawsze jest nadzieja – przyznał gościowi rację. – A jak ci z tym tam w płucach?

– Człowiek i tak jest już wypalonym ogarkiem. – Starszy pan zasepił się. – Cały dzień umordowany. Wykończony. A jak dostałem te wyniki, to jestem skłonny stwierdzić, że coraz trudniej mi się oddycha.

Erlendur odprowadził go do recepcji i załatwił samochód, żeby odwiózł starszego pana do domu pogodnej starości. Pożegnali się na schodach przed komisariatem.

– Żegnaj, Erlendurze – powiedział stary człowiek, siwy, z gęstą szpeciną, wychudzony i przygięty po latach ciężkiej pracy. Był murarzem, twarz miał szarą niczym pył na budowie.

– Uważaj na siebie – rzucił Erlendur na pożegnanie.

I patrzył, jak stary wsiada do radiowozu, a potem jak samochód rusza i znika za rogiem.

Pastor, z którym Maria najczęściej się kontaktowała, miał na imię Eyvör. Nie pełniła posługi w Grafarvogur, lecz w sąsiedniej parafii. Była poruszona i zasmucona losem Marii; że też nie widziała innego wyjścia jak pozbawić się życia.

– To jest oczywiście o wiele cięższe od łez – powiedziała Erlendurowi, który siedział w jej gabinecie pod koniec dnia. – Pomyśleć tylko, że ludzie w kwiecie wieku popełniają samobójstwo, jakby nie było innych rozwiązań. Wiele przykładów dowodzi, że można pomóc ludziom w kryzysie duchowym i psychicznym, jeśli zaczniesz się działać w dość wczesnej fazie.

– Nie wiedziała pani, dokąd zmierza Maria? – spytał Erlendur i pomyślał o tym słowie, faza, które zawsze go drażniło. – O ile wiem, była religijna,

uczęszczała do tutejszego kościoła.

– Wiedziałam, że źle się czuję po utracie matki – odparła Eyvör – ale nic nie wskazywało na to, że posunie się do tak desperackiego czynu.

Pastor miała około czterdziestki, była elegancko ubrana, lubiła zaszpanować: trzy pierścionki, złoty łańcuch na szyi i duże kolczyki do fioletowego kostiumu. Zdziwiła się, że odwiedził ją przedstawiciel policji i wypytywał o wierną, która zginęła z własnej ręki. Natychmiast spytała, czy to jest śledztwo. Erlendur zaprzeczył i naprędce wysmażył wytłumaczenie, że kończy raport w tej sprawie, Dowiedział się, że Maria utrzymywała kontakty z wielebną, i chciał się przekonać, czy uda im się usiąść razem i wykorzystać jej doświadczenie, jeśli później zaszłaby taka potrzeba. Samobójstwa, niestety, należą do tych sfer życia ludzkiego, które w końcu lądują na biurkach policji, co jest przykre, i on chce się dowiedzieć więcej na temat ich przyczyn i skutków, skoro może to się przydać w jego pracy. Eyvör spodobał się ten posępny policjant. Od razu dostrzegła w nim coś wzbudzającego zaufanie.

– Nie, oczywiście – zgodził się Erlendur. – Rozmawiała z panią o śmierci?

– Tak. Z powodu matki i wydarzenia, które spotkało ją w młodości, ale nie wiem, czy pan dotarł do tego.

– Utonięcie jej ojca? – domyślił się Erlendur.

– Tak. Maria bardzo ciężko przeżyła śmierć matki. Ją zresztą też chowałam. Poznałam je dość dobrze, zwłaszcza po tym jak Leonora zachorowała. Ta kobieta miała w sobie wiele siły, była nadzwyczajna, nigdy się nie poddawała.

– Czym się zajmowała?

– Zawodowo? Była profesorem na uniwersytecie. Lektorką francuskiego.

– A jej córka historykiem – wtrącił Erlendur. – Stąd tyle książek u nich w domu. Maria miewała skłonności depresyjne?

– Powiedzmy, że była dość melancholijnego usposobienia. Mam nadzieję, że to zostanie między nami. Przecież w ogóle nie powinnam z panem rozmawiać na ten temat. Wprawdzie nie szukała u mnie pociechy w tym swoim smutku, ale widać było, że nie czuła się dobrze. Chodziła do kościoła, ale nigdy się przede mną nie otworzyła. Staralam się ją jakoś pocieszać, ale to było trudne. Bardzo ją to złościło. Złościła się, że jej matka musiała tak skończyć. Złościła się na siłę wyższą. Myślę, że widząc, jak jej matka gaśnie w oczach i odchodzi, trochę straciła wiarę, tę dziecięcą, którą zawsze miała w sobie.

– Ale wyroki boskie są niezbadane, czyż nie? – wtrącił Erlendur. – Tylko on

jeden zna cel tych cierpień?

– Nie wykonywałabym tej pracy, gdybym nie uważała, że wiara nam pomaga. Gdzie bylibyśmy, gdyby nie ona?

– Zauważyła u niej pani zainteresowanie światem nadprzyrodzonym?

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. Ale jak mówiłam, była raczej skryta i ostrożna w rozmowach na tematy osobiste. Jeśli chodzi o niektóre sfery.

– To znaczy?

– Wierzyła w sny, że mogą jej powiedzieć coś na temat tego, czego nie widzimy na jawie. I to u niej się wzmagało, dopóki nie odniosłam wrażenia, że zaczęła wierzyć, że sny stanowią jakąś bramę do innego świata.

– Jakichś zaświatów?

– Nie wiem dokładnie, o co jej chodziło.

– I co jej pani powiedziała?

– To, co naucza Kościół. Wierzymy w zmartwychwstanie w dniu sądu ostatecznego i życie wieczne. Nauki wielkanocne zapowiadają łączenie się ze zmarłymi ukochanymi.

– Wierzyła w to łączenie?

– Tak. Moim zdaniem znajdowała w tym jakieś pocieszenie.

Erlendur ponownie wpadł z krótką wizytą do męża Marii, Baldvina. Tym razem także zabrał ze sobą Elinborg. Było to dzień po rozmowie z wielebną. Wymyślił pretekst, powiedział, że zapomniał notesu. Elinborg stała obok niego w salonie w Grafarvogur i przyglądała się, jak wyjaśnia cel wizyty. Erlendur nigdy w życiu nie używał notesu.

– Nic takiego tu nie znalazłem – tłumaczył Baldvin, rozglądając się wokół na poparcie swoich słów. – Dam znać, jak go znajdę.

– Dziękuję bardzo – odpowiedział komisarz – i przepraszam za kłopot.

Elinborg uśmiechała się zakłopotana.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale proszę powiedzieć, czy Maria uważała śmierć za koniec wszystkiego? – zapytał Erlendur.

– Koniec wszystkiego? – zdziwił się Baldvin.

– Chodzi mi o to, czy wierzyła w życie po śmierci? – sprecyzował Erlendur.

Elinborg spojrzała na niego. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby zadawał takie pytanie.

– Tak sądzę – powiedział Baldvin. – Myślę, że wierzyła we zmartwychwstanie, jak inni chrześcijanie.

– Wiele osób, które przeżywają traumę po utracie swoich ukochanych, poszukuje odpowiedzi, nawet korzystając z pomocy mediów czy

jasnowidzów.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Baldwin. – A dlaczego pan o to pyta?

Erlendur miał zamiar opowiedzieć o nagraniu, które otrzymał od Karen, ale się rozmyślił. Musi poczekać na lepszą sposobność. Nagle uznał, że nierozsądne byłoby wciągać Karen w tę sprawę i opowiadać o jej zmartwieniach. Powinien zachować wobec niej lojalność.

– Tak tylko głośno myślę. Ale już dość czasu panu zabraliśmy, przepraszam za kłopot.

Elinborg uśmiechnęła się i podała dłoń gospodarzowi. Przekazała wyrazy współczucia.

– Co to było? – spytała ze złością, kiedy już siedzieli w samochodzie i Erlendur powoli odjeżdżał. – Popeniła samobójstwo, a ty bredzisz coś o życiu po śmierci! Czy uczucie przyzwoitości jest ci obce?

– Ona spotykała się z medium – usprawiedliwiał się Erlendur.

– Skąd wiesz?

Erlendur wyciągnął kasetę otrzymaną od Karen i podał koleżance.

– To nagranie z seansu spirytystycznego, w którym wzięła udział jego żona.

– Z seansu? – Elinborg zdziwiła się. – Poszła na seans spirytystyczny?

– Nie przesłuchałem całej kasy. Chciałem pozwolić mu jej posłuchać, ale...

– Co?

– Mam ochotę odnaleźć to medium – powiedział Erlendur. – Zapragnąłem nagle dowiedzieć się, jaką rolę odgrywało i czy to ten człowiek popchnął ją do tego czynu.

– Myślisz, że on się nią bawił?

– Tak. Twierdził, że widzi łódkę na jeziorze, czuje zapach cygar. Brednie.

– Przywoływał śmierć jej ojca?

– Tak.

– Nie wierzysz w kontakty z duchami? – spytała Elinborg.

– Tak samo jak w elfy – odparł Erlendur i wyjechał ze ślepej uliczki.

Kiedy Erlendur wrócił wieczorem do domu, posmarował podpłomyk masłem, położył na nią szynkę baranią, zrobił sobie kawę i włożył kasetę od Karen do radiomagnetofonu.

Rozmyślał o samobójstwie Marii, o rozpacz, która pchnęła ją do tego czynu, i o głębokim kryzysie psychicznym, który musiał tkwić u podstaw tej tragedii. Czytał listy pozostawione przez ludzi, którzy targnęli się na swoje życie, niektóre składały się z kilku zaledwie zdań, a nawet tylko jednego słowa, inne były dłuższe, zawierające precyzyjny spis przyczyn samobójstwa, swoistą prośbę o wybaczenie. Niektóre pozostawiono na poduszkach. Inne na podłodze w garażu. Ojcowie rodzin. Matki. Młodzież. Starcy. Ludzie samotni.

Już miał włączyć radiomagnetofon, żeby przesłuchać nagranie, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Poszedł do przedpokoju, otworzył. Eva Lind wślizgnęła się do środka.

– Przeszkadzam? – spytała, zdejmując czarny skórzany płaszcz sięgający kolan. Miała na sobie dżinsy i gruby sweter.

– Ależ zimno – powiedziała. – Czy nigdy nie przestanie wiać?

– Nie sądzę – oparł Erlendur. – To prognoza na cały tydzień. Dawniej na taki wiatr mówiono *garri*. Mamy wiele nazw wiatrów. Na przykład *utsynningur*. Słyszałaś kiedyś to słowo?

– Tak, nie. Właściwie to nie pamiętam. Sindri był u ciebie? – spytała Eva, najwyraźniej niezainteresowana nazwami wiatrów.

– Tak, kawy?

– Co mówił? Poproszę.

Erlendur wyszedł do kuchni po kawę. Starał się ograniczać picie kawy wieczorem. Czasem trudno mu było zasnąć, jeśli wypił więcej niż dwie filiżanki. Choć równocześnie bezsenność mu jakoś służyła. Nie znał lepszego czasu na rozmyślania i drobiazgowę analizy.

– Niewiele mówił, coś tam wspominał, że pokłóciłaś się z mamą – powiedział Erlendur, wróciwszy z kawą. – Myślał, że to z mojego powodu.

Eva Lind wyjęła paczkę papierosów z kieszeni skózanego płaszcza, a potem długimi paznokciami wyłowiła papierosa z paczki i zapaliła. Wypuściła chmurę dymu w salonie.

– Była normalnie wściekła stara.

– Dlaczego?

– Powiedziałam jej, że powinniście się spotkać.  
– Ja z twoją mamą? – Erlendur zdziwił się. – Po co?  
– To samo powiedziała mama. Po co? Żeby się spotkać. Pogadać. Zerwać z tym bezsensownym obrażaniem się na siebie. Dlaczego nie możecie ze sobą rozmawiać?

- Co powiedziała?
- Żebym sobie dała spokój. Na zawsze.
- To była kłótnia?
- Tak. A co z tobą? Co powiesz?
- Ja? Nic. Jeśli ona nie chce, to nie.
- To nie? Nie możecie raz ze sobą porozmawiać?

Erlendur zamyślił się

– Co ty chcesz osiągnąć, Evo? – spytał. – Wiesz, że to już dawno minęło i umarło. Nie rozmawiamy ze sobą od kilkudziesięciu lat, wiesz przecież.

– Właśnie w tym rzecz, że nie rozmawialiście ze sobą od czasu, jak my z Sindrim przyszliśmy na świat.

– Spotkałem ją, kiedy leżałaś w szpitalu – powiedział Erlendur. – Nie było to miłe. Myślę, że powinnaś dać sobie z tym spokój, Evo. Żadne z nas tego nie chce.

Eva Lind kilka lat wcześniej poroniła i długo cierpiała z tego powodu. Przez wiele lat brała narkotyki, a Sindri powiedział Erlendurowi, że całkiem niedawno postanowiła bez pomocy zacząć życie od nowa.

– Jesteś pewien? – Wbiła wzrok w ojca.

– Jestem pewien – odparł Erlendur. – Powiedz mi, co u ciebie? Wyglądasz jakoś tak inaczej, doroślej.

– Doroślej? To już jestem stara?

– Nie, nie w tym sensie. Bardziej dojrzała. Właściwie to nie wiem, o co mi chodzi. Sindri mówił, że wzięłaś się w garść.

– Co on pieprzy?

– Ma rację?

Eva Lind nie odpowiedziała od razu. Zaciągnęła się i długo trzymała dym w płucach, nim wypuściła go nosem.

– Moja przyjaciółka umarła – powiedziała w końcu. – Nie wiem, czy ją pamiętasz.

– Kto?

– Na imię miała Hanna. Znaleźliście ją za śmietnikami w Mjodd.

– Hanna? – szepnął Erlendur zamyślony.

– Przedawkowała – wyjaśniła Eva Lind.

– Pamiętam. To nie było tak dawno temu, prawda? Brała heroinę. Dużo tego jeszcze u nas nie ma. Póki co.

– Była moją dobrą przyjaciółką.

– Nie wiedziałem.

– Przeważnie nic nie wiesz – zauważyła Eva Lind. – Zazwyczaj albo człowiek robi to, co ona, albo...

– Albo?

– Próbuje zrobić coś innego, wyrwać się z piekła. Raz na zawsze.

– Co znaczy „robi to, co ona” ? Myślisz, że ona zrobiła to świadomie? Wzięła za dużą dawkę?

– Nie wiem – odparła Eva Lind. – Było jej wszystko jedno. Nic ją nie obchodziło.

– Wszystko jedno?

– Miała to w dupie.

– Przypomnisz mi jej historię? – poprosił Erlendur. Pamiętał złachaną dwudziestolatkę, którą poprzedniej zimy znaleziono ze strzykawką w ramieniu koło centrum handlowego w Mjodd. Śmieciarze znaleźli ją wczesnym rankiem zamarznąją, z plecami opartymi o ścianę.

– Zawsze gadasz jak jakiś profesor – zauważyła Eva Lind. – A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Umarła. Czy to nie wystarczy? Jakie znaczenie ma jakaś historia? To takie ważne, skoro nie było nikogo, kto by jej pomógł? Że sama nie chciała pomocy, bo sama siebie nienawidziła? I dlaczego niby ktoś miałby być chętny, żeby jej pomóc?

– Najwyraźniej była dla ciebie kimś ważnym – wtrącił Erlendur ostrożnie.

– Była moją przyjaciółką – powiedziała Eva Lind. – Ale wcale nie chciałam o niej rozmawiać. Jesteś gotów spotkać się z mamą?

– Uważasz, że nie było mnie dla ciebie? – spytał Erlendur.

– Zrobiłeś więcej niż dość – odpowiedziała Eva Lind.

– Ja nie potrafię do ciebie trafić, nigdy nie umiem ci pomóc.

– Nie przejmuj się tym. Dam radę.

– Nienawidziła siebie?

– Kto?

– Twoja przyjaciółka. Powiedziałaś, że nienawidziła siebie. Czy to dlatego wzięła za dużą dawkę? Gardziła sobą?

Eva Lind powoli zgasła papierosa.

– Nie wiem. Myślę, że straciła dla siebie cały szacunek. Było jej już wszystko jedno, co się z nią stanie. Brzydziło ją wiele rzeczy, ale największe obrzydzenie czuła do samej siebie.

- Czy ty kiedykolwiek byłaś w takim stanie?
  - Chyba tylko z tysiąc razy – odpowiedziała Eva Lind. – Spotkasz się z mamą?
  - Ja naprawdę uważam, że nic z tego nie wyniknie – bronił się Erlendur. – Nie wiem, co miałbym jej powiedzieć, a kiedy ostatnio ze sobą rozmawialiśmy, była bardzo zagniewana.
  - A dla mnie możesz to zrobić?
  - I co ty z tego będziesz miała? Po tych wszystkich latach.
  - Chcę tylko, żebyście ze sobą pogadali – wyjaśniła Eva Lind. – Chcę zobaczyć was razem. Czy to jest tak strasznie trudne? Macie dwoje dzieci, mnie i Sindrego.
  - Ale chyba nie spodziewasz się, że znów razem zamieszkamy?
- Eva Lind długo przyglądała się ojcu.
- Nie jestem głupia – powiedziała w końcu. – Nie myśl sobie, że jestem idiotką.

Wstała, pozbierała swoje rzeczy i pożegnała się.

Erlendur został sam i długo rozmyślał, jak to Eva Lind potrafi nagle wpaść we wściekłość, jak przed chwilą. Nigdy nie udało mu się tak z nią porozmawiać, żeby przeciw niemu się nie zbuntowała. Pomysł, aby spotkać się z Halldorą, jego byłą żoną i matką jego dzieci, był zupełnie niedorzeczny. Niezależnie od słów czy marzeń Ewy Lind ten rozdział jego życia został dawno zamknięty. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Halldora była dla niego zupełnie obcą osobą.

Przypomniał sobie o taśmie i podszedł do radiomagnetofonu. Włączył. Cofnął nagranie, żeby przypomnieć sobie to, czego wysłuchał wcześniej. Słyszał, jak zmienia się głos medium, jak robi się mroczny i chropawy, kiedy męczyzna niemal warczy: „nie wiesz, co robisz!”. Potem w następnej chwili głos znów się zmienił i medium oznajmiło, że mu zimno.

- Pojawił się inny głos...
- Inny?
- Tak, nie twój.
- I co powiedział?
- Powiedział, że mam na siebie uważać.
- Nie wiem, co to było – powiedziało medium. – Nic nie pamiętam...
- Przypominał mi...
- Tak?
- Przypominał mi tatę.
- Ten chłód... nie jest stamtąd. Ten dotkliwy chłód, który czuję. Ma



bezpośredni związek z tobą. Jest w nim jakieś zagrożenie. Coś, czego powinnaś się wystrzegać.

Cisza.

– Nic ci nie jest? – zapytało medium.

– Co to znaczy, że mam się wystrzegać?

– Nie wiem. Zimno niczego dobrego nie zwiastuje. Wiem to.

– A możesz wywołać moją matkę?

– Ja nikogo nie wywołuję. Jeśli duch chce, sam przychodzi. Ja nikogo nie wywołuję.

– Ale to było tak krótko.

– Nic na to nie mogę poradzić.

– Był jakby bardzo rozgniewany. „Nie wiesz, co robisz”, powiedział.

– Sama musisz ocenić, co z tego chcesz wyczytać.

– Mogę przyjść jeszcze raz?

– Oczywiście. Mam nadzieję, że choć trochę udało mi się ci pomóc.

– Udało się, dziękuję. Myślałam, że może...

– Tak?

– Moja matka zmarła na raka.

– Rozumiem. – Erlendur usłyszał pełne współczucia słowa medium. – Nic mi o tym nie mówiłaś. Dawno temu zmarła?

– Niedługo miną dwa lata.

– I pojawiła się tutaj?

– Nie, ale ja czuję jej obecność. Jej bliskość.

– A dała ci jakiś znak? Byłaś u innego medium?

Po tym pytaniu nastąpiła długa cisza.

– Przepraszam – zmitygował się mężczyzna. – To oczywiście nie moja sprawa.

– Czekam, aż mi się objawi we śnie, ale na razie się nie objawiła.

– Dlaczego na to czekasz?

– Popęłniłyśmy...

Cisza.

– Tak?

– Zawarłyśmy umowę.

– Tak?

– Ona... rozmawiałyśmy, że ona... że ona da mi znak.

– Znak czego?

– Jeśli istnieje życie po śmierci, miała mi przysłać wiadomość.

– Jaką wiadomość? We śnie?

– Nie, nie we śnie. Ale i tak czekałam, aż mi się przyśni. Tak pragnę znów ją zobaczyć. Ale znak miał być inny.

– Chodzi ci o to, że... I co, dała ci znak?

– Tak, tak sędzę. Kilka dni temu.

– I co to było? – spytał mężczyzna z nieukrywanym podnieceniem. – Jaki to był znak? Jaki to miał być znak?

Znów nastąpiła długa cisza.

– Była profesorem, lektorką francuskiego na uniwersytecie. Jej ulubionym pisarzem był Marcel Proust, autor *W poszukiwaniu straconego czasu*. Miała wszystkie siedem tomów w oryginale, pięknie oprawione. Powiedziała, że wykorzysta Prousta. Oznaczać to będzie, że istnieje życie po śmierci.

– I co się wydarzyło?

– Pomyślisz, że jestem stuknięta.

– Nie, nie pomyślę. Ludzie od dawna zadają sobie pytanie, czy istnieje życie po śmierci? Od tysięcy lat usiłujemy się tego dowiedzieć zarówno na drodze nauki, jak i doświadczenia osobistego, tak jak ty i twoja matka. Nie pierwszy raz słyszę tego rodzaju historię. I nie oceniam ludzi.

Po jego słowach nastąpiła długa cisza. Erlendur siedział w fotelu i słuchał z zainteresowaniem. W głosie zmarłej było coś hipnotycznego, jakaś pewność i niezachwiana wiara, którą Erlendur podzielał. Szczerze wątpił w to, co mówiła Maria, i był przekonany, że seanse spirytystyczne jak ten, którego słuchał, nikomu nie przynoszą pożytku. Ale jednocześnie był pewien, że kobieta wierzy w to, co mówi, że to, co przeżyła, ma solidne oparcie w jej rzeczywistości.

Wreszcie cisza została przerwana.

– Zaraz po śmierci matki siedziałam w salonie i patrzyłam na książki Prousta. Bałam się oderwać od nich wzrok. Nie wydarzyło się nic. Całymi dniami siedziałam i obserwowałam regały. Spałam koło tych książek. Mijały tygodnie. Miesiące. Pierwsze, co robiłam rano po przebudzeniu, to patrzyłam na książki. Zanim położyłam się spać, sprawdzałam, czy coś się nie wydarzyło. Powoli zaczęłam sobie zdawać sprawę z tego, że to na nic, a im więcej o tym myślałam i gapiłam się na półki, tym bardziej orientowałam się, dlaczego nic się nie dzieje.

– Dlaczego? I dlaczego przyszedł do mnie?

– W końcu to do mnie doszło i poczułam ogromną wdzięczność. Moja matka wspierała mnie w żalu. Dała mi jakiś temat do rozważań po jej śmierci. Zdawała sobie sprawę z tego, że cokolwiek by powiedziała, nie zostanę pocieszona. Dobrze mnie przygotowała na swoją śmierć; dużo

rozmawialiśmy, zanim mówienie zaczęło ją męczyć. Rozmawialiśmy o śmierci i że da mi jakiś znak. Ale oczywiście nic się nie wydarzyło poza tym, że ulżyła mi w żałobie.

Cisza.

– Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

– Tak, mów dalej.

– Aż tu nagle przedwczoraj, prawie dwa lata po tym, jak mama odeszła. Przestałam obserwować regały i Marcela Prousta. Obudziłam się rankiem, udałam się do kuchni, nastawiłam kawę i poszłam po gazetę, a kiedy wracałam, zerknęłam do salonu i...

Szum taśmy wypełniał ciszę, która zapadła po słowach kobiety.

– Co? – szepnęło medium.

– Leżała otwarta na podłodze.

– Kto?

– *W stronę Swanna* Marcela Prousta. Pierwszy tom cyklu.

Kolejna długa pauza.

– Dlatego do mnie przyszłaś?

– Wierzysz w życie po śmierci?

– Tak. – Erlendur usłyszał szept medium. – Wierzę. Wierzę w życie po śmierci.

Erlendur obudził się wcześniej rano i pomyślał o starszym panu, który odwiedził go na komendzie, by zapytać o swego syna prawie trzy dekady po jego zaginięciu. To była jedna z pierwszych spraw, która długo nie dawała Erlendurowi spokoju, choć inni dawno się poddali. Wtedy wydział śledczy znajdował się w przemysłowej dzielnicy Kopavogur. Z tamtych czasów Erlendur pamiętał jeszcze dwa inne zaginięcia. Wiedział o nich sporo, choć to nie on nad nimi pracował. Kilka tygodni wcześniej młody człowiek wyruszył z przyjęcia w Keflaviku z zamiarem powrotu do domu w Njardvik, ale tam nie dotarł. Działo się to zimą, w nocy zerwała się nawałnica. Wszczęto poszukiwania i po trzech dniach na plaży znaleziono jego but. Szedł właściwą drogą, ale najwyraźniej uciekł przed pogodą w kierunku morza. Słuch o nim zaginął. Wyszedł z przyjęcia w koszuli i według tych, którzy się z nim bawili, był pijany.

Drugi był przypadek młodej dziewczyny z Akureyri. Studiowała na uniwersytecie i wynajmowała mieszkanie w Reykjaviku. Nie dało się ustalić, kiedy dokładnie zaginęła. Gdy najemca nie otrzymał czynszu za miesiąc z góry, poszedł do lokatorki, ale nikogo nie zastał. Dziewczyna nie miała obowiązku chodzić na zajęcia, bo pisała pracę z biologii. Była jedynaczką, a jej rodzice akurat wyjechali na dwumiesięczną wycieczkę do Azji, stamtąd tylko sporadycznie kontaktowali się z córką. Kiedy wrócili, postanowili odwiedzić ją w stolicy, ale jej nie było. Do mieszkania wpuścił ich właściciel. W środku wszystko było jak zwykle. Wyglądało, jakby wyskoczyła na chwilę. Na stolikach leżały otwarte książki, bo przecież ślęczała nad pracą. Kilka szklanek w zlewie, łóżko niepościelone. Jakiś czas wcześniej telefonowała do swoich przyjaciółek w Akureyri, a dwaj koledzy z uczelni kontaktowali się z nią i podejrzewali, że przed kilkoma tygodniami wyjechała na północ. Teorię tę wspierał fakt, że leciwe auto, które posiadała, stary austin mini, także zniknęło.

Erlendur poszedł do kuchni i nastawił kawę. Włożył chleb do toster, a kiedy już kromka się przypiekła, posmarował ją masłem, po czym wyjął z lodówki ser i marmoladę. Zaczął zastanawiać się nad tym, co usłyszał na taśmie od Karen i co powinien teraz zrobić. Lepiej rozumiał stan psychiczny, w jakim znajdowała się Maria przed samobójstwem.

Erlendur myślał także o Sindrim i Evie. I swojej byłej żonie, Halldorze. Nie

potrafił sobie wyobrazić spotkania z nią, choć Eva Lind strasznie tego pragnęła. Bardzo rzadko myślał o Halldorze, bo myśl o niej za każdym razem wywoływała wspomnienia kłótni i niesnasków, zanim jeszcze wyprowadził się od niej i dwójki dzieci. Na rozwód długo pracowali. Chciał zrobić wszystko, aby nie okazał się trudny, ale za każdym razem kiedy nadmieniał, że chce z nią zerwać i wyprowadzić się, mówiła, że to absurd, że przecież mogą przewyciężyć trudności, i uciniała kwestię; zresztą ona żadnych trudności nie widziała i twierdziła, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi.

Erlendur przejrzał gazety, ale nie mógł uwolnić się od głosu Marii i słów, które wypowiedziała podczas seansu spirytystycznego. Ten seans musiał się odbyć stosunkowo niedawno, na nagraniu, które Erlendur cały czas miał pod ręką, wspominała o niecałych dwóch latach od śmierci matki. Zapewne nie był to pierwszy seans z tym medium. Erlendur zastanawiał się nad silną więzią między Marią a jej matką. Musiała być wyjątkowa. Najprawdopodobniej relacja ta zacieśniła się jeszcze po utonięciu ojca w jeziorze. Od tego czasu kobiety miały tylko siebie, na dobre i na złe. Czy znalezienie przez Marię książki na podłodze było czymś więcej niż tylko przypadkiem – tej książki, która miała być znakiem, że życie po życiu istnieje... A może ktoś zrobił mu głupi kawał? Czy Maria powiedziała komuś, swojemu mężowi lub innej osobie, o swojej umowie z matką, a potem zapomniała o tym? Może sama się zapomniała i nie odłożyła książki na półkę? Nie potrafił powiedzieć. Nagranie kończyło się stwierdzeniem Marii, że przyszła do medium z powodu znaku, jaki otrzymała od matki. Przyszła, żeby znaleźć potwierdzenie znaku, skontaktować się z matką, jeśli to możliwe, i pogodzić z jej śmiercią. Samobójstwo z kolei dowodziłoby, że Maria nie zaznała pociechy. Wręcz przeciwnie, cała ta sprawa popchnęła ją do tego, żeby skończyć z życiem.

Usiłował znaleźć wytłumaczenie dla dziwnego pragnienia, które go ogarnęło, gdy słuchał kasety. Odczuł potrzebę, by dowiedzieć więcej, poznać lepiej kobietę, która odebrała sobie życie, poznać jej przyjaciół i rodzinę, zbadać drogę przez życie, która zakończyła się pętlą w domku letniskowym. Pragnął zgłębić tę sprawę, odnaleźć medium i przesłuchać, odgrzebać historię znad jeziora Thingvallavatn, dowiedzieć się, kim była Maria. Pomyślał o głosie, który kazał Marii uważać na siebie, bo nie wiedziała, co robi. Skąd pochodził ten głos, mroczny i twardy?

Erlendur wciąż siedział przy stole kuchennym, wypił kawę, nie miał pojęcia, po co traci czas, a myśli poszybowały ku jego matce w suterenie, do której się przeprowadziła po śmierci ojca. Pracowała przy rybach, ciężko, nie

oszczędzała się, jak zawsze, a Erlendur regularnie ją odwiedzał, czasem przynosił pranie. Częstowała go czymś, a potem siedzieli i słuchali radia albo jej czytał; matka z robótką w rękach, może z szalikiem dla niego. Nie musieli dużo rozmawiać, wystarczały im bliskość i milczenie.

Kiedy umarł ojciec, była w średnim wieku, a mimo to nie znalazła sobie nikogo. Mówiła, że lubi samotność. Utrzymywała kontakty z krewnymi i przyjaciółmi na wschodzie kraju i ludźmi, których znała ze wsi, a którzy jak ona przeprowadzili się do Reykjavíku. Islandia cały czas się zmienia, ludzie uciekają ze wsi. W mieście nigdy nie była samotna, powiedziała Erlendurovi. Mimo to kupił jej telewizor. Ale w sumie czuła się świetnie sama ze sobą i rzadko prosiła, by cokolwiek dla niej robił.

Nigdy nie poruszali tematu Bergura, który nagle i niespodziewanie zniknął. Zdarzało się czasem, że rzuciła coś ogólnego na temat chłopca albo na temat braci, ale nigdy nie wspominała o stracie syna. To była jej prywatna sprawa i Erlendur szanował milczenie.

– Twój tata chciałby to wiedzieć, zanim umarł – powiedziała któregoś razu, gdy ją odwiedził. Cały prawie wieczór przesiedzieli w milczeniu. Tego dnia, kiedy to się stało, zawsze odwiedzał matkę, w dzień, kiedy to się wydarzyło, dzień, w którym jego, młodszego brata i ojca zaskoczyła nawałnica.

– Tak – przytaknął Erlendur.

Wiedział, co matka ma na myśli.

– Myślisz, że kiedyś się dowiemy? – spytała i podniosła wzrok znad książki, którą jej podarował. Pod wieczór przemógł się, by dać jej ten tom, niepewny, czy robi słusznie.

– Nie wiem – odparł. – Dużo czasu minęło.

– Tak. Dużo czasu minęło.

I potem wróciła do lektury.

– Co za głupota – powiedziała i znów podniosła wzrok znad książki.

– Wiem – zgodził się Erlendur.

– A co ludziom do tego, to moja sprawa i taty. Kogo to obchodzi?

Milczał.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek to czytał – oburzyła się matka.

– To naturalnie nie od nas zależy – zauważył Erlendur.

– I jeszcze to o tobie.

– Mam to w nosie.

– To zostało wydane?

– Tak, to trzeci tom z cyklu. Ostatni. Wyszedł teraz przed świętami. Znasz tego pisarza? Tego Dagbjartura?

- Nie – odpowiedziała. – Rozmawiał z ludźmi na wsi.
- Tak sędzę. To bardzo dokładny opis i większość z tego, co pisze, to prawda.
- Nie powinien mówić tego o mnie i o twoim tacie.
- Oczywiście, że nie.
- To wobec niego niesprawiedliwe.
- Nie wiem.
- Skąd on to wziął?
- Nie wiem.

Matka zamknęła książkę.

– Ależ on głędzi, ten człowiek, nie chcę, żeby ktokolwiek to czytał – powtórzyła.

– Tak – odpowiedział.

– Nikt – powiedziała i podała mu książkę. Widział, że powstrzymuje łzy. – Zupełnie jakby to była jego wina. Ależ to brednie.

Wziął książkę. Może nie powinien był jej pokazywać matce? Albo lepiej ją przygotować do lektury *Tragedii na wrzosowisku Eskifjardarheidi*, bo taki nosił tytuł ten rozdział. Nie miał zamiaru pokazywać tej opowieści nikomu innemu. Matka miała rację, nie było powodu, by się chwalić treścią.

Tamtej zimy, kiedy wyszedł tom z reportażem o ich tragedii, matka zachorowała na gripę. Nic o tym nie wiedział, zaabsorbowany robotą. Matka nie chciała sprawiać mu kłopotu. Poszła do pracy nie całkiem zdrowa i znów się rozłożyła. Leżała i czuła się coraz gorzej. Kiedy wreszcie skontaktowała się z Erlendurem, była bliska śmierci. Serce osłabło i się poddało. Zawiózł ją do szpitala, ale niewiele już mogli zrobić. Kiedy zmarła, miała zaledwie sześćdziesiąt lat.

Erlendur sączył kawę, która zdążyła wystygnać. Wstał i poszedł do salonu. Wziął trzeci tom z półki, ten sam egzemplarz, który wiele lat temu trzymała jego matka. Była okropnie zła na autora tej relacji, uważała, że wszedł z butami w życie rodziny. Erlendur się z nią zgadzał, w książce znalazły się kwestie, które choć prawdziwe, były wyłącznie ich sprawą. Jego dzieci, Sindri i Eva, wiedziały, że ta relacja istnieje, ale on unikał myśli o pokazaniu jej im. Zapewne przez wzgląd na ojca. A może z powodu reakcji matki.

Erlendur odłożył książkę na miejsce i znów zaczął rozmyślać o kobiecie z Grafarvogur. Z jakiej przyczyny się powiesiła? Co się stało nad jeziorem, kiedy zginął jej ojciec? Chciał wiedzieć więcej. Ale to będzie jego prywatna sprawa i będzie musiał postępować ostrożnie, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Rozmawiać z ludźmi i wyciągać wnioski jak w każdym innym

śledztwie. Będzie musiał kłamać co do powodów swego wścibstwa i wymyślać fałszywe zadania. A przecież nie raz, nie dwa, robił rzeczy, z których nie był szczególnie dumny.

Chciał się dowiedzieć, dlaczego tę kobietę spotkał okrutny i samotny los nad jeziorem, nad którym i jej ojciec stanął oko w oko ze śmiercią.

*Ważne było również to, co było napisane na stronie, na której książka się otworzyła, zdanie na temat nieba.*

*Seans z medium okazał się dla Marii niejakim wsparciem. Była przekonana, że matka dała jej znak, wyciągając W stronę Swanna z półki. Nie potrafiła wyjaśnić sobie tego inaczej, a bardzo zdolny i wyrozumiały człowiek, który był medium, raczej się z nią zgodził. Opowiedział jej o podobnych zdarzeniach, kiedy to zmarli dawali o sobie znać, czy to wprost, czy poprzez sny, i to przez sny wcale nie najbliższych osób.*

*Maria nie powiedziała medium o tym, że kilka miesięcy po śmierci Leonory zaczęła miewać bardzo realistyczne wizje, których się nie obawiała pomimo swojej nyktofobii. Leonora ukazywała się jej w drzwiach albo w korytarzu lub siadała przy niej na łóżku. Jeśli Maria wychodziła do salonu, widywała Leonorę stojącą przy regałach lub siedzącą na swoim ulubionym krześle w kuchni. Ukazywała się jej nawet wtedy, kiedy Maria wychodziła z domu, jako mgliste odbicie w witrynie sklepowej lub twarz, która pojawiła się na chwilę w tłumie.*

*Z początku wizje te nie trwały długo, tyle co moment, ale z czasem były dłuższe, stawały coraz wyraźniejsze, a bliskość Leonory – coraz bardziej namacalna. W podobny sposób Maria przeżywała śmierć ojca. Zapoznała się z literaturą na temat tego typu zjawisk w czasie żałoby i wiedziała, że wizje mogą mieć związek z utratą bliskiej osoby i takimi uczuciami jak choćby poczucie winy czy trwający długo lęk. Wiedziała także, że badania nad zjawiskiem dowodzą, iż to jej umysł, wewnętrzne oko, je wywołuje. Była osobą wykształconą i nie wierzyła w duchy.*

*Niemniej nie chciała odrzucać żadnej możliwości. Nie była już taka pewna, że nauka zna odpowiedź na wszystkie ludzkie pytania.*

*Z czasem w Marii umacniała się wiara, że te jej wizje to coś więcej niż tylko duchowa ułuda, którą wywołują jej umysł, depresja i przeciwności losu. Przez jakiś czas wizje były tak wyraźne, że uznała, iż pochodzą z innego świata, niezależnie od tego, co na ten temat mówiły nauki ścisłe. Powoli zaczęła wierzyć, że taki świat może istnieć. Znów przypomniała sobie słowa Leonory, utwierdzające ją w tym prze konaniu, o bliskości śmierci i świetle, o związanej z tym miłości, o świetlistej boskiej istocie, o nieważkości w ciemnym tunelu prowadzącym do jasności. Nie szukała pomocy, przeżywając doznania, lecz sama*



usiłowała określić stan swego ducha, jak zawsze rozważnie i trzeźwo.

Tak minęły niemal dwa lata. Z czasem wizje stały się rzadsze i przestała obserwować dzieła Prousta. Odzyskała równowagę w życiu, choć wiedziała, że już nigdy nie będzie tak jak za życia matki. Któregoś dnia wcześniej wstała i spojrzała na półki z książkami.

Nic się nie zmieniło.

Chociaż...

Znów spojrzała na książki.

Zakręciło jej się w głowie, kiedy zauważyła, że brakuje pierwszego tomu. Powoli zbliżyła się do półek i zauważyła W stronę Swanna na podłodze.

Nie miała odwagi wziąć książki do ręki, ale przycupnęła nad nią i wbiła wzrok w otwarte strony. Przeczytała:

Choć lasy pociemniały

Niebo wciąż błękitne...

Sigurdur Oli zjawił się w pracy z kaszlem i elegancko wysmarkał nos w jednorazową chusteczkę, którą wyciągnął z kieszeni. Powiedział, że nie chce mu się siedzieć w domu, choć jeszcze nie wyleczył się z grypy. Pomimo jesienno zimna miał na sobie nowy, jasny prochowiec. Odwiedził też siłownię, a wcześniej rano był u fryzjera. Kiedy natknął się na Erlendura, wyglądał nieźle, pomimo choroby.

– Wszystko *honki dori*, co nie? – zagaił.

– Jak się masz? – spytał go Erlendur, puszczając mimo uszu idiotyczne słowa, które Sigurdur Oli wypowiedział tylko po to, by go rozdrażnić.

– Tak sobie. Coś się dzieje?

– Jak zwykle. Masz zamiar się do niej wprowadzić?

To samo pytanie zadał mu Erlendur, zanim Sigurdur Oli zapadł na gripę. Lubił Bergthorę, żonę Sigurdura, i szkoda mu było, że tak się stało w ich związku. Kiedyś krótko rozmawiali na temat powodów rozstania i Erlendur odniósł wrażenie, że jakieś szanse jeszcze istnieją. Wtedy Sigurdur Oli mu nie odpowiedział, a tym razem także zbył go milczeniem. Źle znosił wścibstwo Erlendura.

– Słyszałem, że ciągle grzebiesz się w zaginięciach? – rzucił i zaraz zniknął za węglem.

Roboty było mniej niż zwykle i Erlendur wyjął z archiwum raporty na temat trzech zaginięć sprzed niemal trzydziestu lat. Położył je na biurku. Dobrze pamiętał rodziców dziewczyny. Odwiedził ich po dwóch miesiącach od zgłoszenia zaginięcia, kiedy poszukiwania ich córki nie przyniosły żadnych rezultatów. Przyjechali z Akureyri i zatrzymali się w Reykjavíku u znajomych, którzy akurat wyjechali. Erlendur zdawał sobie sprawę, że bardzo cierpią od czasu, gdy ich córka zaginęła. Kobieta miała opuchniętą, zmęczoną twarz, a jej mąż był nieogolony i z podkrążonymi oczami. Trzymali się za ręce. Komisarz wiedział, że szukali pomocy u psychologa i obwiniali siebie o to, co się stało; wszystko przez tę długą wycieczkę, podczas której mieli bardzo ograniczony kontakt z córką. O takiej wyprawie marzyli od dawna, chcieli zobaczyć Daleki Wschód. Wyjechali do Chin i Japonii, dotarli do Mongolii. Ostatnim kontaktem z córką była przerywana rozmowa z hotelu w Pekinie. Musieli zamówić dużo wcześniej, a połączenie było fatalne. U córki wszystko było w porządku i cieszyła się, że opowiedzą jej

o wyprawie.

– Wtedy ostatni raz ją słyszeliśmy – cicho powiedziała kobieta podczas wizyty Erlendura. – Wróciliśmy do domu dopiero dwa tygodnie później i wtedy już jej nie było. Dzwoniliśmy z Kopenhagi i z lotniska w Keflaviku, ale nie odbierała. Kiedy zjawiliśmy się u niej w domu, już jej nie zastaliśmy.

– Dobrze połączenia telefoniczne mieliśmy dopiero po powrocie do Europy – powiedział mąż. – Wtedy próbowaliśmy się dodzwonić do Gudrun, ale nie odbierała.

Erlendur skinął głową. Zakrojone na szeroką skalę poszukiwania ich córki Gudrun, zdrobniale nazywanej Duna, nie przyniosły żadnego rezultatu. Rozmawiano z jej przyjaciółmi, kolegami z uczelni, krewnymi, ale nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zniknęła, ani wyobrazić sobie, co się z nią stało. Przeczesano plaże w Reykjavíku i okolicach. Użyto pontonów do monitorowania wybrzeża, nurkowie przeszukali głębiny. Nikt nie zauważył mini austina; choć poszukiwania wokół Reykjavíku, na szosie do Akureyri i na wszystkich najważniejszych drogach krajowych prowadzono nawet z powietrza, dziewczyny nie znaleziono.

– To był raczej taki grat, kupiła go na północy – wyjaśnił jej ojciec. – Wsiąść do niego można było jedynie od strony kierowcy, drzwi od strony pasażera zatrzasknięte były na stałe, korbki do szyb zepsute, bagażnik się nie otwierał, ale bardzo lubiła ten samochód i często nim jeździła.

Rodzice opowiedzieli o jej zainteresowaniach. Jednym z nich były jeziora. Gudrun studiowała biologię i szczególnie interesowały ją jeziora i ich fauna oraz flora. Wzięto to pod uwagę podczas akcji poszukiwawczej, prowadzonej wokół jezior w okolicach Reykjavíku i Akureyri i wzdłuż drogi na północ, ale bez rezultatu.

Erlendur podniósł wzrok znad raportu. Nie miał pojęcia, co się teraz dzieje z tymi ludźmi. Pewno nadal mieszkali w Akureyri, oboje koło osiemdziesiątki, niepracujący już na pewno i cieszący się z przywilejów starości. Przez pierwsze lata kontaktowali się z nim dość często, ale długo nie miał od nich żadnych wieści.

Wyciągnął drugi segregator. Zaginięcie młodego człowieka z Njardvíku zdawało się mieć bardziej oczywiste przyczyny. Nieprzystosowany do pieszej wędrówki między dwoma gminami: droga nie była długa, zerwała się nawałnica, która mogła spowodować jego śmierć. Pewno uciekł w stronę brzegu i fale uniosły ciało na otwarte morze. Upojenie alkoholowe, prawdopodobnie spore, osłabiło jego instykt samozachowawczy i zdolność oceny sytuacji, pozbawiło sił i woli działania. Miejscowe oddziały ratunkowe,

krewni zaginionego i przyjaciele przeszli w pierwszych dniach wzdłuż brzegu z Gardskagaviti do Alftanes. Nie znaleziono żadnych śladów jego wędrówki i z powodu złej pogody przerwano akcję poszukiwawczą. Wszystko na nic.

Erlendur skontaktował się z Karen, przyjaciółką Marii, i powiedział jej, że przesłuchał kasety, którą mu zostawiła. Rozmawiali dłuższą chwilę i kobieta podała mu nazwiska kilkorga ludzi związanych z Marią. Nie spytała go, dlaczego interesuje się sprawą, ale zdawała się zadowolona z jego reakcji.

Jedną z osób wspomnianych przez Karen był niejaki Ingvar i Erlendur postanowił go odwiedzić. Ten uprzejmie przyjął komisarza i wysłuchał wyjaśnień Erlendura dotyczących powodów, dla których pyta o Marię. Spotkali się późnym popołudniem, kiedy ulewa rozszalała się nad miastem. Erlendur powiedział, że policja bierze udział w zakrojonych na szeroką skalę badaniach nad samobójstwami, prowadzonych we współpracy z innymi krajami nordyckimi. Nie było to całkiem niezgodne z prawdą. Takie badania odbywały się w wielu krajach, a policja w nich pomagała, udzielając informacji. Celem miała być analiza problemu, jak podano w szwedzkim raporcie, poznanie przyczyn samobójstw, ich częstotliwości wśród różnych grup wiekowych, społecznych, także wśród kobiet i mężczyzn, i wyznaczenie wspólnych cech, jeśli takowe są.

Erlendur mówił i mówił, a Ingvar słuchał z zainteresowaniem. Stary przyjaciel rodziny i towarzysz Magnusa, ojca Marii, był koło siedemdziesiątki. Sprawiał wrażenie nieruchawego i powolnego. Poruszyły go wieści o Marii, poszedł na jej pogrzeb, powiedział nawet, że był piękny. Nie miał pojęcia, dlaczego kobieta popełniła samobójstwo.

– Chociaż wiedziałem, że nie było jej łatwo.

Erlendur sączył kawę, którą poczęstował go gospodarz.

– O ile wiem, śmierć ojca miała na nią fatalny wpływ – powiedział, odstawiając filiżankę.

– Fatalny – powtórzył Ingvar. – Straszny, bo żadne dziecko nie powinno czegoś takiego przeżywać. Była świadkiem tego wszystkiego.

Erlendur skinął głową.

– Magnus i Leonora weszli w posiadanie tego domku letniskowego niedługo po ślubie – snuł swoją opowieść Ingvar. – Często zapraszali mnie z Joną, moją świętej pamięci małżonką, na weekendy i z innych okazji. Miał bzika na punkcie wędkarstwa i usiłował rozpalić tę pasję w małej Marii, ale ona nie chciała. Podobnie jak Leonora. Nigdy nie brała udziału w wyprawach na ryby.

– To znaczy, że ich nie było z nim na łódce?

– Skąd! Magnus był sam, zresztą znajdziesz to w waszych raportach policyjnych. W tamtych czasach ludzie nieczęsto zakładali kapoki, rzadko mieli je pod ręką. Magnus też nie miał, wypływając się na jezioro. O ile pamiętam, w wyposażeniu były dwa kapoki, ale Magnus zawsze mówił, że ich nie potrzebuje, i trzymał je w hangarze. Zresztą najczęściej nie wypuszczał się daleko. Raczej tak przy brzegu.

– Ale tym razem wypłynął dalej?

– Tym razem tak, z tego co mi wiadomo. To był bardzo zimny dzień. Ta sama pora roku, jesień.

Ingvar umilkł.

– No i straciłem jednego z moich najlepszych przyjaciół. – Gospodarz zamyślił się.

– To bardzo bolesne – powiedział Erlendur.

– Jego łódka wyposażona była w silnik zewnętrzny i z tego co później mówiła policja, odpadła śruba i łódka stanęła w dryfie. Zatrzymała się. Magnus nie miał wiosła i kiedy zaczął grzebać przy silniku, wypadł za burzę. Był otyły, dużo palił i mało się ruszał. To mu na pewno nie pomogło. Leonora mówiła, że wiało dość mocno, lodowaty wiatr od góry Skjaldbreid, i nie ma się co dziwić, że Magnus utonął. O tej porze roku woda w jeziorze jest lodowata. Ledwie kilka minut da się w niej przeżyć.

– Tak, jasne – przytaknął Erlendur.

– Leonora mówiła mi, że łódka nie była więcej niż ze sto pięćdziesiąt metrów od brzegu. Nie widziała wypadku. Zobaczyły go w wodzie, słyszały jego krzyki, które szybko ucichły.

Erlendur skierował wzrok na okno salonu. Światła miasta migotały w deszczu. Ruch na ulicach zwalniał. Aż tutaj dochodził szum samochodów.

– Jego śmierć wywarła ogromny wpływ na matkę i córkę – powiedział Ingvar. – Leonora nie wyszła ponownie za mąż i całe życie mieszkała z Marią, nawet po ślubie córki. Jej mąż, lekarz, po prostu wprowadził się do nich.

– Były religijne?

– Wiem, że po wydarzeniach w Thingvellir Leonora znalazła pewne ukojenie w wierze. Jej pomogła i bez wątpienia pomogła także córce. Maria była bardzo grzecznym dzieckiem, co by nie powiedzieć. Leonora nigdy nie miała z nią żadnych kłopotów. Poznała tego lekarza, który o ile wiem, jest przyzwoitym człowiekiem. Wprawdzie nie bardzo go znam, ale rozmawiałem z nim po śmierci Marii. Jest oczywiście przybity, jak i my wszyscy, którzyśmy ją znali.

– Maria była absolwentką historii? – wtrącił Erlendur.

- Tak, interesowała się minionym, dużo czytała. Po matce to miała.
  - Wie pan, w czym się specjalizowała?
  - Nie, nie za bardzo – odparł się Ingvar.
  - Może religiami?
  - No, wydaje mi się, że po śmierci matki bardziej zainteresowała się życiem wiecznym. Wciągnęła się w spirytyzm, poglądy ludzi na życie po śmierci i takie tam.
  - Czy Maria może kontaktowała się z medium czy jasnowidzami?
  - Nie, nie mam pojęcia. Nie zwierzała mi się. Pytał pan jej męża?
  - Nie – odparł Erlendur. – Tak tylko mi przyszło do głowy. Zauważył pan może, czy była jakaś bardzo przygnębiona? Mógł pan pomyśleć, że ona tak skończy?
  - Nie, nie mogłem. Spotkałem ją kilka razy i rozmawialiśmy przez telefon, ale nie byłem w stanie usłyszeć, że... właściwie to wręcz przeciwnie, zdawało mi się, że coraz lepiej sobie z wszystkim radzi. Ostatni raz rozmawiałem z nią przez telefon kilka dni, zanim... zanim popełniła ten czyn. Sprawiała wrażenie bardziej zdecydowanej niż wcześniej, nastawionej bardziej optymistycznie, jeśli już. Wydawało mi się, że widzę u niej oznaki poprawy. A potem dotarło do mnie, że tak właśnie czasem się dzieje.
  - Jak?
  - Tacy ludzie jak ona ożywiają się, kiedy już podejmą decyzję.
  - Jak pan sądzi, jaki wpływ na młodą osobę musiał mieć wypadek w Thingvellir, którego była świadkiem?
  - Trudno oczywiście postawić się w jej położeniu. Z Marią stało się tak, że przykleiła się do matki i po wypadku czerpała z niej siłę i wiarę. Przez pierwsze miesiące i lata Leonora ciągle miała ją na głowie. To oczywiste, że takie zdarzenie wywiera głęboki wpływ na człowieka i towarzyszy mu przez całe życie.
  - Tak – rzekł Erlendur. – Razem go opłakiwały.
- Ingvar milczał.
- Wie pan, dlaczego silnik się zepsuł? – zapytał Erlendur.
  - Nie. Ponoć odpadła śruba. Tylko tyle wiedzieliśmy.
  - Czy on coś przy nim grzebał?
  - Magnus? Skąd. On się na takich rzeczach nie znał. Nigdy do żadnych maszyn się nie dotykał. W każdym razie nic o tym nie wiem. Gdyby się pan chciał dowiedzieć czegoś więcej o Magnusie, proszę porozmawiać z jego siostrą Kristin. Może ona coś pomoże. Proszę z nią porozmawiać.

Tego samego dnia Erlendur odwiedził jeszcze kolegę szkolnego Marii. To był Jonas, dyrektor finansowy w firmie farmaceutycznej. Gabinet miał przestronny, był nienagannie ubrany w szyty na miarę garnitur, z jaskrawożółtym krawatem. Wysoki i szczupły z trzydniowym zarostem; przypominał nieco Sigurdura Olego. Erlendur zadzwonił do Jonasa, który zdziwił się śledztwem w sprawie samobójstwa jego koleżanki z klasy. Nie wiedział, jaki ma z tym związek, ale nie zadał żadnego pytania, z którym Erlendur mógłby mieć kłopot.

Począł, aż Jonas skończy rozmowę telefoniczną, którą rzekomo musiał odbyć z kimś z zagranicy, jak zrozumiał Erlendur. Na półce komisarz zauważył zdjęcie kobiety z trójką dzieci. Pomyślał, że to rodzina dyrektora finansowego.

– Tak, chodzi o Marię, czy to prawda, co mówią? – zwrócił się Jonas do Erlendura, odłożywszy wreszcie słuchawkę. – Popelniła samobójstwo?

– To prawda – potwierdził Erlendur.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Jonas.

– Poznaliście się w liceum, prawda?

– Byliśmy razem trzy lata, dwa w liceum i rok na uniwerku. Ona poszła na historię, jak panu zapewne wiadomo. Była prawdziwym molem książkowym.

– Mieszkaliście razem czy...?

– Ostatni rok. Wtedy miarka się przebrała.

Jonas zamilkł. Erlendur czekał.

– Jej mama była... do wszystkiego się wtrącała, jeśli mam być szczery – powiedział Jonas. – I najdziwniejsze, że dla Marii to było normalne. Wprowadziłem się do niej w Grafarvogur, ale szybko się poddałem. Leonora była wszędzie i nie mieliśmy z Marią chwili spokoju. Rozmawiałem z nią na ten temat, ale ona uważała, że wszystko jest w porządku, chciała mieć matkę przy sobie i postawiła na swoim. Trochę się o to kłóciliśmy, a potem po prostu mi się odechciało i się wyprowadziłem. Nie wiem, czy Maria odczuła moje odejście jako stratę. Rzadko ją potem widywałem.

– Potem wyszła za męża – zauważył Erlendur.

– Tak, za jakiegoś lekarza chyba.

– To nie całkiem zerwał pan kontakt?

– Po prostu o tym gdzieś usłyszałem i wcale mnie to nie zdziwiło.

– Spotykał się pan z nią po waszym zerwaniu?

– Dwa, może trzy razy przez przypadek, na imprezach czy balangach. Wszystko było w porządku, Maria była fajną dziewczyną. To straszne, że dokonała takiego czynu.

W kieszeni Erlendura odezwała się komórka. Przeprosił i odebrał.

– Ona się zgadza – usłyszał głos Evy Lind.

– Co?

– Spotkać się z tobą.

– Kto?

– Mama. Spotka się z tobą. Zgodziła się z tobą spotkać.

– Jestem na spotkaniu – powiedział Erlendur i spojrzał na Jonasa, który ciągle gładził żółty krawat.

– A ty co na to? – spytała Eva Lind.

– Możemy porozmawiać później? – rzucił Erlendur. – Jestem na spotkaniu.

– Powiedz tylko: tak czy nie?

– Porozmawiamy później – powiedział Erlendur.

Wyłączył telefon.

– Czy śmierć miała jakieś szczególne znaczenie dla Marii? – zapytał Jonasa.

– Czy dużo na jej temat rozmyślała? Pamięta pan?

– Niespecjalnie. Chyba. Nie rozmawialiśmy w ogóle na ten temat, przecież byliśmy jeszcze młodzi. Natomiast zawsze bała się ciemności. To chyba najbardziej zapamiętałem z naszego związku, ten jej lęk przed ciemnością. Bała się zostawać sama w domu po zmierzchu. Myślę, że chyba dlatego tak bardzo chciała mieszkać z Leonorą. Ale...

– Tak?

– Mimo że tak bała się ciemności, a może właśnie dlatego, cały czas czytała książki o duchach, wszystkie, *Opowieści gminne* Jonasa Arnasona i tym podobne. Jej ulubione filmy to horrory o zombi i tego typu produkcje. Wchłaniała to wszystko, a potem bała się zasnąć. Nigdy nie mogła być sama. Zawsze ktoś musiał przy niej siedzieć.

– I czego się wtedy obawiała?

– Ja nigdy tego nie zrozumiałem, bo sam mam to gdzieś, nigdy nie bałem się ciemności. Nie za bardzo jej słuchałem.

– Ale ona pielęgnowała ten lęk?

– Najwyraźniej.

– A czy była wrażliwa na otoczenie? Miała jakieś zwidy, omamy słuchowe? Czy ten lęk przed ciemnością wynikał z jakichś przeżyć, z czegoś, co znała?

– Nie sądzę. Ale pamiętam, że czasem budziła się i patrzyła w stronę drzwi, jakby coś zobaczyła. A potem to mijało. Myślę, że to było coś, co przychodziło za nią ze snów. Nie miała na to żadnego wytłumaczenia. Czasami zdawało jej się, że widzi jakieś istoty ludzkie. Zawsze między snem a jawą. To po prostu było coś w jej głowie.



- A rozmawiała z nią?
- Nie, to nie było nic takiego. Jak mówię, tylko sny.
- Może to niedelikatne, ale chcę zapytać o jej ojca.
- Tak, jasne. On był jedną z tych istot.
- Które widziała?
- Tak.
- Kiedy pan z nią był, chodziła na seanse spirytystyczne?
- Nie.
- Ale wiedziałby pan o tym?
- Tak. Nic takiego nie robiła.
- A ten lęk przed ciemnością czym się objawiał?
- Normalnie, myślę. Bała się iść sama do pralni. Nie chodziła sama do kuchni. Wszędzie, gdzie przebywała, musiało palić się światło. Musiała mnie słyszeć, jeśli ruszała się wieczorem po mieszkaniu, zwłaszcza jak było bardzo późno. Źle się czuła, kiedy nie było mnie w domu, gdy nie mogłem być przy niej w nocy.
- Szukała jakiejś pomocy z tego powodu?
- Pomocy? Nie. Czy to nie jest coś, co po prostu... Czy można szukać pomocy, jak się człowiek boi ciemności?
- Erlendur tego nie wiedział.
- Może. Jakiś psycholog czy ktoś taki – odparł.
- Nie, niczego takiego nie było, w każdym razie nie wtedy, kiedy byliśmy razem. Może pan spytać jej męża.
- Erlendur skinął głową.
- Dziękuję za pomoc – powiedział i wstał.
- Nie ma za co – odparł Jonas i drobną dłonią znów pogładził żółty krawat.

Wizyta starszego pana, chcącego usłyszeć wieści na temat zaginionego syna, głęboko zapadła w pamięć Erlendurowi. Koniecznie chciał coś dla niego zrobić, ale wiedział, że tak naprawdę uczynić może bardzo niewiele. Sprawa już dawno została zamknięta. Niewyjaśnione zaginięcie. Najprawdopodobniej młody człowiek targnął się na własne życie. Erlendur usiłował przekonać o tym starszych państwa, ale oni nie dopuszczali takiej możliwości. Synowi obce były tego typu pomysły i nigdy czegoś takiego nie próbował. Cieszył się życiem, był szczęśliwy i nigdy nie przyszłoby mu na myśl targnąć się na swoje życie.

To samo twierdzili jego przyjaciele, z którymi Erlendur swego czasu rozmawiał. Wykluczyli możliwość popełnienia przez Davida samobójstwa. Twierdzili, że sam pomysł jest niedorzeczny, ale poza tym niewiele mogli wniesć do sprawy. Nie miał nic wspólnego z ludźmi, którzy mogliby mu wyrządzić jakąkolwiek krzywdę, był po prostu zwyczajnym islandzkim chłopakiem kończącym naukę w liceum i wraz z dwoma najlepszymi przyjaciółmi zacząłby studia prawnicze.

Z jednym z tych przyjaciół siedział teraz Erlendur w jego biurze. Dziesiątki lat minęły od czasu, jak ostatni rozmawiali na temat zaginięcia chłopaka. Przyjaciel skończył prawo, został sędzią sądu najwyższego i wraz z dwoma innymi prawnikami prowadził dużą kancelarię. Od tamtego czasu przybyło go trochę, włosy w większości stracił, a pod oczami pojawiły się wory. Erlendur przypomniał sobie chłopaka, z którym spotkał się jakieś trzydzieści lat wcześniej; młodego, szczupłego, umięśnionego człowieka, wchodzącego w życie, które przez lata odcisnęło na nim swoje piętno, uczyniło zeń faceta w średnim wieku, zmęczonego i zapracowanego.

– Dlaczego ponownie przyszedł pan wypytywać o Davida, coś nowego się pojawiło? – spytał prawnik, zadzwonił do sekretariatu i poprosił, by mu nie przeszkadzano. Erlendur przywitał się z sekretarką, uśmiechniętą kobietą w wieku średnim.

Działo się to dwa dni po rozmowie Erlendura z byłym narzeczoną Marii. Elinborg twierdziła, że ostatnio komisarz nie zajmuje się w pracy niczym innym, tylko przeglądaniem starych raportów z zaginięć. Erlendur poprosił ją, by się o niego nie martwiła. „Ależ ja się o ciebie nie martwię”, odparła. „Martwię się o pieniądze podatników”.

– Nie, nic nowego – odpowiedział Erlendur prawnikowi. – Myślę, że jego ojciec umiera. To ostatnia okazja, aby cokolwiek zrobić, zanim odejdzie.

– Czasem o nim myślę – przyznał prawnik, który na imię miał Thorsteinn.

– Bardzo się z Davidem przyjaźniłem i bardzo mnie smuci, że nie dało się wyjaśnić, jaki spotkał go los. To bardzo przykre.

– Myślę, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – odparł Erlendur.

– Nie wątpię. Pamiętam pańskie zaangażowanie. Był z panem jeszcze ktoś od was...?

– Marion Briem – potwierdził Erlendur. – Razem prowadziliśmy tę sprawę. Marion nie ma już wśród żywych. Przeglądałem stare raporty. Pan był na wsi, kiedy on zaginął.

– Tak, moi rodzice pochodzą z Kirkjubaejarklaustur. Byłem wtedy u nich w odwiedzinach. Mniej więcej przez tydzień. Dopiero kiedy wróciłem, dowiedziałem się o Davidzie.

– Wtedy wspominał pan o rozmowie telefonicznej, waszej ostatniej rozmowie. Był pan w Kirkjubaejarklaustur. I on tam zadzwonił.

– Tak. Pytał, kiedy wracam.

– I chciał coś panu powiedzieć.

– Tak.

– Ale nie chciał powiedzieć co.

– Nie. Był bardzo tajemniczy, ale też zadowolony. Chciał mi przekazać jakieś dobre wieści, a nie złe. Specjalnie go o to zapytałem. Roześmiał się. Powiedział, żebym się nie martwił, bo wszystko się wyjaśni.

– Ale był zadowolony z tych wieści?

– Tak.

– Wiem, że pytaliśmy już o to swego czasu.

– Tak było. Ale nie byłem w stanie wam pomóc. Tak jak teraz.

– Jedynie powiedział pan wówczas, że David miał jakieś wieści do przekazania, z których sam był zadowolony.

– Tak.

– Jego rodzice nie mieli pojęcia, co to mogło być.

– Nie. Najwyraźniej nikomu o tym nie opowiedział.

– A może teraz domyśla się pan, co to mogło być?

– To tylko hipotezy. Kiedyś, dużo później, myślałem, że chodziło o dziewczynę, że spotkał dziewczynę, w której się zakochał, ale na pewno nic nie wiem. Pewno przyszło mi to do głowy, dopiero jak ponownie spotkałem Gilberta.

– David nie miał żadnej dziewczyny, kiedy zaginął?

– Żaden z nas nie miał. – Prawnik uśmiechnął się. – Jakoś wydaje mi się, że on byłby ostatnim z nas, który miałby narzeczoną. Jeśli chodzi o te rzeczy, był okropnie wstydlivy. Rozmawiał pan kiedyś z Gilbertem?

– Gilbertem?

– Wyprowadził się do Danii mniej więcej w tym czasie, kiedy David zniknął. Wrócił i mieszka teraz w Islandii. Jak sądzę, to może jedyna osoba, z którą nigdy nie rozmawialiście.

– Tak, przypominam sobie – powiedział Erlendur. – Wydaje mi się, że nigdy nie udało nam się z nim porozmawiać.

– Jechał do pracy w hotelu w Kopenhadze na rok, ale tak mu się tam spodobało, że zamieszkał na stałe. Ożenił się z Dunką. Czasem do siebie telefonowaliśmy. Raz w czasie rozmowy wydało mi się, jakby zasugerował, że David znalazł jakąś pannę. Tak się zdawało Gilbertowi, ale to było niejasne.

– Niejasne?

– Tak. Bardzo.

Kiedy Erlendur spożył wieczorny posiłek i usiadł w swoim fotelu z książką, zadzwoniła do niego jego przyjaciółka Valgerdur. Usiłowała go namówić, żeby poszedł z nią do teatru. Chciała obejrzeć popularną komedię graną w Teatrze Narodowym i uparła się, by Erlendur jej towarzyszył. Opierał się, teatr go nudził. Jak dotąd nigdy nie udało się jej zabrać go z sobą do kina. Jedynym, przed czym się nie wzdragał, były koncerty; muzyka chóralna, soliści i muzyka symfoniczna. Ostatnio był z Valgerdur na wieczorze z chórem mieszanym ze Svarfadardalur. Kuzynka Valgerdur śpiewała w chórze, a on świetnie się bawił. Muzyka była do wierszy Davida Stefanssona.

– Podobno to bardzo śmieszna sztuka – zachęcała Valgerdur. – Lekka farsa. Spodoba ci się.

Erlendur się skrzywił.

– W porządku – zgodził się. – A kiedy?

– Pojutrze. Przyjadę po ciebie.

Usłyszał pukanie do drzwi i pożegnał się z Valgerdur. Na klatce stała Eva Lind, a obok niej Sindri. Przywitali się z ojcem i usiedli w salonie. Oboje wyciągnęli papierosy.

– Coś ty powiedział tym tam na górze? Nie słyszałem ich jazgotu od czasu, jak z nimi rozmawiałeś.

Sindri uśmiechnął się. Jego ojca wprowadziło w zdumienie, że już nie słyszy heavy metalu z mieszkania nad sobą. Erlendur zastanawiał się, co takiego

Sindri powiedział tym ludziom, co skłoniło ich w końcu do okazania sąsiadom odrobiny szacunku.

– Aj, to tacy niegroźni ludzie, dziewczyna z kolczykiem w brwi, a chłopak taki luzacki. Powiedziałem im, że zajmujesz się ściąganiem haraczy, że regularnie przymykają cię za stosowanie przemocy i że nie podoba ci się ten hałas.

– A ja myślałem, że się wyprowadzili – powiedział Erlendur.

– Wariat – rzuciła Eva Lind i spojrzała na brata. – Kłamiesz w jego imieniu?

– Ale to był straszny jazgot. – Sindri usprawiedliwił się.

– Przemyślałeś sprawę? – Eva Lind przeszła do rzeczy. – Z mamą... Spotkasz się z nią?

Erlendur nie odpowiedział od razu. Nie miał zbyt wiele czasu, żeby zastanowić się nad propozycją Evy Lind. Nie życzył sobie spotkania ze swoją byłą żoną, matką swoich dzieci, ale też nie chciał zbywać Evy, która najwyraźniej zapaliła się do tej sprawy.

– Po co to wszystko? – zapytał.

Erlendur patrzył na przemian to na córkę, to na syna, siedzących na sofie naprzeciwko niego. Pomalutku coraz częściej go odwiedzali, najpierw Sindri po przeprowadzce do Reykjavíku ze wschodu wyspy, gdzie pracował przy rybach, a potem Eva Lind, kiedy rzuciła narkotyki. Bardzo lubił te ich odwiedziny, zwłaszcza kiedy przychodzili razem. Lubił obserwować ich stosunki. Z tego, co wiedział, były dobre. Eva Lind, oddana starsza siostra, czasem występowała w roli wychowawczyni. Jeśli coś jej się nie podobało, waliła Sindremu prosto w oczy. Erlendur podejrzewał, że kiedy byli młodszy, chłopak czasem zostawał pod jej opieką. Sindri nie pozostawał siostrze dłużny i potrafił się odszczeknąć, ale wobec niej nie był niegrzeczny czy niecierpliwy.

– Myślę, że wam to dobrze robi – odpowiedziała Eva Lind. – Nie rozumiem dlaczego nie możecie ze sobą chociaż porozmawiać.

– A dlaczego chcesz się do tego wtrącać?

– Bo jestem waszą córką.

– I co powiedziała?

– Po prostu, że pogada. Że się z tobą spotka.

– Bardzo musiałaś nalegać?

– Tak. Jesteście tacy sami. Nie rozumiem, dlaczego się rozstaliście.

– A dlaczego tak ci na tym zależy?

– Na pewno jesteście w stanie ze sobą rozmawiać – tłumaczyła Eva Lind. –

Nie chcę, żeby dalej tak było. Ja... i Sindri też... my nigdy nie widzieliśmy was razem. Nigdy. Nie dziwi cię to? Uważasz, że to coś normalnego? Że wasze dzieci nigdy nie widziały was razem? Swoich rodziców?

– A to jakiś odosobniony przypadek? – Erlendur zwrócił się do Sindrego. – Ty też się przy tym upierasz?

– Mam to gdzieś – powiedział Sindri. – Eva próbowała mnie w to wciągnąć, ale ja mam to...

– Jesteś głupi osioł – przerwała mu Eva Lind.

– Nie, właśnie. Nie da się jej wytłumaczyć, że to po prostu nonsens. Jeśli ty i mama mielibyście ochotę ze sobą pogadać, już dawno byście to zrobili. Eva się po prostu wtrąca, jak zwykle. Nie potrafi się powstrzymać. Do wszystkiego się wtrąca, zwłaszcza jeśli to nie jest jej sprawa.

Eva Lind spojrzała na brata z wściekłością.

– Głupi jesteś – wycedziła.

– Myślę, Evo, że powinnaś dać sobie spokój – powiedział Erlendur. – To jest...

– Ona jest gotowa się spotkać – powiedziała Eva Lind. – Dwa miesiące namawiałam ją, żeby zmieniła zdanie. Nie masz pojęcia, ile mnie to kosztowało.

– Tak. Nie rozumiem, co usiłujesz zrobić, ale tak całkiem poważnie to myślę, że nie stać mnie na to.

– Dlaczego?

– Bo to... to, co było między mną a waszą mamą, już dawno się skończyło i wspomnianie minionych czasów nikomu nie pomoże. To już minęło. Skończyło się. Odeszło. Myślę, że lepiej o tym myśleć w ten sposób i nie oglądać się za siebie.

– A nie mówiłem? – Sindri spojrzał na siostrę.

– Patrzyć przed siebie! Bzdura!

– Przemyślałaś to do końca, Evo? – zapytał Erlendur. – Ona tu ma przyjść? A może ja mam pójść do niej? Czy też mamy się spotkać na neutralnym terenie?

Erlendur patrzył na Evę i zastanawiał się, jak to się stało, że mówiąc o byłej żonie, używa pojęć z okresu zimnej wojny.

– Na neutralnym terenie! – Eva Lind oburzyła się. – Ty myślisz, że łatwo się z wami rozmawia? Oboje jesteście walnięci!

Wstała.

– Dla ciebie to był tylko jeden wielki żart. Ja, mama i Sindri jesteśmy dla ciebie żartem!

- Ależ skąd, Evo. – Erlendur mitygował się. – Ja nie chciałem...
- Nigdy się dla ciebie nie liczyliśmy! – Eva się wściekła. – Nigdy nie słuchałeś tego, co mieliśmy do powiedzenia!
- Zanim Erlendur i Sindri cokolwiek zrobili, już była na klatce schodowej. Trzasnęła drzwiami aż zadudniło w całym bloku.
- Co...? Co się stało? – Erlendur zdziwił się i spojrzał na syna.
- Sindri wzruszył ramionami.
- Zachowuje się tak, od kiedy przestała brać, strasznie jest wybuchowa. Nie można nic powiedzieć, bo się od razu wścieka.
- A kiedy zaczęła mówić o tym, że powinienem się spotkać z twoją mamą?
- Zawsze o tym mówiła – powiedział Sindri. – Od kiedy pamiętam. Jej się wydaje... Nie wiem, Eva potrafi tak strasznie bredzić.
- Nigdy nie słyszałem, żeby bredziła – zauważył Erlendur. – O co jej chodzi?
- Mówi, że to mogłoby jej pomóc.
- Co? Co by jej mogło pomóc?
- Gdybyście z mamą... Gdyby między tobą a mamą nie działo się tak źle. Erlendur wpatrywał się w swego syna.
- Tak powiedziała?
- Tak.
- Że to by jej pomogło uporządkować jej życie?
- Coś takiego.
- Gdybyśmy spróbowali się pogodzić z waszą mamą?
- Ona chce tylko, żebyście pogadali – powiedział Sindri i zgasił papierosa, którego wypalił aż do filtra. – Jest w tym coś skomplikowanego?

Po tej wizycie Erlendur leżał w łóżku, nie mogąc zmrużyć oka. Rozmyślał na temat domu na wschodzie kraju, niegdyś, jak powiadano, nawiedzonego. Był to piętrowy drewniany dom, postawiony przez duńskiego kupca pod koniec dziewiętnastego wieku. W trzecim dziesięcioleciu minionego wieku sprowadziła się do niego rodzina z południa i wnet pojawiły się opowieści, że gospodyni zdaje się dość regularnie, że słyszy płacz dziecka dobiegający spod sufitu w salonie. Nikt wcześniej o niczym takim nie wspominał i nikt tego płaczu nie słyszał poza gospodynią, i to tylko wtedy, kiedy przebywała sama w domu. Mąż wspominał coś o miauczeniu kota, lecz kobieta stanowczo temu zaprzeczała i zaczęła się bać zarówno ciemności, jak i duchów, dręczyły ją koszmary i w domu czuła się nieswojo. W końcu nie wytrzymała i namówiła męża, by się wyprowadzili do innej części kraju. Po zaledwie trzyletnim

pobycie wrócili na południe. Dom został sprzedany ludziom ze wsi, którzy nigdy niczego takiego nie zauważyli.

Gdzieś w połowie wieku pewien człowiek zainteresował się tym płaczem dziecka i gospodynią z południa i zapoznał się z historią domu. Po jego sprzedaży przez duńskiego kupca przez jakiś czas mieszkały w nim trzy rodziny i nigdy nie wspomniano o żadnym płaczu dziecka pod sufitem w salonie. Człowiek ów grzebał dalej w historii domu, żeby sprawdzić, czy wiąże się z tym jakaś historia dziecka, i dotarł do informacji, że duński kupiec, który go wybudował, miał trzy córki; dożyły one dorosłego wieku. Służba kupca była bezdzietna. Zapoznając się z historią budowy, odkrył, że cieśli było dwóch. Jeden przejął robotę po drugim. Ten pierwszy, który zrezygnował z pracy, miał dwuletnią córkę. Uległa śmiertelnemu wypadkowi na budowie, w miejscu, gdzie wznoszono salon. Z wysokości runął na nią stos drewna i zginęła na miejscu.

Erlendur słyszał w dzieciństwie tę opowieść o duchach. Jego matka знаła człowieka, który odgrzebał historię córki cieśli, i miała ją z pierwszej ręki. Człowiek ów wykluczał, by kobieta z południa mogła wiedzieć cokolwiek na temat budowy domu. Erlendur nie wiedział, jak ma interpretować tę opowieść. Jego matka też.

Co ta historia mówi o życiu i śmierci?

Czy kobieta z południa byłaby bardziej wrażliwa od innych, czy może słyszała o córce cieśli, i dopiero to uruchomiło jej wyobraźnię?

A jeśli była bardziej wrażliwa niż większość ludzi, to co mieszkało pod sufitem salonu?



Kobieta dobrze pamiętała, jak Maria i Baldvin zaczęli się spotykać. Na imię miała Thorgerdur i studiowała z Marią historię na uniwersytecie. Była wysoka, potężnie zbudowana, z burzą ciemnych włosów, po dwóch latach rzuciła historię i poszła na pielęgniarstwo, które skończyła. Przez cały czas od studiów utrzymywała dobre kontakty z Marią, lubiła sobie pogadać i nie wstydziła się rozmawiać z policjantami, nawet z Erlendurem. Niepytana powiedziała mu, że kiedyś była świadkiem w sprawie kryminalnej, znajdowała się w aptece, kiedy zakapturzony facet wyskoczył z nożem i zagroził sprzedawczyni.

– To był taki łobuz – określiła go Thorgerdur. – Biedny narkoman. Od razu go złapali, a my wszyscy, którzyśmy tam byli, mieliśmy go rozpoznać. To było łatwe. Miał na sobie te same łachy. Ten kaptur mógł sobie darować. Bardzo przystojny chłopak.

Erlendur uśmiechnął się w duchu. Podludzie, powiedziałyby Sigurdur Oli. Erlendur nie miał pojęcia, czy jego kolega czytał Laxnessa, czy może słyszał to słowo w dzieciństwie. W wyobraźni Sigurdura Olego z pewnością oznaczało zarówno zakapiorów i narkomanów, których uważał za łajdaków, jak i inne osoby, których z jakichś powodów nie lubił: ludzi niewykształconych, sprzedawców sklepowych, robotników, a nawet budowlańców, którzy okropnie działali mu na nerwy. Kiedyś poleciał czarterem ze swoją Bergthorą na weekend do Paryża i najbardziej oburzyło go, że większość ludzi w samolocie stanowili pracownicy jakiejś firmy na dorocznej wycieczce integracyjnej, drący się wniebogłosey i pijący bez umiaru, a miarka się przebrała, kiedy bili brawo, gdy samolot wylądował w wielkim mieście. Wieśniactwo, miał jęknąć Bergthorze do ucha, oburzony tymi podludźmi.

Erlendur skierował rozmowę na Marię i jej męża, a Thorgerdur rozgadała się i zaczęła opowiadać o studiach historycznych, które przerwała, i o swej przyjaciółce Marii, która poznała kandydata na lekarza na balu studenckim.

– Będzie mi jej brakowało – powiedziała. – Wciąż nie potrafię uwierzyć, że tak skończyła. Biedna kobieta, nie mogło jej być dobrze na świecie.

– A zatem poznałyście się na uniwersytecie? – zapytał Erlendur.

– Tak, Maria była wprost oczarowana historią. – Thorgerdur skrzyżowała ręce na piersiach. – Zafascynowana dawnymi czasami. A mnie to śmiertelnie

nudziło. Ona siedziała w domu i przepisywała notatki. Nie znałam nikogo innego, kto by tak robił. Ale była też świetną studentką, a nie wszyscy na historii tacy byliśmy.

– Znała pani Baldvina?

– Tak, ale dopiero po tym, jak się poznali z Marią. Baldvin to był fajny chłopak. Uczył się aktorstwa, ale kiedy zaczęli ze sobą chodzić, w zasadzie rzucił te studia. Podobno nie był szczególnie zdolny.

– Tak?

– Tak, tak kiedyś słyszałam. I że wybór medycyny to była rozsądna decyzja. Baldvina i Marię otaczał krąg bardzo ciekawych ludzi, związanych z teatrem, dużo się wtedy działo. Ludzie tacy jak Orri Fjeldsted, który dziś jest jednym z wielkich aktorów. Lilja i Saebjörn, którzy się pobrali. Einar Vifill. Oni wszyscy są dziś gwiazdami. No ale Baldvin poszedł na studia medyczne, przez jakiś czas trochę grał, lecz potem przestał.

– Nie wie pani, czy potem tego żałował?

– Nie, nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Natomiast bardzo interesuje się teatrem. Często chodzili na przedstawienia, doskonale znali ludzi z branży i mieli przyjaciół w teatrach.

– A wiadomo pani coś na temat stosunków Leonory i Baldvina?

– Oczywiście wprowadził się do Marii, a tam mieszkała silna osobowość, czyli Leonora. Maria wspominała czasem, że jej matka we wszystko się wtrąca i że to działa Baldvinowi na nerwy.

– A Maria? Jaka była jej specjalizacja w historii?

– Interesowała się wyłącznie średniowieczem. Dla mnie to najnudniejszy okres. A ona zajmowała się kazirodtwem, potajemnymi porodami, wyrokami i karami w tych sprawach. Pracę końcową napisała na temat skazańców utopionych w Thingvellir. Bardzo ciekawy temat. Dała mi ją przeczytać.

– Interesowała się karą śmierci w średniowieczu?

– Tak – potwierdziła Thorgerdur. – Drekingarhylur, gdzie topiono skazane kobiety. To bardzo ciekawe.

Erlendur milczał. Siedzieli w świetlicy szpitala, w którym Thorgerdur pracowała. Staruszka podpierająca się balkonikiem przepłynęła obok. Sanitariusz w białych drewniakach przemknął korytarzem. Grupa studentów dyskutowała nad czymś.

– To się zgadza – odezwała się nagle Thorgerdur.

– Co się zgadza? – zapytał Erlendur wyrwany z zamyślenia.

– Nie, słyszałam, że ona... słyszałam, że się powiesiła. W domku w Thingvellir.

Ereldur patrzył na nią bez słowa.

– Ale to oczywiście nie moja sprawa – rzuciła Thorgerdur z zakłopotaniem, nie widząc u niego żadnej reakcji.

– Nie wie pani, czy jakoś szczególnie interesowała się zjawiskami nadprzyrodzonymi? – odezwał się wreszcie.

– Nie, ale bardzo się bała ciemności. Zawsze, od kiedy ją poznałam. Na przykład bała się wracać sama z kina. Stale trzeba było ją odprowadzać. A przecież oglądała wszystkie najgorsze horrory.

– A wie pani, dlaczego tak się bała ciemności? Mówiła kiedyś o tym?

– Mnie...

Thorgerdur zawahała się. Wyrzała na korytarz, jakby chciała sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Staruszka z balkonikiem była już na drugim końcu korytarza i stała tam, jakby nie wiedziała co dalej, jakby jej cel zagubił się gdzieś na długim korytarzu, po którym pchała swój balkonik. Z daleka dochodziły dźwięki starego przeboju z radia. „Thordur uwielbiał pokłady...”.

– Słucham? – Erlendur nachylił się w jej stronę.

– Mnie się zdaje, że ona nie... to miało jakiś związek z wydarzeniami nad jeziorem Thingvallavatn – powiedziała Thorgerdur. – Kiedy umarł jej tata.

– Co takiego?

– Mam swoje odczucia, i to już od dawna, na temat tego, co się wydarzyło na tym jeziorze, kiedy była mała. Maria bywała bardzo przygnębiona, ale też niezwykle ożywiona. Nigdy nie wspominała, że bierze jakieś leki, ale czasem te zmiany nastrojów wydawały mi się dziwne. A któregoś razu, dawno temu, kiedy była bardzo zdołowana, siedziałam u niej w Grafarvogur i zaczęła opowiadać o jeziorze. Wtedy po raz pierwszy o tym usłyszałam, nigdy wcześniej mi o tym nie mówiła, i od razu odniosłam wrażenie, że ma poczucie winy z powodu tamtych wydarzeń.

– Dlaczego miałyby mieć poczucie winy?

– Usiłowałam rozmawiać z nią później na ten temat, ale nigdy więcej tak się nie otworzyła jak wówczas. Zawsze wydawała mi się jakaś taka czujna, jeśli chodzi o tamte wydarzenia, ale jestem przekonana, że coś ją gryzło, coś, o czym nie mogła mówić.

– To było oczywiście przerażające zdarzenie – przyznał Erlendur. – Widziała, jak tonie jej ojciec.

– Na pewno.

– A co wtedy powiedziała?

– Że nie powinni byli nigdy jechać do domku.

– Nic więcej?

- I...
- Tak?
- Że może miał umrzeć.
- Jej tata?
- Tak, jej tata.

Widownia pękała ze śmiechu. Valgerdur także. Erlendur unosił tylko brwi. Niespodziewanie przez trzecie drzwi wszedł mąż i wydał z siebie przedziwny ryk na widok żony w objęciach lokaja. Kobieta odepchnęła służącego, krzyżąc, że rzucił się na nią i chciał ją zgwałcić. Lokaj spojrział w stronę widowni i zrobił minę: to prawda! Na widowni ponownie wybuchła salwa śmiechu. Uśmiechnięta od ucha do ucha Valgerdur popatrzyła na Erlendura i natychmiast zrozumiała, że mu się nudzi. Dotknęła jego ramienia, a on spojrział na nią i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Po spektaklu usiedli w kawiarni. On do kawy zamówił chartreuse, ona torcik czekoladowy na gorąco z lodami i słodki likier. Rozmawiali o przedstawieniu. Ona doskonale się bawiła. On nie okazywał emocji. Wytykał niekonsekwencje w fabule.

- Oj, Erlendurze, to tylko farsa, nie traktuj tej sztuki z powagą – powiedziała Valgerdur. – Człowiek ma się śmiać i zapomnieć o troskach. Ja się cudownie bawiłam.

- Tak, śmiechu był co niemiara – rezonował Erlendur. – Rzadko chodzę do teatru. Kojarzysz Orrego Fjeldsteda? Aktora?

Przypomniały mu się słowa Thorgerdur o przyjaciółach Baldvina ze środowiska aktorskiego. Sam nie miał pojęcia o celebrytach.

- Oczywiście – przytaknęła Valgerdur. – Widziałeś go w *Dzikiej kaczce*.

- W *Dzikiej kaczce*?

- Tak, grał męża. Może ciut za stary do tej roli, ale... bardzo dobry aktor.

- A, to ten. – Erlendura oświeciło.

Valgerdur bardzo lubiła chodzić do teatru i kilka razy udało się jej wyciągnąć Erlendura. Wybierała sztuki wagi ciężkiej, Ibsena i Strindberga, w nadziei, że do niego trafią. Ale zobaczyła, że go nudzą. Na *Dzikiej kaczce* zasnął. Spróbowała z komediami. Nie mieściły się na jego skali ocen. Spodobała mu się natomiast wyjątkowo ponura inscenizacja *Śmierci komiwojażera*, co zresztą Valgerdur nie zdziwiło.

W kawiarni było pustawo. Gdzieś spod sufitu sączyła się spokojna muzyka. Według Erlendura był to Sinatra. *Moon River*. Miał to na płycie. Przypomniał mu się film, którego tytułu kompletnie nie pamiętał. W którym tę piosenkę

śpiewała piękna kobieta. W zimny wieczór na ulicach Reykjavíku ruch niemal zamarł. Pojedynczy przechodnie przesuwali się za oknem, otuleni w ciepłe kurtki i zimowe płaszcze, ludzie, którzy mieli coś do załatwienia w mieście o tak późnej porze, ludzie bez twarzy i bez imion.

– Eva chce, żebym się spotkał z Halldorą – rzucił Erlendur i sięgnął po kieliszek z chartreuse.

– No – odpowiedziała Valgerdur.

– Chce, żebyśmy poprawili wzajemne stosunki.

– To chyba rozsądne – zauważyła Valgerdur, która zawsze brała stronę Evy Lind, kiedy o niej była mowa. – Macie dwoje dzieci. To naturalne, żebyście utrzymywali ze sobą kontakt. A ona gotowa jest spotkać się z tobą?

– Eva mówi, że tak.

– Dlaczego nie utrzymywaliście kontaktu przez te wszystkie lata? Erlendur zamyślił się.

– Bo żadne z nas tego nie chciało – odpowiedział.

– Dla nich to musiało być trudne. Dla Sindrego i Evy.

Erlendur milczał.

– Co najgorszego może się stać? – spytała Valgerdur.

– Nie wiem. To jakies takie odległe. Nasz związek. Jacy byliśmy. Mieszkaliśmy razem wieki temu. O czym mielibyśmy rozmawiać? Po co to wszystko wspominać?

– Może czas leczy rany?

– Inne odniosłem wrażenie, kiedy spotkałem ją kilka lat temu. Niczego nie zapomniała.

– Ale teraz chce się z tobą spotkać?

– Podobno.

– Może to znak, że chce zgody?

– Może.

– I dla Evy to ważne.

– W tym sęk. Mocno na to nalega, ale...

– Co?

– Nic – odparł Erlendur. – Tylko...

– Tak?

– Nie zniosę żadnego bilansu.

Brygadzysta zawołał Gilberta stojącego w niezwykle i obszernym wykopie pod fundament. Gilbert był ubrany w granatowy ocieplany kombinezon i palił papierosa. Brygadzysta wyjaśnił Erlendurowi, że stawiają ośmiopiętrowy blok

z garażem w piwnicy. Dlatego wykop jest tak głęboki i wielki. Nie pytał o powody, dla których Erlendur chciał się rozmówić z Gilbertem, który długo patrzył na stojących nad wykopem. Po chwili rzucił niedopałek i zaczął wspinać się po wielkiej drewnianej drabinie. Trochę czasu mu to zajęło. Brygadzysta gdzieś zniknął. Budowa znajdowała się w okolicy jeziora Ellidavatn. Jak okiem sięgnąć żółte dźwigi wyciągały ramiona w jesienną szarugę, niczym przerośnięte drzewa zasadzone przez bogów deweloperki. Gdzieś warczała betoniarka, słychać było zawracającą wywrotkę.

Erlendur podał Gilbertowi dłoń i przedstawił się. Gilbert zbaraniał. Komisarz spytał go, czy mogą usiąść gdzieś w spokoju, z dala od tego zgiełku. Gilbert patrzył chwilę na niego, po czym skinął głową w kierunku pomalowanego na zielono baraku. Była to stołówka załogi.

Weszli do ciepłego pomieszczenia i Gilbert ściągnął górę granatowego kombinezonu.

– Nie wierzę, że chce pan pytać o Davida po tylu latach – powiedział. – Są jakieś nowe fakty?

– Nie, nic – odparł Erlendur. – Ale kiedyś zajmowałem się tą sprawą i jakoś tak...

– Coś nie daje spokoju, tak? – domyślił się Gilbert.

Był wysokim, tyczkowatym facetem koło pięćdziesiątki, choć wyglądał starzej. Garbił się nieco, jakby przyzwyczał się do unikania drzwi i sufitów. Ramiona miał długie, podobnie jak tułów, oczy osadzone głęboko w chudej twarzy. Ostatnio nie chciało mu się golić i siwy zarost głośno szeleścił, kiedy Gilbert drapał się po policzkach.

Erlendur skinął głową.

– Kiedy zniknął, dopiero co wyjechałem do Danii – tłumaczył Gilbert. – Dowiedziałem się o tym dopiero później i bardzo mnie to zaskoczyło. To przykre, że nigdy go nie znaleziono.

– Tak – rzekł Erlendur. – Swego czasu próbowaliśmy się z panem skontaktować, ale nam się nie udało.

– A jego rodzice jeszcze żyją?

– Ojciec, stary i schorowany.

– Dla niego pan to robi?

– Dla nikogo szczególnego – zaprzeczył Erlendur. – Po prostu niedawno okazało się, że jest pan jedynym z grona jego przyjaciół, z którym nigdy nie rozmawialiśmy, bo się pan wyprowadził.

– Miałem zamiar spędzić rok w Danii... – Gilbert wyciągnął papierosa z kieszeni kombinezonu. Nie spieszył się, znalazł zapalniczkę w drugiej

kieszeni i postukał papierosem o stół. – A zostałem piętnaście lat. Nigdy nie miałem takiego zamiaru, ale takie jest życie.

– Podobno rozmawiał pan z Davidem na krótko przed pańskim wyjazdem?

– Tak, kontaktowaliśmy się. Rozmawiał pan ze Steinim... Thorsteinnem?

– Tak.

– Spotkałem go na zjeździe absolwentów. Ale w zasadzie straciłem kontakt z tymi, których dawniej znałem.

– Powiedział pan Thorsteinnowi, że David prawdopodobnie poznał jakąś dziewczynę. W trakcie śledztwa o tym nie wiedzieliśmy. Chciałbym dowiedzieć się, czy wie pan, kto to był, i czy mogę się z nią skontaktować?

– Steini chyba na głowę upadł. Ja myślałem, że on wie więcej ode mnie. – Gilbert zapalił papierosa. – Nie mam pojęcia, co to była za dziewczyna. Nie wiem nawet, czy to chodziło o dziewczynę. Nic się nie wyjaśniło, kiedy zniknął David?

– Nie – odparł Erlendur.

Zadzwoiła komórka Erlendura. Komisarz przeprosił Gilberta i odebrał.

– Tak, halo?

– Przesłuchuje pan ludzi w sprawie Marii?

Erlendura zatkało. Głos brzmiał poważnie, ciężko i oskarżycielsko.

– Kto mówi?

– Jej mąż – odpowiedział głos w telefonie. – Co pan właściwie robi?

Erlendurovi przemknęło przez myśl kilka odpowiedzi, każda fałszywa.

– O co chodzi? – naciskał Baldvin.

– Może powinniśmy się spotkać – zaproponował Erlendur.

– A co pan bada? Co pan wyczynia?

– Jeśli będzie pan później w domu, mogę...

Baldvin się rozłączył. Erlendur uśmiechnął się zakłopotany do Gilberta.

– Przepraszam – powiedział. – Rozmawialiśmy o tej dziewczynie. Wie pan coś na jej temat, coś, co może mi pan powiedzieć?

– W zasadzie nic. – Gilbert rozłożył ręce. – Dzień przed moim wylotem zadzwonił do mnie David, żeby się pożegnać, i powiedział, że skoro wyjeżdżam do Danii, to może mi zdradzić pewną tajemnicę. Ale nie chciał nic powiedzieć, dopóki nie zacząłem nalegać i nie zapytałem wprost. Wtedy powiedział, że jak wrócę, to może już będzie głośno o jego sprawach sercowych.

– Tylko tyle powiedział, że może później będzie głośno o jego sprawach sercowych?

– Tak.

- Nigdy wcześniej nie był w związku z żadną dziewczyną?
- Nie, nie sędę.
- I pana zdaniem poznał jakąś dziewczynę?
- Tak zrozumiałem. Ale wie pan, to było tylko takie odczucie z powodu tego, co powiedział.
- Nie odniósł pan wrażenia, że jest w nastroju samobójczym?
- Nie, wręcz przeciwnie, był bardzo wesoły i szczęśliwy. Niezwykle wesoły, bo czasem potrafił być dość cichy i zamyślony i jakoś tak poważnie myśleć.
- I nie wiadomo panu, aby ktokolwiek chciał mu wyrządzić krzywdę?
- Nie, skąd.
- Ale nie wie pan, co to była za dziewczyna?
- Nie mam pojęcia. Niestety.



Erlendur podjechał pod dom w Grafarvogur. Zaczynało się zmierzchać, po krótkim, deszczowym lecie zbliżała się zima. Erlendur nie bał się jej. Nigdy w przeciwieństwie do tych, którzy liczyli godziny do chwili, gdy dni znów zaczną się wydłużać, nie bał się zimy. Nigdy nie uważał zimy za swego wroga. Ciemności i zimno zwalniały bieg czasu, a zmierzch otulał świat słodkim spokojem.

Baldvin otworzył mu i kiedy Erlendur szedł za nim do salonu, zastanawiał się, czy mężczyzna dalej będzie tu mieszkał, skoro i Leonora, i Maria już nie żyją. Ale nie odważył się o to zapytać. Baldvin zażądał wyjaśnienia, dlaczego Erlendur chodzi po mieście i wypytuje ludzi o niego i Marię, dlaczego on dowiaduje się o tym od swoich znajomych i o co właściwie chodzi, czy policja chce rozpocząć śledztwo.

– Nie – odpowiedział Erlendur. – Nic takiego się nie dzieje.

Powiedział Baldvinowi, że policja, jak to czasem bywa przy okazji samobójstw, otrzymała pewne wskazówki, że mogło wydarzyć się coś niezwykłego. Dlatego też on, na skutek nacisków przyjaciółki Marii, której woli nie wymieniać z imienia, odbył osobiście kilka rozmów z pewnymi osobami, ale nie zmienia to w niczym faktu, że Maria pozbawiła się życia. Baldvin nie powinien się tym przejmować. Nie toczy się żadne oficjalne śledztwo, zresztą nie ma takiej potrzeby.

W ten sposób dłuższą chwilę tłumaczył Erlendur gospodarzowi swoje postępowanie, wolno i spokojnie, w pojednawczym tonie, który zazwyczaj dobrze się kojarzy człowiekowi rozmawiającemu z policją. Komisarz zauważył, że Baldvin uspokoił się nieco. Z początku stał wściekły koło regału, a kiedy napięcie ustąpiło, usiadł w fotelu.

– I co, jak się teraz sprawy mają?

– Wcale się nie mają – odpowiedział Erlendur. – Bo nie ma żadnej sprawy.

– Ale to nieprzyjemnie słyszeć o takich rozmowach – tłumaczył się Baldvin.

– Jasne – przytaknął komisarz.

– Nie jest mi łatwo.

– Tak – zgodził się z nim komisarz. – Słyszałem, że pogrzeb był piękny.

– Pastor wygłosiła bardzo ładne kazanie. Dobrze się znały. Przyszedł tłum ludzi. Maria była bardzo lubiana.

– Kazał ją pan skremować?

Do tej pory Baldwin wbijał wzrok w podłogę, teraz podniósł go na Erlendura.

– Tego sobie życzyła – powiedział. – Rozmawialiśmy o tym. Nie chciała leżeć w ziemi i... wie pan... uważała to za lepsze rozwiązanie. Ja się z nią zgadzam, też każe się skremować.

– Czy wiadomo panu, że żona interesowała się metafizyką i brała udział w seansach spirytystycznych?

– Nie bardziej niż inni – twierdził Baldwin. – Panicznie bała się ciemności. Na pewno mówiono panu o tym.

– Tak.

– Pytał mnie już pan o to – zauważył gospodarz. – O życie po śmierci i medium. Do czego pan zmierza? Co pan znowu wie?

Erlendur długo mu się przyglądał.

– Co pan wie? – powtórzył Baldwin.

– Wiem, że odwiedziła medium – przyznał się Erlendur.

– Czyżby?

Erlendur wyciągnął kasetę z kieszeni płaszcza i podał Baldwinowi.

– To nagranie z seansu spirytystycznego, w którym Maria wzięła udział – powiedział. – To jest może jeden z powodów, dla których chciałem lepiej ją poznać.

– Nagranie z seansu? – Baldwin zdziwił się. – Jak... skąd pan to ma?

– Kasetę trafiła w moje ręce po śmierci Marii. Maria dała ją swojej przyjaciółce.

– Przyjaciółce?

– Tak.

– Której?

– Poproszę ją, żeby się z panem skontaktowała, jeśli będzie chciała.

– Wysłuchał pan tego? Czy to nie jest naruszenie prywatności?

– Ważniejsze jest, co to nagranie powie panu. Jest pan przekonany, że nie wiedział o seansie spirytystycznym?

– Nigdy mi nie mówiła o żadnych seansach spirytystycznych, a ja wobec tego nie mam zamiaru na ten temat rozmawiać. Nie wiem, co jest na tym nagraniu, i uważam to wszystko za niedorzeczne.

– W takim razie proszę o wybaczenie. – Erlendur wstał. – Może później zechce pan podzielić się ze mną jakimiś przemyśleniami. Jeśli nie, nie ma to znaczenia. Być może wszystko kręci się wokół Marcela Prousta.

– Marcela Prousta?

– Nic pan nie wie?

- Nie wiem, o czym pan mówi.
- O ile wiem, Maria unikała przebywania w samotności – zauważył Erlendur. – Z powodu nyktofobii.
- Ja... – Baldvin zawahał się.
- A jednak została sama w jesiennych ciemnościach w Thingvellir.
- Co pan tu! Co pan tu sugeruje? Jak sędzę, nie chciała mieć nikogo w pobliżu, kiedy popełniała samobójstwo.
- Nie, nic nie sugeruję. Może się pan odezwać jeśli zechce – odparł Erlendur i zostawił Baldvina z kasetą w ręku.

Starszego pana przeniesiono na oddział opieki geriatrycznej w domu pogodnej starości. Erlendur nie zapowiedział swojej wizyty i wypytywał personel, dokąd iść, aż znalazł się na miejscu. Staruszek akurat wkładał na siebie szlafrok, ale nie radził z tym sobie. Erlendur pospieszył mu z pomocą.

– Dziękuję bardzo. To ty? – powiedział starszy pan, kiedy rozpoznał komisarza.

– Jak się czujemy? – zapytał Erlendur.

– Znośnie – odparł staruszek. – Co ty tu robisz? – zapytał, a Erlendur wyczuł narastające napięcie w jego głosie. – Chyba nie z powodu mojego Davida, co? Niczego się o nim nie dowiedziałeś?

– Nie – odparł szybko Erlendur. – Nic z tych rzeczy. Przejeżdżałem obok i pomyślałem, że wpadnę w odwiedziny.

– W zasadzie nie powinienem wstawać, ale nie wytrzymuję cały dzień na leżąco. Odprowadziłbyś mnie do świetlicy?

Chwycił Erlendura za ramię, a ten pomógł mu wyjść na korytarz i razem poszli tam, gdzie sobie życzył starszy pan. Usiedli. Grało radio. Jakiś znany lektor czytał powieść w odcinkach.

– Pamiętasz przyjaciela twojego syna, który miał na imię Gilbert i wyjechał do Danii mniej więcej w tym czasie, kiedy David zaginął? – Erlendur od razu przeszedł do rzeczy.

– Gilbert? – szepnął starszy pan i zamyślił się. – Raczej go nie pamiętam.

– Chodzili razem do liceum. Długo mieszkał w Kopenhadze. Rozmawiał z Davidem tuż przed jego zaginięciem.

– I był w stanie wam coś powiedzieć?

– Nie, nic konkretnego – powiedział Erlendur. – Twój syn jakoby zwierzył się Gilbertowi, że związał się z jakąś dziewczyną. Pamiętam, że nie sądziłeś, by coś takiego się wydarzyło, rozmawialiśmy na ten temat. Ale to, co mówi Gilbert, świadczy o czymś innym.

– David nie był w żadnym związku – upierał się starszy pan. – Powiedziałyby nam o tym.

– Ten związek nie musiał być na zaawansowanym etapie, może dopiero się zaczynał. Coś takiego twój syn zasugerował Gilbertowi. Czy po jego zaginięciu nie kontaktowała się z wami żadna dziewczyna? Nie dzwonił ktoś, kogo nie znaliście, i nie pytał o niego? Może nawet nie przedstawił się.

Starszy pan patrzył na Erlendura i usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wydarzyło się w dniach i tygodniach, gdy już stało się jasne, że ich syn zaginął. Rodzina zebrała się, policja notowała zeznania, przyjaciele oferowali pomoc, media potrzebowały zdjęć. W zasadzie nie mieli czasu zorientować się, co się dzieje, dopóki nie kładli się wycieńczeni w nocy i usiłowali zasnąć. Nie mieli chwili spokoju. W nocy Gilbert stawał jak żywy w zakamarkach ich myśli, a oni obawiali się, że nigdy więcej go nie zobaczą.

Starszy pan patrzył na Erlendura i usiłował przypomnieć sobie coś nieznanego, niespodziewanego gościa albo rozmowę telefoniczną, głos, którego nie znał, pytanie, które brzmiało obco: „Czy jest David?”.

– Uganiał się za spódniczkami? – spytał Erlendur.

– Nie bardzo. Młody był jeszcze.

– Nie pytał o niego nikt, kogoście nie znali, może dziewczyna w jego wieku?

– Nie, nie przypominam sobie, nic takiego sobie nie przypominam – odparł starszy pan. – Ja, my, wiedzielibyśmy, gdyby poznał jakąś dziewczynę. Nie mogło być inaczej. Z drugiej strony... człowiek już jest stary i coś mogło mu umknąć. Gunnthorunn mogłaby ci pomóc.

– Młodzież często wstydzi się mówić o takich rzeczach.

– Może i tak, może to się dopiero u niego zaczęło. Nie pamiętam, aby był w związku z jakąś dziewczyną. Po prostu nie pamiętam.

– Myślisz, że brat o tym wiedział?

– Elmar? Nie. Powiedziałyby nam. Nie zapomniwałyby o czymś, co jest ważne.

Starszy pan zaczął kaszleć brzydkim, zaflegmionym kaszlem, który narastał, bo chory nie potrafił go powstrzymać. Krew puściła mu się z nosa. Staruszek położył się na sofie w świetlicy. Erlendur wypadł na korytarz i zawołał o pomoc, po czym wrócił do staruszka, by mu towarzyszyć.

– Mniej mi zostało, niż mówią – jęknął starszy pan.

Personel medyczny zatrzymał Erlendura, który podążył w ślad za nimi, gdy nieśli staruszkę z powrotem na salę. Zamknęli drzwi, a komisarz ruszył korytarzem do wyjścia. Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek dane mu będzie zobaczyć staruszkę.

Całą noc nie mógł zasnąć i rozmyślał o swojej matce. O tej porze roku zawsze pojawiała się w jego myślach. Widział oczyma duszy, jak mieszkają jeszcze na wschodzie, a ona stoi na podwórku z pełnym nadziei wzrokiem skierowanym ku górze Hardskafi. Znajdą go. Jeszcze nie cała nadzieja stracona. Nie wiedział już, czy ten jej obraz na podwórku to wspomnienie, czy sen. Może nie miało to znaczenia.

Zmarła trzy dni po przewiezieniu do szpitala. Przez cały ten czas siedział przy niej. Personel namawiał go, by odpoczął, jeśli chce, w pustej salce, lecz on grzecznie podziękował, nie potrafił wyobrazić sobie, że opuszcza matkę. Lekarze mówili, że może umrzeć w każdej chwili. Czasem się przebudzała, ale nie poznawała go. Próbował z nią rozmawiać, ale nie nawiązali już kontaktu.

Tak mijały godziny, jedna za drugą, a jego matka powolutku umierała. Głowę miał pełną wspomnień z dzieciństwa, a ona była wszystkim w tym zadziwiająco małym świecie: czujnym obrońcą, łagodnym mistrzem ceremonii i dobrym przyjacielem.

Na koniec słabość nieco ustąpiła. Matka uśmiechnęła się do niego.

– Erlendurze – szepnęła.

Trzymał ją za rękę.

– Jestem tu przy tobie – powiedział.

– Erlendurze?

– Tak.

– Znalazłeś już brata?

Za chwilę miało się rozpocząć przedstawienie. Erlendur zajechał pod teatr od wejścia dla aktorów. Zdawał sobie sprawę, że już jest późno, ale przed powrotem do domu chciał załatwić to, co zaplanował. Przyjaźnie nastawiony ochroniarz pokazał mu drogę do garderób, ale się denerwował. Powiedział, że aktor ma niewiele czasu. Erlendur usiłował go uspokoić, powiedział, że wcześniej się umówił i że Orri się go spodziewa. To nie powinno zająć wiele czasu.

Za kulisami panowała nerwówka. Aktorzy w kostiumach biegali korytarzami poprzebierani w kostiumy. Ktoś się jeszcze charakteryzował. Techniczni śmigali wte i wewte. Na widowni publiczność zajmowała miejsca, zresztą nie bardzo liczna. Niewidzialny głos oznajmił, że zostało pół godziny do rozpoczęcia spektaklu. Erlendur wiedział, że grają *Otella*. Valgerdur uprzedziła go, że według recenzji przedstawienie jest ambitne i dość oryginalne, ale zupełnie niezrozumiałe.

Orri Fjeldsted siedział sam w garderobie i powtarzał tekst, gdy Erlendur w końcu go odnalazł. Grał Jagona, ale miał na sobie staromodny garnitur, ponieważ z tego, co mówiła Valgerdur, reżyser, młodziutki celebryta, wrócił właśnie po studiach we Włoszech i postanowił miejscem akcji uczynić Reykjavik w latach wojennych. Otello był czarnoskórym porucznikiem armii amerykańskiej stacjonującej na Midnesheidi, a Desdemona dziewczyną z Reykjaviku, kobietą lekkich obyczajów, dziś powiedzielibyśmy „cichodajką”. Porucznik wrócił z wojny w Europie i spotkał swoją Desdemonę, a Jagon uknuł morderstwo.

– Ty jesteś ten policjant? – spytał Orri, otworzywszy Erlendurovi drzwi. – Nie dało się znaleźć lepszego momentu?

– Przepraszam, chciałem być wcześniej, ale to nie potrwa długo – usprawiedliwił się komisarz.

– Ale przynajmniej nie jesteś zidiociałym krytykiem – rzucił aktor, niewysoki i szczupły, niemal suchotniczy, z grubą warstwą podkładu na twarzy, pretensjonalnym wąsikiem à la Clark Gable nad górną wargą i włosami zaczesanymi do tyłu. Erlendurovi przypominał gangstera z amerykańskich filmów.

– Czytujesz recenzje? – spytał Orri Fjeldsted. Choć był niewielkiego wzrostu, głos miał jak dzwon.

- Nigdy – odparł Erlendur.
- Wylali wiadro pomyj na to przedstawienie – warknął Orri i Erlendur przypomniał sobie, co Valgerdur mówiła mu o recenzjach roli Orrego: Jagon na scenie wyglądał na zagubionego.
- Nie śledziłem tego – uspokoił go Erlendur.
- I nie widziałeś spektaklu?
- Rzadko chodzę do teatru.
- Błazny pieprzone! Banda gnoi! Myślisz, że to jakieś fajne?
- Ta, nie... to... oni...
- Rok w rok te same gęby pieprzą to samo, zawsze równie niedouczone! To czego chcesz ode mnie?
- To z powodu Baldvina...
- Tak, mówiłeś przez telefon. Słyszałem, że stracił żonę. W tragicznych okolicznościach. Ale już nie mamy ze sobą kontaktu. I to od wielu lat.
- Razem studiowaliście aktorstwo, o ile się nie mylę.
- Zgadza się. Był bardzo zdolny. Ale potem poszedł na medycynę. I miał rację. Nie musi teraz czytać wypocin pismaków. A i sam tłucze większą kasę. I co z tego, że człowiek jest sławnym aktorem, skoro go nie stać na łaty na dupę. W naszym kraju aktorom się w ogóle nie płaci, tak samo jak nauczycielom!
- Sądzę, że nie narzeka – wtrącił Erlendur, usiłując ugłaskać artystę.
- Zawsze cierpiał na brak gotówki. Pamiętam. Prosił, żeby mu pożyczać, i tak dalej. Niechętnie oddawał. Trzeba było się za nim nachodzić, czasem bez skutku. Ale poza tym był w porządku.
- Trzymaliście się razem w Szkole Aktorskiej.
- Tak, to prawda. – Orri przeciągnął palcem wskazującym po cieniutkim wąsiku, by się upewnić, że się trzyma. – To była niezła grupa.
- „Za kwadrans rozpoczynamy przedstawienie”, zagrzemiał interkom.
- Poznał swoją żonę zaraz po tym, jak rzucił aktorstwo – rzucił Erlendur.
- Tak, dobrze to pamiętam, cudowna dziewczyna z uniwersytetu. Powiedz, dlaczego policja wypytuje o Baldvina?
- Erlendur bardzo uważał na to, co mówi, pomny tego, co powtarzała Valgerdur, że nigdzie się więcej nie plotkuje niż wśród aktorów.
- Pracujemy ze Szwedami i sprawdzamy...
- Orri Fjeldsted od razu stracił zainteresowanie.
- Ci młodzi byli naprawdę pomysłowi – powiedział aktor. – To trzeba im przyznać. Z tego co słyszałem, jakiś jego kumpel doprowadził niejakiego Tryggvego do obłędu swoimi działaniami.

– Aktorskimi?

– Aktor...? Nie, wtedy Baldwin był już na medycynie. Coś jeszcze? Muszę lecieć, zostało tylko kilka minut. Jest widownia? Kompletnie zniszczyli ten spektakl. Krytykanci. Kompletnie. Nie mają pojęcia o sztuce aktorskiej. Wiedzą tyle, co zjedzą! Że też ludzie słuchają tych debili, dzwonią i odwołują zbiorowo rezerwacje.

Otworzył drzwi na korytarz.

– A co z tym Tryggvim? – zapytał Erlendur.

– Z Tryggvim? O ile pamiętam, tak miał na imię. Mówili, że to jeden z tych, którzy się przeuczyli. Słyszałeś o takich przypadkach? Geniusz, któremu odbiło. Rzucił naukę. Nie wiem, gdzie dzisiaj jest.

– Baldwin brał w tym udział?

– Tak się mówiło. On i jego kumpel z medycyny. Nie wiem, czy to nie był czasem kuzyn tego Tryggvego, w każdym razie byli jakoś spokrewnieni. Bardzo się przyjaźnili.

– Co się wówczas stało?

– Nie słyszałeś o tym?

– Nie.

– Tryggvi miał poprosić swojego kuzyna, żeby...

Otello jak burza mknął korytarzem, a za nim ciągnęła Desdemona. On miał na sobie mundur amerykańskiego porucznika, a ona bladą różową letnią garsonkę, a na głowie bujną perukę blond. Otello był łysy jak kolano i na jego łysinie pojawiły się krople potu.

– Skończmy tę nierówną walkę! – ryknął Otello i porwał za sobą Jagona ku scenie. Desdemona rozkosznie uśmiechnęła się do Erlendura.

– O co poprosił go Tryggvi?! – krzyknął komisarz za nimi.

Orri zatrzymał się i spojrzał na Erlendura.

– Nie wiem, czy jest w tym coś na rzeczy, ale słyszałem to wiele lat temu.

– Co? Co słyszałeś?

– Tryggvi poprosił go, by go zabił.

– By go zabił? On nie żyje?

– Nie, ma się dobrze, ale zdziwaczał.

– Co ty mi chcesz powiedzieć? Nie rozumiem...

– Kuzynek przeprowadził na Tryggvim eksperyment.

– Jaki eksperyment?

– Słyszałem, że miał na kilka minut uśmiercić Tryggvego, a potem znów go ożywił. Powiadali, że Tryggvi już nigdy nie był tym samym człowiekiem.

Po tych słowach aktorska trójca wpadła na scenę.



Następnego dnia Erlendur wygrzebał w policyjnym archiwum stare raporty na temat wypadku nad jeziorem. Zapoznał się z zeznaniami Leonory, matki Marii, jak również ekspertyzą specjalisty dotyczącą łódki i silnika. W aktach znajdował się raport z autopsji, z którego wynikało, że Magnus utonął w jeziorze. Wyglądało na to, że nikt nie przesłuchał dziewczynki. Sprawę zakwalifikowano jako wypadek. Erlendur sprawdził, kto prowadził śledztwo. Na imię miał Niels. Erlendur westchnął. Nigdy nie darzył Nielsa sympatią. Pracowali mniej więcej tyle samo czasu w wydziale śledczym, ale w odróżnieniu od Erlendura Niels był leniwy, długo prowadził sprawy, czasem się nawet przedawniały i zawsze prowadzone były niechlujnie.

Niels poszedł na kawę. Dowcipkował z kobietami w kafeterii, kiedy Erlendur spytał go, czy może zamienić z nim słowo.

– O co chodzi, kochanieńki? – spytał Niels, który protekcyjny ton uczynił podstawowym elementem kontaktów z ludźmi. Przyjaciel i kolega, stary druh i braciszek to były słowa, którymi kończył każde zdanie, same w sobie malutkie, ale w ustach Nielsa, który choć nie miał na to pokrycia, uważał się za lepszego od innych, przeogromne.

Erlendur odciągnął go na stronę, usiadł z nim przy stoliku i spytał, czy pamięta wypadek na Thingvallavatn i matkę z córką, Leonorę i Marię.

– A co, nie wszystko było jasne?

– Tak, na pewno. Ale pamiętasz coś charakterystycznego? Jakies szczegóły, ludzi na miejscu, okoliczności wypadku?

Niels zrobił minę, która miała świadczyć o tym, że się zastanawia i usiłuje przypomnieć sobie wypadek na jeziorze.

– Doszukujesz się w tym jakiegoś przestępstwa po tych wszystkich latach? – spytał Erlendura.

– Nie, skądże. Tylko że ta dziewczynka, którą tam wtedy widziałeś z matką, niedawno umarła. To jej ojciec utonął.

– Nie pamiętam nic szczególnego co do tamtego śledztwa – oznajmił Niels.

– W jaki sposób śruba odpadła od silnika?

– Oczywiście nie pamiętam tego tak dokładnie... – zaczął Niels ostrożnie. Patrzył podejrzliwie na Erlendura. Nie każdy na komendzie się cieszył, kiedy Erlendur zaczynał grzebać w starych sprawach.

– Pamiętasz, co mówili technicy?

– Oderwała się?

– Coś takiego – przytaknął Erlendur. – Ale to niewiele wyjaśnia. Silnik był stary, zużyty i bez przeglądu. Co takiego ci powiedzieli, a czego nie ma w raportach?

- Świętej pamięci Gudfinnur zajmował się ekspertyzą techniczną.
- I nie możemy go zapytać. Wiesz, że nie wszystko trafia do raportów.
- Co ty ciągle z tą przeszłością?

Erlendur wzruszył ramionami.

- Czego ty chcesz dowieść, koleżko?
- Niczego – odparł Erlendur bojowo.
- A w sumie co chcesz wiedzieć? – spytał Niels.
- Jak one zareagowały. Pamiętasz? Kobieta i jej córka.
- Nie było nic nienaturalnego w ich reakcji. To był straszny wypadek.

Kobieta prawie że dostała ataku nerwowego.

- Śruby nigdy nie znaleziono.

– Nie.

– I nie było żadnego sposobu, żeby sprawdzić, w jaki sposób się poluzowała?

– Nie. Facet był sam na łódce, pewno zaczął majstrować przy silniku, wypadł za burtę i tonął. Kobieta nie widziała, co się stało, i dziewczynka też nie. Kobieta nagle zauważyła, że na łódce nie ma nikogo. Potem przez krótką chwilę słyszała wołania faceta, ale już było za późno.

- Pamiętasz...?

– Rozmawialiśmy ze sprzedawcą – powiedział Niels. – To znaczy Gudfinnur rozmawiał. Rozmawiał z jakimś facetem w firmie, która sprzedawała silniki zewnętrzne.

- Tak, to mam w raporcie.

– Mówił, że śruba tak łatwo się nie obluźowuje. Potrzeba sporo wysiłku.

- A nie mógł zawadzić silnikiem o dno?

– Nic na to nie wskazywało. Ale kobieta nam powiedziała, że jej mąż grzebał przy silniku poprzedniego dnia. Nie pytała go o to i nie wiedziała, co robił. Niewykluczone, że przez nieuwagę facet poluzował śrubę.

- Jej mąż?

– Tak.

Erlendur przypomniał sobie, że Ingvar mówił, iż Magnus w ogóle nie znał się na silnikach.

- Pamiętasz dziewczynkę, gdy przyjechaliście? Jak zareagowała? – zapytał.

– Przecież miała dopiero dziesięć lat czy ileś tam?

– No.

– Zachowywała się oczywiście jak wszystkie dzieciaki, które doznają szoku. Kurczowo trzymała się matki. Ani na chwilę jej nie odstąpiła.

- Z raportów nie wynika, byście z nią rozmawiali.

– Prawie nie rozmawialiśmy, a właściwie to bardzo pobieżnie. Nie widzieliśmy powodu. Dzieci nie są najbardziej wiarygodnymi świadkami.

Erlendur chciał zaproponować, ale przeszkodziło mu dwóch mundurowych, którzy weszli do kafeterii i pozdrowili Nielsa.

– Nad czym ty się zastanawiasz, Erlendurku? – spytał Niels. – O co ci chodzi?

– O nyktofobię – odpowiedział Erlendur. – Normalną nyktofobię.

Karen, przyjaciółka Marii, otworzyła mu drzwi. Spodziewała się Erlendura. Poprosiła, by wszedł do salonu, to było przestronne mieszkanie w bloku w dzielnicy Melar. Zadzwoił do Karen już po ich spotkaniu na komendzie, a ona podała mu imiona ludzi związanych z Marią, z którymi mógłby porozmawiać. Pogadali także o jej przyjaźni z Marią, która zaczęła się, kiedy miały po jedenaście lat i znalazły się w jednej klasie, obie w nowej szkole. Leonora właśnie przeniosła Marię, ponieważ nie była zadowolona z kierownictwa starej szkoły i nauczycieli swojej córki. Maria, obiekt lekkich drwin w klasie, nie miała nic do powiedzenia i usiłowała jak najlepiej przystosować się do nowego miejsca, do obcych dzieci. Karen z kolei dopiero co się wprowadziła i nikogo nie знаła. Leonora każdego ranka wiozła Marię do szkoły i odbierała po południu. Raz Maria spytała, czy Karen nie chciałaby pojechać z nią do domu. Leonora przyjęła Karen, nową przyjaciółkę córki, z otwartymi ramionami i od tego czasu pod jej troskliwym okiem szybko kwitła przyjaźń między dziewczynkami.

– Jej mama była trochę apodyktyczna – opowiadała Karen Erlendurovi. – Zapisała nas na balet, którego obie nienawidziłyśmy, chodziła z nami do kina, tak wszystko organizowała, żebyśmy mogła spać u nich w Grafarvogur, i mama nigdy nie pozwalała mi nocować u innych koleżanek niż Maria. Leonora kupowała bilety do kina, robiła popcorn, kiedyśmy oglądały telewizję. Czasem nie mogłyśmy same się bawić. Leonora była uroczą, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale zdarzało się, że miało się jej dość. Bardzo dbała o Marię. Chociaż moim zdaniem Maria była rozpieszczana, nigdy nie była bezczelna, zawsze raczej grzeczna, posłuszna i miła, taki miała charakter.

Z każdym rokiem ich znajomość stawała się coraz bardziej zażyła. Razem skończyły liceum, Karen poszła na studia nauczycielskie, a Maria na historię. Wyjeżdżały razem za granicę, założyły kółko hafciarskie, które potem zmarło śmiercią naturalną, jeździły razem na urlopy, do domków letniskowych, razem imprezowały.

Erlendur zrozumiał, dlaczego Karen przyszła do niego na komendę po samobójstwie ukochanej przyjaciółki i twierdziła, że za samobójstwem kryje się coś poważniejszego niż rozpacz.

– I co pan myśli o tym seansie spirytystycznym? – zapytała.

– Wiedziała pani, że ona wybiera się na ten seans? – Erlendur odpowiedział

pytaniem.

– Zawiozłam Marię do medium – odparła Karen. – Ten człowiek ma na nazwisko Andersen.

– Leonora miała dać jej znak, jeśli po śmierci istnieje jakieś życie – dodał Erlendur.

– Moim zdaniem nie ma w tym nic dziwnego – odpowiedziała Karen. – Często rozmawialiśmy z Marią na ten temat. Opowiedziała mi o Prouście. Jak pan coś takiego wytłumaczy?

– Można to wyjaśnić na wiele sposobów.

– Pan w nic takiego nie wierzy, prawda? – zapytała Karen.

– Nie – odparł komisarz. – Ale dobrze Marię rozumiem. Potrafię zrozumieć, dlaczego chciała spotkać się z medium.

– Wielu ludzi wierzy w życie po śmierci.

– Tak – zgodził się Erlendur. – Ale ja do nich nie należę. Istnieją relacje ludzi opisujące moment agonii jako jasne światło w tunelu, ale moim zdaniem to tylko ostatnia reakcja mózgu, zanim zgaśnie.

– Maria myślała inaczej.

– Czy komuś poza panią mówiła o tomie Prousta?

– Nie wiem.

Karen patrzyła na Erlendura, jakby zastanawiała się, czy rozmawia z właściwym człowiekiem, czy może popełniła błąd. Komisarz też na nią spojrzał. W salonie panował półmrok.

– Chyba nie powinnam mówić panu o tym, co Maria niedawno mi powiedziała.

– Nie musi mi pani mówić nic, czego nie chce pani powiedzieć. Sedno tkwi w tym, że pani przyjaciółka skróciła sobie życie. Być może trudno jest pani spojrzeć prawdzie w oczy, ale na tym świecie dzieje się wiele rzeczy, z którymi nie możemy się pogodzić.

– Wiem o tym i wiem też, jak czuła się Maria po śmierci Leonory, ale to akurat wydaje mi się dość szczególne.

– Co takiego?

– Maria twierdziła, że widziała swoją matkę.

– Widziała ją po śmierci?

– Tak.

– Podczas seansu?

– Nie.

– Podobno Maria widziała różne rzeczy i bardzo bała się ciemności.

– Wiem o tym – powiedziała Karen. – Ale to było coś zupełnie innego.

– Co?

– Kilka tygodni temu zbudziła się w nocy i w drzwiach sypialni zobaczyła Leonorę, w letniej sukience, z kokardką we włosach i w żółtym swetrze. Matka gestem kazała jej iść za sobą, wyjść z pokoju. A potem zniknęła i kiedy Maria wyszła na korytarz, już jej nie było.

– Sama pani widzi, jak bardzo jej strach się pogłębiał, żal mi jej – podsumował komisarz.

– Byłabym ostrożna w sądach – upomniała go Karen. – Przecież słyszał pan na nagraniu, jak Leonora miała dać jej znak.

– Tak – potwierdził Erlendur.

– I?

– I nic. Książka spadła z półki. Takie rzeczy się zdarzają.

– Właśnie ta książka?

– Może Maria ją wyjęła i zapomniała o tym. Może mówiła Baldwinowi o książce i on ją wyciągnął i zapomniał. Może opowiedziała o tym jakimś gościom i oni grzebali przy tej książce na półce. Pani też wiedziała o książce.

– Tak, ale ja nigdy nie upuściłam książki na podłogę, a nawet jeśli, to zaraz ją podniosłam – odpowiedziała Karen.

– Wierzę w przypadki – powiedział Erlendur. – Poza tym wygląda na to, że Leonora w najlepsze snuła się po domu. Pewno już to wystarczyłoby za dowód na życie po śmierci. Dawny narzeczony Marii powiedział mi, że zawsze w stanie jakby półsnu widywała różne rzeczy, ludzi, których znała.

Milczeli dłuższą chwilę.

– Czyli zna pani medium z tej kasety? – Erlendur przerwał wreszcie milczenie.

– Tak. Ten człowiek nie jest jakoś specjalnie znany. To ja poleciłam go Marii. Jedna z moich przyjaciółek była u niego i opowiedziała mi o nim.

– A jak to nagranie znalazło się u pani?

– Maria mi je pożyczyła. Chciałam posłuchać takiego seansu spirytystycznego. Nigdy nie byłam u medium.

– Nie wie pani, czy odwiedzała inne medium?

– Była u jeszcze jednego człowieka, pod sam koniec. Tuż po tym seansie umarła.

– Kto to był?

– Maria powiedziała, że wie o niej wszystko. Dosłownie wszystko. Twierdziła, że to wręcz nie do wiary. Wtedy ostatni raz rozmawiałyśmy. Wiedziałam, że nie czuje się najlepiej, ale nie zdawałam sobie sprawy, że to zaszło tak daleko.

– Wie pani, co to za medium?

– Nie, tego mi nie powiedziała, ale z tego, co zrozumiałam, Maria ją polubiła i miała do niej zaufanie.

– Czyli to była kobieta?

– Tak.

Karen wstała i spojrzała na zmierzch za wielkim oknem w salonie.

– Słyszał pan o tym, co się stało nad Thingvallavatn? – spytała nagle.

– Tak, słyszałem.

– Zawsze miałam takie wrażenie, że nad jeziorem zdarzyło się coś, czego nigdy nie ujawniono – zwierzyła się Karen.

– To znaczy? – Erlendur zainteresował się.

– Maria nigdy nie powiedziała tego jasno, ale miała jakieś poczucie winy. Chodziło o coś z przeszłości, o czym nigdy nie chciała mówić, a co wiązało się z tamtą tragedią.

– Zna pani Thorgerdur, która studiowała z nią historię?

– Słyszałam o niej.

– Ona sugerowała coś podobnego. Uważa, że to ma jakiś związek z ojcem Marii. Tak jakby on miał umrzeć. Domyśla się pani czegoś?

– Nie. Jakby on miał umrzeć?

– Coś takiego wymknęło się Marii. Może to oznaczać cokolwiek.

– Że nadszedł jego czas?

– Możliwe. W tym sensie, że jego przeznaczeniem było umrzeć tamtego dnia i nic nie mogło tego zmienić.

– Nigdy nie słyszałam, żeby Maria coś podobnego mówiła.

– Ale w jej słowach można także odczytać coś innego – zauważył Erlendur.

– Chce pan powiedzieć... że zasłużył na to?

– Możliwe, tylko z jakiej przyczyny? – zastanawiał się komisarz.

– Że to nie był wypadek? Że...

Karen wbiła wzrok w Erlendura.

– Że to nie był wypadek?!

– Nic na ten temat nie wiadomo. Śledztwo zostało przeprowadzone. Nie wykryto nic podejrzanego. A teraz, wiele lat później, ktoś przypomniał sobie te słowa Marii. Czy kiedykolwiek powiedziała coś podobnego w pani obecności?

– Nie – odpowiedziała Karen. – Nigdy.

– Na tym nagraniu z seansu spirytystycznego pojawia się głos – zauważył komisarz.

– Tak?

– Głęboki męski głos, który każe Marii uważać na siebie, mówi, że ona nie wie, co robi.

– Tak.

– Skomentowała to jakoś?

– Głos przypominał jej głos ojca.

– Tak, to jest na taśmie.

– Wiem tylko, że nad jeziorem coś się wydarzyło. Maria często dawała to odczuć. Coś, co miało związek z Magnusem, jej tatą, coś, o czym nie chciała nikomu powiedzieć.

– A tak z innej beczki, pamięta pani człowieka, który studiował medycynę w tym samym czasie co Baldwin i miał na imię Tryggvi?

Karen zastanowiła się chwilę, po czym pokręciła głową.

– Nie – odpowiedziała. – Nie znam żadnego Tryggvego.

– Maria nigdy nie mówiła o żadnym Tryggvim?

– Nie sądzę. A kto to był?

– Wiem tylko, że studiował z Baldwinem na medycynie – odparł Erlendur. Nie wyjawiał, o czym mówił mu Orri Fjeldsted.

Po chwili się pożegnali. Karen obserwowała, jak na parkingu komisarz wsiada do swojego czarnego, starego samochodu z okrągłymi tylnymi światłami. Nie rozpoznała marki.

Policjant zamiast włączyć silnik i odjechać, siedział w aucie bez ruchu. Z okna po stronie kierowcy zaczął unosić się dym papierosowy. Minęło czterdzieści minut, nim rozbłysły okrągłe reflektory i auto powoli ruszyło z parkingu.

Kiedy był młodszy, pragnął, by śnił mu się brat. Znajdował rzeczy Bergura, jakąś niedużą zabawkę albo sweterek pedantycznie złożony przez matkę, która nie wyrzuciła niczego, co należało do jego brata. Przed snem wkładał te rzeczy pod poduszkę, za każdym razem co innego. Z początku chciał przekonać się, czy Bergur nawiedzi go we śnie i pomoże w poszukiwaniach. Potem chciał już go tylko widzieć, wspominać takiego, jakim był, zanim zginął.

Bergur nigdy nie przyszedł do niego we śnie.

Kilkadziesiąt lat później, kiedy znalazł się sam w zimnym pokoju hotelowym, brat mu się przyśnił. Senna wizja towarzyszyła mu po przebudzeniu i widział przed sobą Bergura, na granicy snu i jawy, dygocącego i skulonego w rogu pokoju. Wydawało mu się, że może go dotknąć. Ale potem wizja znikła i został sam, znów jak kiedyś pragnął



zobaczyć brata. Co nigdy się nie ziściło.

Po znalezieniu W stronę Swanna na podłodze pod regałem Marii przestała się tak bać. I poczuła się lepiej. Jej sny już nie były tak mroczne. Zwiększyła się liczba nocy bez koszmarów i sypiała lepiej niż dotychczas.

Baldvin okazywał jej większe zrozumienie. Nie wiedziała, czy to dlatego, że obawia się, by nie przekroczyła granicy dzielącej ją od świata obłądu, czy też znak od Leonory podziałał na niego bardziej, niż chciałby to ujawnić.

– Może należałoby pogadać z medium? – spytał któregoś razu.

Maria spojrzała Baldvina zdumiona. Nie spodziewała się tego po nim, zawsze okazującym pogardę w stosunku do spirytyzmu. Dlatego nie wspominała mu o swoim spotkaniu z Andersenem. Nie chciała stwarzać powodów do sprzeczek, nie mówiąc o tym, że uważała, iż wszystko, co dotyczy jej i jej matki, to sprawa osobista.

– Myślałem, że jesteś przeciwny takim rzeczom – powiedziała.

– Tak, ja... jeśli miałoby ci to jakoś pomóc, to nie ma znaczenia, co to jest i skąd pochodzi.

– A znasz jakieś medium?

– Nie – odpowiedział Baldvin z ociąganiem.

– Tak? – spytała.

– W pracy coś ktoś o tym mówił. Kardiolog.

– Co?

– O życiu po życiu. Pewien człowiek zmarł im na stole na dwie minuty. Robili mu bypassy i serce się zatrzymało. Musieli przeprowadzić defibrylację i wtedy serce ruszyło. Powiedział, że przeżył śmierć kliniczną.

– Komu o tym opowiedział?

– Wszystkim. Pielęgniarkom. Lekarzom. Nie był człowiekiem wierzącym, ale twierdzi, że po tym doświadczeniu uwierzył.

Zapadło milczenie.

– Powiedział, że był w innym świecie – odezwał się w końcu Baldvin.

– Nie pytałam cię nigdy, ale powiedz, czy to jest na porządku dziennym w szpitalu? Takie opowieści?

– Zdarza się, że człowiek coś takiego usłyszy. Ludzie nawet przeprowadzali eksperymenty na samych sobie, żeby uzyskać odpowiedź na pytanie o życie po życiu.

– Jakie?

– Wprowadzali się w stan śmierci klinicznej. To żadna tajemnica. Kiedyś widziałem o tym bardzo kiepski film. W każdym razie były rozmowy

*o jasnowidzach i medium, lekarz i ktoś z nich znał jakieś dobre medium, do którego chodziła jego żona. Przyszło mi na myśl... czy może to nie byłoby coś dla ciebie.*

*– Jak się nazywa?*

*– To kobieta. Na imię ma Magdalena. Przyszło mi do głowy, że może zechcesz z nią porozmawiać. Może ci to pomoże.*

Ostatnim znanym miejscem pobytu Tryggvego była brudna, śmierdząca nora z jednym materacem w ruderze przy ulicy Raudararstigur. Czasem przebywał tam z trzema innymi kloszardami, którzy akurat nie siedzieli w więzieniu. Był to barak z blachy falistej czekająca na rozbiórkę, z powybijanymi szybami i zapadłym dachem, cuchnący kocimi szczynami i pełen śmieci. Obecni właściciele odziedziczyli go, ale prowadzili żenujący, okropny spór o masę spadkową i nie mieli głowy, by zająć się nieruchomością. Całą czwórkę trudno było nazwać lokatorami, ani trochę nie zasługiwali na to miano. Tryggvi czasem trafiał do raportów policyjnych z powodu swojej namiętności do trunków i włóczęgostwa. Z tego, co udało się Erlendurowi dowiedzieć, był on raczej samotnikiem, odznaczał się spokojnym usposobieniem, nikomu nie wchodził w drogę i z nim też nikt nie zadzierał. Kiedy na ulicach Reykjavíku panował przeszywający mróz, szukał czasem schronienia na policji lub w Armii Zbawienia.

Kiedy za drugim razem Erlendur w drodze ze swego biura przy Hverfisgata zaszedł do nory przy Raudararstigur, poszukując Tryggvego, spotkał człowieka, którego przy odrobinie dobrej woli można by nazwać jego współlokatorem, nieprzytomnego pijaka rozwalonego na upačkanym materacu, dawno temu pozostawionym tu na kamiennej posadzce. Padał deszcz i koło śpiącego wytworzyła się kałuża. Obok wałały się puste butelki po wódce, ampułki po esencjach do ciast, buteleczki po salicylu i dwie strzykawki z krótkimi igłami. Mężczyzna zmrużył oczy i spojrzał na komisarza. Jedno oko miał spuchnięte.

- Coś ty za jeden? – zapytał schrypniętym, niewyraźnym głosem.
- Szukam Tryggvego – wyjaśnił Erlendur. – Podobno tu bywa.
- Tryggvi? Nie ma go tutaj.
- Widzę. Nie wiesz, gdzie go mogę spotkać o tej porze?
- Dawno go nie widziałem.
- Słyszałem, że czasem tu nocuje.
- Kiedyś tak. – Mężczyzna usiadł. – Długo go tu u nas nie było. Jaki dziś dzień?
- A to ma jakieś znaczenie? – Komisarz zdziwił się.
- Nie masz dla mnie czegoś do picia? – spytał mężczyzna z nadzieją w głosie. Miał na sobie grubą marynarkę, a pod nią sweter, brązowe spodnie

i zdarte buty sięgające białych, odkrytych łydek. Erlendur zauważył pękniętą wargę. Najwyraźniej całkiem niedawno ten człowiek brał udział w bójce.

– Nie.

– A co z Tryggvim? – spytał pijaczyna.

– Nic takiego – odparł komisarz. – Chciałem się z nim zobaczyć.

– A ty to kto... jego brat?

– Nie. Jak on się miewa?

Erlendur zdał sobie sprawę, że jeśli zbyt długo pozostanie w tej norze, smród moczu przyłgnie do niego na cały dzień.

– Nie wiem, jak on się miewa – pijaczyna nagle odparł z wściekłością. – A ty jak uważasz, że się miewa? Można się inaczej miewać niż jak gówno? I co, wyciągniesz go z rynsztoka? A oni tu, kurwa, przychodzą i spuszczaają ci wpierdol. Grożą, że cię podpalą.

– Kto?

– Gówniarze! Nie dają spokoju.

– Dawno to było?

– Będzie parę dni. Z każdym rokiem robią się coraz gorsi, gnoje.

– Tryggvi miał z nimi do czynienia?

– Nie widziałem go od...

– ... dawna, nie ma sprawy – zakończył Erlendur.

– Spróbuj po knajpach. Tam go ostatnio widziałem. W Napoleonie. Musiał mieć hajs, inaczej by go wywalili.

– Dzięki – rzucił Erlendur.

– Masz hajs? – spytał pijak.

– On tylko pije, nie?

– A jakie to ma znaczenie? – spytał retorycznie pijak i spojrzał na komisarza spode łba.

– Pewnie żadne – odparł Erlendur i sięgnął do kieszeni spodni po banknoty.

Życie w knajpie Napoleon nie zmieniło się od czasu, gdy Erlendur gościł tam ostatnio. Przygarbieni ludzie siedzieli przy nielicznych, chwiejących się stolikach, barman w czarnej kamizelce narzuconej na czerwoną koszulę rozwiązywał krzyżówkę, z radia za barem dochodził głos lektora, który czytał powieść *Miejsce na ziemi*.

Na temat poszukiwanego człowieka Erlendur nie wiedział prawie nic. Skontaktował się telefonicznie z aktorem Orrim Fjeldstedem. Orri był gadułą, a i czasu miał w bród, bo dużo wcześniej, niż zamierzano, zdjęto z afisza *Otella*. Nie wiedział więcej ponad to, co już powiedział, że Tryggvi został

uśmiercony i ozywiony. Wiedział, że Baldwin brał w tym udział, ale nie pamiętał imienia kuzyna Tryggvego, który kierował całym przedsięwzięciem. Wysłał Erlendura do wydziału teologicznego na Uniwersytecie, gdzie otrzymał informację, że Tryggvi rzucił studia po pierwszym roku. Potem wybrał się na medycynę, którą studiował tylko nieco ponad dwa lata, i zaczął szukać pracy. Dalsze śledztwo wykazało, że wypłynął w morze i pływał zarówno na trawlerach, jak i statkach handlowych, dopóki nie wrócił na ląd i nie zatrudnił się jako robotnik portowy. Jego kolega z roboty powiedział, że w tym czasie często zaglądał do kieliszka i dlatego nie zjawiał się w pracy, i w końcu został zwolniony. Potem Tryggvi zaczął pojawiać się w raportach policyjnych, zazwyczaj jako lokator różnych nor, takich jak ta przy Raudararstigur. Znajdowano go także pijanego w sztok w rozmaitych miejscach. Z tego co ustalił Erlendur, Tryggvi nie wszedł w poważny konflikt z prawem.

Oderwał barmana od krzyżówki.

– Szukam Tryggvego – powiedział. – Z tego co wiem, czasem tu przychodzi.

– Tryggvi? – zapytał zdziwiony. – A ty myślisz, że ja tych gości znam z imienia?

– Czy ja wiem? Znasz ich z imienia?

– Pogadaj z tym w zielonej kurtce. – Barman pokazał na jakiegoś faceta. – On tu przychodzi codziennie.

Erlendur rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu. W miejscu, które wskazał mu barman, zobaczył mężczyznę w zielonej kurtce nad pustawą szklanką piwa. Na jego stoliku znajdowały się jeszcze trzy kieliszki. Obok mężczyzny siedziała także kobieta w średnim wieku, a przed nią stała podobna bateria.

– Szukam człowieka imieniem Tryggvi – zagadnął Erlendur, zbliżywszy się do nich. Przyciągnął krzesło od stolika obok i usiadł.

Oboje podnieśli wzrok, zdumieni taką bezczelnością.

– A ty coś za jeden? – zapytał facet.

– Jego przyjaciel – odparł Erlendur. – Ze szkoły. Słyszałem, że czasem tu wpada, i zapragnąłem się z nim zobaczyć.

– I... co? – wtrąciła kobieta.

Para w nieokreślonym wieku, oboje o spuchniętych twarzach i przekrwionych oczach, pałący skręcone papierosy. Erlendur przeszkodził im w produkcji. Do bibulek wkładali niewielką ilość tytoniu. Kobieta starała się robić to starannie, dając odpowiednią ilość, nie marnując niczego, mężczyzna

skręcał i sklejał papierosy.

– Nic – odpowiedział komisarz. – Chciałem się z nim spotkać. Wiecie, gdzie go znajdę?

– A on czasem nie umarł? – zapytał mężczyzna w zielonej kurtce i spojrzał na kobietę.

– Dawno go nie widziałam. Może i nie żyje.

– To znaczy, że go znacie?

– Czasem pałętał się tu przy nas – wyjaśnił mężczyzna i poślinił nowego skręta, którego poddała mu towarzyszka.

– Dawno go widzieliście?

– No.

– A pamiętasz gdzie?

– Czy to czasem nie... nie było... nie pamiętam. Pogadaj z Rudolfem. Tam jest.

Wyciągnął rękę w kierunku drzwi, gdzie siedział samotny gość w granatowej ocieplanej kurtce i palił. Przed nim stała szklanka piwa. Wpatrywał się w blat i zdawał się zupełnie nieobecny, kiedy Erlendur usiadł naprzeciw niego. Facet podniósł wzrok.

– Wiesz, gdzie znajdę Tryggvego? – zapytał.

– A ty to kto?

– Jego przyjaciel. Z uniwersytetu.

– To Tryggvi był na uniwersytecie?

Erlendur skinął głową.

– Wiesz, gdzie go mogę znaleźć? Oni mówili, że chyba nie żyje – powiedział komisarz i ruchem głowy wskazał kobietę i mężczyznę skręcających papierosy.

– Tryggvi żyje – odpowiedział rozmówca. – Spotkałem go dwa czy trzy dni temu. Jeśli to ten Tryggvi. Ja innego nie znam. To on chodził na uniwersytet?

– A gdzie go spotkałeś?

– Powiedział, że chce znaleźć jakąś robotę i przestać pić.

– Tak? – Erlendur zdziwił się.

– Już to wcześniej słyszałem. Był na dworcu autobusowym. Golił się w kiblu.

– Przesiaduje na dworcu?

– Czasem, tak. Obserwuje autobusy. Siedzi cały dzień i patrzy, jak przyjeżdżają i odjeżdżają.

Później tego samego dnia Erlendur, cały zmoknięty, dotarł do Skulakaffi i zaczął rozglądać się za kobietą, dla której tu przyszedł. Zobaczył ją siedzącą tyłem, pochyloną nad filiżanką z jakąś lurą, z tłącym się papierosem między palcami. Zawahał się. Tylko nieliczne stoliki były zajęte, kierowcy ciężarówek przeglądali gazety, robotnicy w pośpiechu kończyli swoje drożdżówki, zostało im już tylko kilka minut, nim wrócą do pracy. Wytarta wykładzina i wysłużone krzesła pasowały do ich ogorzałych twarzy i suchych, zrogowaciałych dłoni. Miejsce przypominało raczej robotniczą jadłodajnię niż restaurację. Wnętrza od dawna nie odnawiano, przynajmniej Erlendur tego nie pamiętał. Nigdzie w mieście nie podawali lepszego solonego mięsa ze słodkim sosem mlecznym. To on wybrał Skulakaffi na miejsce spotkania. A Eva zapewniła, że ona nie wyraziła sprzeciwu.

– Cześć – rzucił, kiedy znalazł się przy stoliku.

Halldora podniosła wzrok znad filiżanki.

– Cześć – odpowiedziała, nie sposób było wyczuć jej intencje.

Wyciągnął dłoń, by się przywitać, a ona podniosła swoją, ale tylko po to, by unieść filiżankę. Napila się kawy.

Erlendur włożył więc rękę do kieszeni płaszcza i usiadł naprzeciw byłej żony.

– Ty to potrafisz wybrać miejsce na spotkanie – bąknęła i zgasiła papierosa.

– Serwują tu dobre solone mięso – odpowiedział.

– Zawsze był z ciebie wieśniak – skomentowała.

– Raczej tak – odparł. – Co u ciebie?

– Dla mnie nie musisz udawać miłego. – Halldora podniosła wzrok.

– Dobrze – zgodził się Erlendur.

– Eva mówiła mi, że mieszkasz z jakąś kobietą.

– Nie mieszkamy razem – sprostował Erlendur.

– Nie? To o co chodzi?

– Dobrze się znamy. Na imię ma Valgerdur.

– No cóż.

Milczeli.

– To wszystko bez sensu – warknęła nagle Halldora, chwyciła paczkę papierosów oraz jednorazową zapalniczkę i włożyła do kieszeni płaszcza. – Nie wiem, co sobie wyobrażałam – dodała i wstała z miejsca.

– Nie odchodź – poprosił Erlendur.

– Nie, muszę – odpowiedziała Halldora. – Nie mam pojęcia, co Eva chciała osiągnąć, ale... nie, to bez sensu.

Pochylony nad blatem, złapał ją za ramię.

– Nie odchodź – poprosił ponownie.

Patrzyli sobie w oczy. Halldora pociągnęła rękę ku sobie. A potem opadła na krzesło.

– Przyszłam tu tylko dlatego, że Eva tak chciała – powiedziała.

– Ja też – przyznał Erlendur. – Może spróbujemy to dla niej zrobić?

Halldora wyciągnęła papierosa i zapaliła. Erlendur przeczytał napis „Mallorca” na zapalniczce. Nie wiedział, czy wyjeżdżała na wakacje do ciepłych krajów. Może kupiła ją po to, by wyczarować gorące wspomnienia z nieodbytego wyjazdu. Albo by podtrzymać marzenia o gorącym piasku na jakiejś plaży. Kiedyś odmówił wyjazdu na wycieczkę do ciepłych krajów, powiedział, że nie ma czego szukać w takich miejscach. „Czego szukać?”, spytała wtedy. „Czyż takie miejsca nie są po to, by nic nie robić?”.

– Eva daje radę – powiedziała Halldora.

– My też powinniśmy spróbować – odparł Erlendur. – Myślę, że dużo by jej dało, gdybyśmy znaleźli jakiś sposób, aby razem ją wspierać.

– Jest tylko jedno ale – rzuciła Halldora. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Powiedziałam to jej i ona o tym wie. Wiele razy jej to mówiłam.

– Doskonale to rozumiem – przyznał komisarz.

– Rozumiesz? – wyrzuciła z siebie Halldora. – A ty myślisz, że mnie obchodzi, czy ty coś rozumiesz, czy nie? Zniszczyłeś naszą rodzinę. Masz to na sumieniu. Odszedłeś sobie, jakby twoje dzieci zupełnie cię nie obchodziły. Ciekawe, co ty rozumiesz?

– Nie odszedłem sobie, mylisz się i to nieładnie, że mówisz tak naszym dzieciom.

– Nieładnie!

– Możemy się nie kłócić? – zaproponował.

– Ty mnie śmiesz oceniać?

– Ja cię nie oceniam.

– Nie, właśnie. – Halldora się zagotowała. – Nigdy nie chciałeś się o nic kłócić. Zawsze stawiałeś na swoim, a inni mieli milczeć. Zawsze tak chciałeś, żeby było?

Erlendur nie odpowiedział. Bał się tego spotkania dlatego, że wiedział, iż ona na niego naskoczy. W jej myślach to, co się kiedyś wydarzyło, jeszcze nie minęło. Patrzył na nią i widział, jak się zestarzała, jak zwiotczały mięśnie jej



twarży, dolna warga wysunęła się nieco do przodu, skóra pod oczami i na nosie zaczerwieniła się. Spodziewał się, że sam jest podobnym obrazem nędzy i rozpaczy.

– Popełniliśmy błąd – powiedział. – Ja popełniłem błąd. I muszę z tym żyć. Powinienem był postępować inaczej, nalegać mocno na to, by się widywać z dziećmi. Mogłem też lepiej ci wszystko wyjaśnić. Staralem się, ale zbyt słabo. Przykro mi, że tak się stało, ale niczego nie zmienię. Tu już nie chodzi o nas, ale o Sindrego i Evę. I może zawsze o nich chodziło. Mogłem się bardziej postarać, ale pozwoliłem ci rządzić. Dzieci zostały przy tobie.

Halldora skończyła papierosa i zgmiotła niedopałek w popielniczkę. Natychmiast wzięła drugiego i zapaliła zapalniczką z napisem „Mallorca”. Zaciągnęła się błękitnym dymem i powoli go wypuściła.

– Tak, teraz mnie będziesz o wszystko obwiniał?

– Ja nikogo nie chcę obwiniać – bronił się Erlendur.

– Ty oczywiście jako elegancki gość za nic nie jesteś odpowiedzialny. Dzieci zostały przy mnie! To tak ma to wyglądać?

– Nie o to mi chodziło. I odpo...

– Myślisz, że moje życie to była zabawa? Rozwódka. Samotna matka. Dwójka dzieci. Myślisz, że to jest pikuś?

– Nie. Jeśli mamy znaleźć winnego, to ja nim jestem. Nikt inny. Wiem. Cały czas to wiedziałem.

– To dobrze.

– Ale ty też nie jesteś bez winy – podkreślił Erlendur. – Nie dopuszczałaś mnie do dzieci. Okłamywałaś mnie. To była twoja zemsta. Mogłem bardziej zabiegać o opiekę nad dziećmi. To był mój błąd.

Halldora spoglądała na niego bez słowa. Erlendur patrzył na nią.

– Twój błąd, moja zemsta – odezwała się w końcu.

Erlendur milczał.

– Nic się nie zmieniłeś – zauważyła Halldora.

– Nie będę się z tobą kłócił.

– Nie, a jednak się kłócisz.

– Nie widziałaś, co się dzieje? Nie mogłaś nic zrobić? Nie mogłaś przestać na chwilę litować się nad sobą, żeby zobaczyć, do czego to wszystko zmierza? Wiem, jaka jest moja odpowiedzialność, i wiem, jaka jest moja wina, że nie zadbałem o to, by im było lepiej. Od kiedy Eva mnie odnalazła i zobaczyłem, co się dzieje, bez przerwy się obwiniam, bo wiem, że zawiodłem. A ty, Halldoro? Nie mogłaś szarpnąć za cugle?

Halldora nie odpowiedziała od razu. Obserwowała deszcz za oknem

i obracała w palcach zapalniczkę. Erlendur oczekiwał od niej wściekłego pouczenia, oskarżeń i pretensji. Halldora jednak patrzyła spokojnie na deszcz, zaciągając się papierosem. Kiedy wreszcie się odezwała, w jej głosie brzmiało zmęczenie.

– Jak wiesz, mój tata był robotnikiem – zaczęła. – Urodził się biedny i zmarł jeszcze biedniejszy. Mama też. Nigdy niczego nie mieliśmy. Niczego. Wyobrażałam sobie inne życie. Chciałam wyrwać się z biedy. Mieć piękne mieszkanie. Piękne rzeczy. Dobrego męża. Myślałam, że ty nim będziesz. Sądziłam, że rozpoczynamy życie, które przyniesie nam odrobinę szczęścia. Ale tak się nie stało. Ty... odszedłeś. Zaczęłam pić. Nie wiem, co ci naopowiadali Eva i Sindri. Nie wiem, ile wiesz o moim życiu i o naszym życiu, ale nie było ono niebiańskie. Nie miałam szczęścia do facetów. Niektórzy z nich byli po prostu ohydni. Błąkałam się w ciemnościach. Mieszkałam w jakichś wynajętych mieszkaniach. Zdarzało się, że wyrzucano mnie z dziećmi na bruk. Czasem miałam dłuższe ciągi pijackie. Pewnie nie dbałam o tę dwójkę tak, jak powinnam. Chyba miały jeszcze gorsze życie niż ja, zwłaszcza Eva, która zawsze była wrażliwsza niż Sindri, szczególnie jeśli chodzi o towarzystwo nieznanym i marne warunki życiowe.

Halldora zaciągnęła się głęboko.

– Tak to wyglądało. Próbowałam samej sobie nie współczuć. Ja... Nic na to nie poradzę, że obarczam cię odpowiedzialnością za część moich niepowodzeń.

– Mogę? – zapytał i sięgnął po jej papierosy.

Pchnęła je w jego stronę razem z zapalniczką Mallorca. Siedzieli, palili i milczeli. Każde pogrążone w swoich myślach.

– Dużo o ciebie pytała – przerwała ciszę Halldora. – Zazwyczaj mówiłam jej, że jesteś jak jeden z tych łajdaków, z którymi czasem się wiązałam. Wiem, że nie było to piękne z mojej strony, ale co miałam powiedzieć?

– Nie wiem – odpowiedział Erlendur. – Życie nie było łatwe.

– To wszystko z twojego powodu.

Erlendur milczał. Deszcz siąpił z szarego nieba. Trzej faceci w kraciastych koszulach wstali i wyszli, dziękując głośno znajdującemu się w kuchni kucharzowi.

– To od początku była nierówna walka – zauważyła Halldora.

– Tak, może – Erlendur nie zaprzeczył.

– Tu nie ma żadnego „może”.

– Nie.

– A wiesz dlaczego?

- Tak sędzę.
- Nierówna była dlatego, że ja całą siebie poświęciłam dla naszego związku
- powiedziała Halldora.
- Tak.
- Nigdy nie otrzymując nic w zamian.
- Erlendur nie odpowiedział.
- Nigdy – powtórzyła Halldora i wypuściła kłęby dymu.
- Przypuszczam, że masz rację – zgodził się Erlendur.
- W Halldorze zagotowało się. Unikała jego spojrzenia. Długą chwilę siedzieli w milczeniu, dopóki Halldora nie chrząknęła. Sięgnęła do popielniczki i zgmiotła w niej niedopałek.
- Uważasz, że to sprawiedliwe? – rzuciła.
- Przykro mi, że nie otrzymywałeś nic w zamian – powiedział Erlendur.
- Przykro ci! – przedrzeźniła go Halldora. – Myślisz, że to pomoże? Co ty sobie myślałeś?
- Nie wiem.
- Nie minęło wiele czasu, nim się zorientowałam – wycedziła Halldora. – Poczułam, że nic nie znacę. Ale dalej próbowałam. Jak idiotka. I tym bardziej, im lepiej cię poznawałam. Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Gdybyś tylko dał nam czas i... Dlaczego pozwoliłeś, by to zaszło tak daleko? Czemu nie wykazałeś choćby cienia zainteresowania?
- Halldora patrzyła w swoją filiżankę i walczyła ze łzami. Jej ramiona opadły, a dolna warga zaczęła lekko drżeć.
- Popełniłem błąd – przyznał Erlendur. – Ja... nie potrafiłem, nie wiedziałem, co robię. Nie wiem, co się stało. Starłem się jak najmniej o tym myśleć. Starłem się zapomnieć o tym rozdziale mojego życia. Może to tchórzostwo.
- Nigdy cię nie rozumiałam.
- Myślę, że jesteśmy bardzo niepodobni do siebie, Halldoro.
- Może.
- Moja matka dopiero umarła. – Erlendur jakby się usprawiedliwiał. – Zostałem trochę sam. Myślałem, że...
- Że znajdziesz sobie nową mamusię?
- Usiłuję ci coś powiedzieć.
- Daruj sobie – powiedziała Halldora. – To już nie ma znaczenia.
- Uważam, że powinniśmy się raczej skupić na przyszłości – zaproponował Erlendur.
- Tak, na pewno.

– Myślałem, że uda nam się pomyśleć o Evie – zauważył. – Tu nie chodzi o nas dwoje. Już nie. I to od dłuższego czasu, Halldoro. Przecież to rozumiesz.

Nastała cisza. Tylko z kuchni dochodziło pobrzękiwanie talerzy. Do lokalu weszło dwóch mężczyzn w kurtkach dżinsowych. Podeszli do baru. Wzięli kawę i drożdżówki i usiedli w kącie. Mężczyzna w zimowej kurtce siedział samotnie przy stoliku i przeglądał gazetę. Nikogo więcej w lokalu nie było.

– Ty byłeś fatalną przesyłką – odezwała się cicho Halldora. – Tata tak zawsze mówił. Fatalna przesyłka.

– Mogło się potoczyć inaczej – odpowiedział Erlendur. – Gdybyś wykazała choć trochę zrozumienia dla mojego samopoczucia. Ale to było zbyt bolesne, stałaś się zgorzkniała i pełna nienawiści i dalej taka jesteś. Nie sądzisz, że wystarczy już? Nie sądzisz, że mogłabyś trochę odpuścić?

– Obwiniaj mnie o wszystko!

– Nie obwiniam.

– Obwiniasz.

– Możemy coś zrobić dla Evy?

– Nie ma mowy. Ani mi w głowie ulżyć twojemu sumieniu.

– Nie możemy spróbować?

– Już jest za późno.

– To nie tak miało być – jęknął Erlendur.

– A co ja tam wiem. Ty postanowiłeś.

Halldora zabrała papierosy i zapalniczkę i wstała.

– To ty o wszystkim postanowiłeś – wycedziła i wybiegła na ulicę.

W ciągu kolejnych dni Erlendur zaglądał na dworzec autobusowy w poszukiwaniu Tryggvego. Rudolf w Napoleonie opisał mu go dość ogólnie, ale komisarz miał nadzieję, że to wystarczy. Kiedy Erlendur zaszedł na dworzec po raz trzeci, wywoływano właśnie pasażerów na autobus do Akureyri. W poczekalni niewielka grupka zaczęła zbierać swoje rzeczy. Było już po południowym szczycie, więc w niedużym barze, serwującym gorące posiłki, napoje chłodzące i kanapki, panował spokój. Palić było wolno przy stolikach przy oknach wychodzących na stanowiska autobusowe. Siedział tam samotny człowiek, który ścisnął żółty worek plastikowy, leżący przed nim na stoliku. Obserwował ludzi wsiadających do autobusu kursowego do Akureyri. Miał zmierzwiene włosy, a brodę zdobiła mu spora blizna po dawnym wypadku lub bójce. Jego dłonie były wielkie i brudne, a paznokcie na palcu wskazującym i serdecznym czarne.

– Przepraszam – zawołał Erlendur i podszedł do niego. – Masz może na imię Tryggvi?

Mężczyzna spojrzał podejrzliwie na komisarza.

– A ty to kto?

– Na imię mam Erlendur.

– Huh... – wydobyło się z mężczyzny, który zdawał się nie interesować ludźmi, którzy go zaczepiają.

– Mogę zaproponować kawę albo coś do jedzenia? – spytał Erlendur.

– Czego chcesz?

– Chciałbym chwilę pogadać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

– Pogadać ze mną?

– Jeśli można.

– Czego chcesz?

– Coś ci przynieść?

Mężczyzna długo patrzył na Erlendura. Nie bardzo wiedział, jak ma rozumieć to nagłe najście.

– Możesz mi postawić gorzałę – powiedział w końcu.

Erlendur uśmiechnął się chłodno i zawahał chwilę, zanim udał się w stronę baru. Poprosił o podwójną brennivin i dwie kawy. Mężczyzna czekał na niego przy oknie, obserwując, jak rusza autobus do Akureyri. Barman obsłużył

Erlendura, a ten zapytał go, czy może zna tego gościa siedzącego w miejscu dla palaczy pod oknem.

– Chodzi ci o tego włóczęgę? – upewnił się barman, wskazując człowieka czubkiem brody.

– Tak, często tu bywa?

– Od czasu do czasu. Od wielu lat – odparł barman.

– Co robi?

– Nic. Nigdy nic nie robi i nigdy nie sprawia kłopotów. Nie wiem, dlaczego tutaj przychodzi. Widzę czasem, że goli się w kiblu. A potem przesiaduje tu godzinami i patrzy na odjeżdżające autobusy. Ty go znasz?

– Trochę – powiedział komisarz. – Nie za bardzo. Nigdy nie wsiada do autobusu?

– Nigdy. Nigdy nie widziałem, żeby wsiadał – odparł barman.

Erlendur wziął resztę, podziękował, wrócił do człowieka przy wielkim oknie i usiadł.

– To jak powiedziałeś? Kim jesteś? – spytał włóczęga.

– Nazywasz się Tryggvi? – odpowiedział Erlendur pytaniem.

– Tak, nazywam się Tryggvi – powtórzył mężczyzna. – A ty? Ty kim jesteś?

– Nazywam się Erlendur – powiedział komisarz. – Z policji.

Tryggvi powoli zsunął żółtą torbę pod stół.

– Czego chcesz? Nic złego nie zrobiłem.

– Nic nie chcę – uspokoił go Erlendur. – I naprawdę wszystko mi jedno, co masz w tej torbie. Jeśli mam być szczerzy, to słyszałem dziwną opowieść z czasów, kiedy studiowałeś, i chciałbym potwierdzić, czy jest w niej ziarno prawdy.

– Jaką opowieść?

– O... jak by to powiedzieć... o twojej śmierci.

Tryggvi długo patrzył na Erlendura bez słowa. Wychylił kieliszek i podsunął go komisarzowi. Bezbarwne oczy osadzone były pod gęstymi brwiami, twarz nalana, mocno i dziwnie kontrastująca z chudą sylwetką, wielki nos, kiedyś najwyraźniej został złamany, wargi grube. Twarz poddała się grawitacji, co czyniło ją bardzo pociągłą.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Różnymi sposobami – powiedział Erlendur. – Zajrzałem między innymi do Napoleona.

– A o co ci chodzi z tą moją śmiercią?

– Nie wiem, czy jest w tym coś na rzeczy, ale słyszałem o eksperymencie przeprowadzonym przez studentów czy studenta medycyny na uniwersytecie.

Wtedy ty studiowałeś teologię albo medycynę, dokładnie nie wiem. Zgodziłeś się wziąć udział w tym doświadczeniu. Polegało ono na tym, żeby uśmiercić cię na chwilę, a potem przywrócić do życia. To prawda?

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – spytał mężczyzna chropawym, schrypniętym głosem alkoholika. Sięgnął do kieszeni na piersi po papierosy i wyjął wymiętą pustawą paczkę.

– Jestem ciekawski.

Tryggvi spojrzał na kieliszek, a potem na Erlendura. Erlendur wstał i poszedł do baru. Kupił pół flaszki islandzkiej brennivin i przyniósł ją do stolika. Nappełnił kieliszek i butelkę postawił przed sobą.

– A gdzie słyszałeś tę opowieść? – spytał Tryggvi. Opróżnił kieliszek i podsunął go znów komisarzowi.

Erlendur ponownie go nappełnił.

– Jest prawdziwa?

– I co z tego? Co z tym chcesz zrobić?

– Nic – uspokoił go Erlendur.

– I jesteś gliną? – spytał włóczęga i opróżnił kieliszek.

– Tak. Ty jesteś tym właśnie Tryggvim?

– Na imię mam Tryggvi. – Mężczyzna rozejrzał się wokół. – Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

– Możesz mi opowiedzieć o tym, co się stało?

– Nic się nie stało. Nic. Zupełnie nic. Dlaczego mnie teraz o to pytasz? Co cię to obchodzi? Czy kogokolwiek to obchodzi?

Erlendur nie chciał go spłoszyć. Mógłby mu przecież powiedzieć, brudnemu i zapijaczonemu, śmierzącemu rynsztokiem, że to nie jego sprawa. Ale wtedy nie usłyszałby tego, co chciał usłyszeć. Próbował raczej go oswoić, rozmawiał z nim jak równy z równym, znów mu polał i przypalił papierosa. Chwilę pogadał o tym i owym, o miejscu, w którym siedzieli i w którym nadal serwowano opalane łby baranie i purée z brukwi jak w dawnych czasach, kiedy chłopcy wozili dziewczyny swoimi furami i wpadali na dworzec wrzucić coś na ząb. Brennivin też swoje zrobiła. Tryggvi pił bez umiaru, kieliszek za kieliszkiem, i coraz bardziej rozwiązywał mu się język. Erlendur skierował rozmowę na właściwy temat, czyli na to, co wydarzyło się, kiedy Tryggvi studiował na uniwersytecie, a kilku kolegów postanowiło przeprowadzić dziwny eksperyment.

– Chciałbyś coś zjeść? – spytał Erlendur, kiedy rozmowa zaczęła się kleić.

– Myślałem, że zostanę pastorem – zaczął Tryggvi swoją opowieść i machnął ręką, dając znak, że jedzenie mu nie służy. Chwycił za to flaszkę

i pił z gwinta długo i łapczywie. Otarł usta rękawem. – Ale teologia okazała się nudna – kontynuował. – Spróbowałem więc z medycyną. Większość moich przyjaciół wybrała te studia. Ja...

– No?

– Nie widziałem ich od wielu lat. – Tryggvi zamyślił się. – Ciekawe, czy wszyscy zostali lekarzami. Specjalistami w takiej czy innej dziedzinie. Bogatymi i grubymi.

– To był ich pomysł?

Tryggvi spojrział na Erlendura, dając mu do zrozumienia, żeby nie poganiał go. Tutaj on o wszystkim decyduje i jeśli Erlendur nie uszanuje tego, może się wynosić.

– Wciąż nie wiem, dlaczego ty w tym grzebiesz – powiedział.

Erlendur westchnął.

– To może dotyczyć sprawy, którą prowadzę, więcej na ten temat nie mogę ci powiedzieć.

Tryggvi wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Znów przechylił butelkę. Erlendur cierpliwie czekał.

– Słyszałem, że sam o to poprosiłeś – powiedział w końcu.

– To jest wierutne kłamstwo – powiedział Tryggvi. – O nic nie prosiłem. To oni do mnie przyszli. Sami do mnie przyszli.

Erlendur milczał.

– Nigdy nie powinienem był słuchać tego kretyna – warknął włóczęga.

– Jakiego kretyna?

– Mojego kuzyna. Tego kretyna.

Znów zapadło milczenie, którego Erlendur nie chciał przerywać. Nie chciał naciskać, bo miał nadzieję, że włóczęga sam odczuje potrzebę zwierzenia się, rozmowy o tym, co się wydarzyło, choćby z nieznanym na dworcu autobusowym.

– Nie jest ci zimno? – spytał Tryggvi, otulając się szczelnie marynarką.

– Nie, tu nie jest zimno.

– Mnie zawsze jest zimno.

– I co z tym twoim kuzynem?

– Już nie pamiętam, jak to było – przyznał Tryggvi.

Erlendur popatrzył na niego i odniósł wrażenie, że wręcz przeciwnie: pamięta każdy szczegół tamtego zdarzenia.

– Wpadliśmy na tamten pomysł w czasie jakiejś popijawy, a potem zaczęło się dziać. Brakowało im królika doświadczalnego. Wykorzystajmy teologa,



powiedzieli. Wyślijmy go do piekła. Jeden z nich był, jako się rzekło... był moim kuzynem, bogatym skurwielem, zafascynowanym śmiercią. Dzieliłem tę fascynację i on o tym wiedział. Dobrze o tym wiedział i zapłacił mi średnią miesięczną pensję. Ówczesną. W grupie jeszcze była dziewczyna, którą... w której się podkochiwałem. Może zrobiłem to dla niej. Trudno zaprzeczyć. Oni byli wyżej na studiach niż ja, kuzyn na ostatnim roku i ona też. Ta dziewczyna.

Tryggvi opróżnił już pół butelki i posepnym wzrokiem obserwował plac manewrowy. Jego opowieść była zawiła, pełna powtórzeń, niezwykle skomplikowana, a czasem ją przerywał i długo siedział w milczeniu. Erlendur nie chciał Tryggvego poganiać. Mężczyzna wbijał wzrok w blat stolika, jakby był sam na świecie, sam ze swoimi myślami, samotny w całym swoim życiu. Komisarz odniósł wrażenie, że Tryggvemu nie zdarzało się mówić na ten temat od czasu, gdy zdarzenia te zaszły, i że są niezłałatwione sprawy, o których Tryggvi nigdy nie zapomniał i dlatego spowiły całe jego życie niczym pajęcza sieć.

To jego kuzyn wpadł na pomysł. Był na ostatnim roku medycyny i jesienią miał zamiar zacząć specjalizację w Stanach. Pracował już w Szpitalu Miejskim, jak wówczas zwano tę instytucję, był najlepszy na roku, wodził rej na wszystkich imprezach, grał na gitarze, dowcipkował i organizował biwaki w Thorsmörk. Uczestniczył we wszystkim, zawsze pewny siebie, skupiony na sobie, bezczelny i zdecydowany. Pewnego razu gdy spotkał Tryggvego na jakiejś imprezie rodzinnej, zapytał go, czy czytał o francuskich studentach medycyny, którzy przeprowadzili bardzo interesujący eksperyment, oczywiście zupełnie nielegalnie.

– Jaki eksperyment? – zapytał Tryggvi. Był pod każdym względem przeciwieństwem swego kuzyna, wycofany, nieśmiały, typ samotnika. Podczas spotkań nigdy się nie odzywał, nie jeździł na biwaki z rozrywkowymi studentami medycyny i miewał kłopoty z alkoholem.

– Po prostu niewiarygodne – twierdził jego kuzyn. – Spowodowali śmierć kliniczną u jednego ze swoich kolegów, utrzymywali go w tym stanie przez trzy minuty, po czym go przywrócili do życia. W świetle prawa trudno powiedzieć, co z tym zrobić. Zabili go, a jednak nie zabili. Rozumiesz?

Wyglądało na to, że kuzynowi ta sprawa padła na mózg. Przez kolejne tygodnie mówił tylko o francuskich studentach medycyny, śledził ich proces i zaczął przekonywać Tryggvego, że coś podobnego chce zrobić. Od dawna o tym myślał, a teraz ta wiadomość wywołała u niego pragnienie, któremu nie jest w stanie się oprzeć.

– Studiowałeś teologię, na pewno jesteś ciekaw – powiedział któregoś dnia, kiedy siedzieli w kafejce na wydziale medycznym.

– Nie chcę dać się zabić – oponował Tryggvi. – Znajdź sobie kogoś innego.

– Nikt inny się nie nadaje – przekonywał go kuzyn. – Ty do tego doskonale pasujesz. Jesteś młody i zdrowy. W twojej rodzinie nie było żadnych chorób serca. Dagmar przeprowadzi z nami ten eksperyment i Baddi, mój kumpel z medycyny. Już z nimi rozmawiałem. To jest bezpieczne. Nic złego się nie stanie. No a przecież ty musiałeś często się nad tym zastanawiać, nad życiem po śmierci.

Tryggvi wiedział, kim jest Dagmar. Zwrócił na nią uwagę, jak tylko zaczął studiować medycynę.

– Dagmar? – zapytał.

– Tak – potwierdził kuzyn. – A ona nie jest idiotką.

Tryggvi to wiedział. Była przyjaciółką jego kuzyna, a kiedy jeden jedyny raz poszedł na bal studentów medycyny, zamieniła z nim kilka słów. Wiedziała, że są kuzynami. Kilka razy potem ją spotkał i ucinali sobie pogawędkę. Uważał ją za uroczą dziewczynę, ale nie miał na tyle odwagi, by zrobić następny krok.

– Ona chce wziąć w tym udział? – zdziwił się.

– Jasne – przekonywał go kuzyn.

Tryggvi z niedowierzaniem pokręcił głową.

– No i oczywiście ci zapłacę – namawiał go kuzyn.

W końcu Tryggvi uległ. Tak naprawdę nie wiedział właściwie, dlaczego dał się namówić. Nigdy nie miał pieniędzy, pragnął zaprzyjaźnić się z Dagmar, jego kuzyn naciskał, a nade wszystko udało mu się rozbudzić w Tryggvim na nowo zainteresowanie życiem po śmierci. Kuzyn miał świadomość, że jest ciekawski, jeszcze z czasów, gdy byli młodszy i zadawali sobie pytania o boga, niebo i piekło. Obaj pochodzili z bardzo religijnych rodzin, chodzili do szkoły niedzielnej, regularnie uczestniczyli w mszach, działali w parafii. Z wiekiem te zainteresowania przygasły, przestali wierzyć w wiele dogmatów, takich jak zmartwychwstanie, życie wieczne i niebo. Tryggvi sądził, że właśnie dlatego poszedł na studia teologiczne. Z powodu wątpliwości i trudnych pytań, które zawsze sobie zadawał. Co, jeśli? Jeśli Bóg istnieje? Jeśli jest życie wieczne?

– Tyle razy rozmawialiśmy na te tematy – przypomniał mu kuzyn.

– Rozmawiać o tym to jedno...

– To skróćmy to do jednej minuty. Będiesz miał jedną minutę na wizytę po drugiej stronie.

– Ale ja...

– Poszedłeś na teologię, żeby poznać odpowiedzi na te pytania – powiedział kuzyn.

– A ty? – zapytał Tryggvi. – Co chcesz udowodnić?

Kuzyn się uśmiechnął.

– Nigdy nic się nie dzieje i nikt nic nie robi – odparł. – W każdym razie nic podobnego do tego. To kuszące spróbować wyjaśnić, czy jest jaskrawe światło i tunel, tym bardziej że możemy to zrobić, nie ryzykując zbyt wiele. Uda się.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz, dlaczego to ty nie zostaniesz uśpiony?

– Bo potrzebujemy dobrego lekarza, a ja, kuzynie, z całym szacunkiem, jestem o wiele lepszym lekarzem od ciebie.

Tryggvi przeczytał na temat procesu francuskich studentów medycyny. Udało im się przywrócić kolegę do życia, a on całkiem stanął na nogi i jak sam twierdził, nie poniósł uszczerbku na zdrowiu.

Wieczór, który wybrali na przeprowadzenie eksperymentu, był szczególnie, jego kuzyn miał urodziny, kończył dwadzieścia siedem lat. Spotkali się u niego, obaj kuzyni, Dagmar i Baddi, i stamtąd pojechali do szpitala. Kuzyn Tryggvego przygotował pusty pokój z wanną, wyposażył go w zestaw do monitorowania pracy serca i defibrylator. Tryggvi położył się w wannie. Zimna woda lała się z kranu do wanny, zorganizowali też lód w wielkich workach, który także wrzucili do wanny.

Powoli serce Tryggvego zwalniało i stracił przytomność.

Pamiętam tylko, jak się obudziłem – powiedział Tryggvi, wpatrując się w pusty autobus podjeżdżający do dworca. Zaczęło padać, z południa nadciągały ciężkie chmury. Deszcz strugami spływał po szybach.

– Co się stało? – spytał Erlendur.

– Nic – odparł Tryggvi. – Nic się nie stało. Nic nie poczułem, nic nie widziałem. Żadnego tunelu, żadnego światła. Nic. Zasnąłem i obudziłem się. Nic poza tym.

– Ale eksperyment się udał, udało im się... doprowadzić cię do śmierci klinicznej?

– Tak twierdził kuzyn.

– A gdzie on teraz jest?

– Wyjechał na specjalizację do Stanów i od tej pory tam mieszka.

– Dagmar?

– Nie wiem, gdzie ona jest. Nie widziałem jej od... od tego. Rzuciłem medycynę. Rzuciłem naukę. Poszedłem na morze. Tam lepiej się czułem.

– Źle się czułeś?

Tryggvi nie odpowiedział.

– Próbowali ponownie zrobić coś takiego? – spytał Erlendur.

- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Doszedłeś do siebie?
- Nie miałem do czego dochodzić – odparł Tryggvi.
- I żadnego Boga?
- Żadnego Boga. Żadnego nieba. Żadnego piekła. Nic. Bardzo rozczarowałem mojego kuzyna.
- A spodziewałeś się znaleźć jakąś odpowiedź?
- Może. Trochę się napaliliśmy.
- Ale nic się nie wydarzyło?
- Nic.
- Nic więcej nie masz do powiedzenia na ten temat?
- Nic. Nic więcej na ten temat.
- Na pewno? Nie ukrywasz czegoś?
- Nie – odpowiedział Tryggvi.

Przez chwilę milczeli. Klientów w lokalu przybyło. Zajmowali miejsca przy wolnych stolikach, stawiali tace z kawą, chwyтали gazety, żeby je przejrzeć, zanim ruszą dalej. Co chwila z głośników dobiegały informacje dla podróżnych.

- Potem już wszystko tylko dołowało – przerwał ciszę Erlendur.
- Co masz na myśli?
- Twoje życie – powiedział komisarz. – Nie było usłane różami.
- To nie miało nic wspólnego z tamtym idiotycznym eksperymentem. To sugerujesz?

Erlendur wzruszył ramionami.

- O ile wiem, przychodzisz tu od wielu lat. Siadasz przy oknie.

Tryggvi patrzył w milczeniu przez szybę i ścianę deszczu, gdzieś w dal, za Reykjanes i Keilir, schowane za horyzontem.

- Dlaczego tu siedzisz? – spytał Erlendur niemal niesłyszalnie.

Tryggvi przeniósł na niego wzrok.

- Chcesz wiedzieć, co znalazłem?

– Tak.

– Spokój ducha. Znalazłem spokój ducha. Czasem wydaje mi się, że nie powinienem wracać.

Od strony baru dobiegł dźwięk tłuczonego szkła. Ktoś upuścił szklanę z wodą i wokół rozprysły się odłamki szkła.

– Znalazłem błogi spokój, którego nie potrafię opisać, ani tobie, ani nikomu innemu. Nawet sobie nie potrafię. Potem już nic nie miało dla mnie znaczenia, ani inni ludzie, ani szkoła, ani moje otoczenie. W jakiś dziwny

sposób życie przestało być ważne. Straciłem poczucie, by mnie z nim cokolwiek łączyło.

Tryggvi zawahał się. Erlendur wsłuchiwał się w deszcz dzwoniący o szybę.

– I po tym spokoju ducha...

– Tak? – Erlendur ocknął się.

– Prawdę mówiąc, od tamtego czasu nie czułem już spokoju w kościach – powiedział włóczęga, wpatrzony w odjeżdżający do Keflavíku autobus. – Ciągłe zdaje mi się, że muszę gdzieś iść, jakbym na coś czekał albo jakby ktoś czekał na mnie, a ja nie wiem, gdzie to ma być ani kto to taki, i nie mam pojęcia, dokąd iść.

– A jak myślisz, na co czekasz?

– Nie wiem. Myślisz, że jestem stuknięty. Ludzie uważają mnie za dziwaka.

Tryggvi odprowadził wzrokiem autobus liniowy do Keflavíku.

– Nie zimno ci? – spytał ponownie.

– Nie – odparł Erlendur.

– To dziwaczne uczucie patrzeć tak na ludzi – odezwał się Tryggvi po długiej pauzie. – Widzieć, jak wsiadają do autobusów i odjeżdżają. Ludzie znikają przez cały dzień.

– Nigdy nie masz ochoty zabrać się z nimi?

– Nie, nigdzie nie pojedę – zaprzeczył Tryggvi. – Nigdy w życiu. Nigdzie nie pojedę. Nie pozwolę wozić się autobusem. Dokąd ci ludzie jeżdżą? Powiedz mi. Dokąd ci wszyscy ludzie jeżdżą?

Erlendur obawiał się, że Tryggvi traci wątek, i usiłował zatrzymać go jeszcze na chwilę. Spojrzał na jego brudne dłonie i pociągłą twarz i przyszło mu na myśl, że nigdy w życiu bardziej nie zbliży się do niego niż teraz.

– A zatem to byli: twój kuzyn mieszkający teraz w Ameryce, dziewczyna imieniem Dagmar i jeszcze jeden człowiek, którego nazwałeś Baddi. Kto to był?

– Nie znałem go – odpowiedział Tryggvi. – To był jakiś kumpel mojego kuzyna. Nie pamiętam nawet, jak miał na imię. Studiował aktorstwo, a stamtąd przeniósł się na medycynę. Mówili mu Baddi.

– Może miał na imię Baldvin?

– Tak, właśnie – potwierdził Tryggvi. – Tak miał na imię.

– Jesteś pewien?

Tryggvi skinął głową. Niezapalony papieros zwisał mu z ust.

– I uczył się aktorstwa?

Tryggvi ponownie skinął głową.

– Był kumplem mojego kuzyna – powiedział. – Wydawał mi się wielkim

aktorem. Najmniej mu ufałem z całego tego towarzystwa.

Otworzywszy Erlendurowi, kobieta zrobiła zdziwioną minę. Wiatr zmienił się na północny i był suchy i zimny. Stojąc przed drzwiami, Erlendur szczelnie otulił się płaszczem. Nie uprzedził o swojej wizycie i kobieta, imieniem Kristin, znieruchomiła w drzwiach z wyrazem uporu zastygłym na twarzy, jakby nic jej nie obchodziły niespodziewane odwiedziny. Erlendur wytłumaczył, że szuka informacji na temat tego, co się stało, kiedy zginął ojciec Marii. Kristin stwierdziła, że w tej sprawie nie potrafi mu pomóc.

– A dlaczego to odgrzebujecie? – spytała.

– Z powodu samobójstwa – powiedział Erlendur. – Bierzymy udział we wspólnych skandynawskich badaniach nad przyczynami samobójstw.

Kobieta stała w drzwiach i milczała. Była siostrą Magnusa, ojca Marii. Jego przyjaciel Ingvar doradził Erlendurowi, by z nią porozmawiał, gdyż uważał, że Leonora mogła powiedzieć jej coś na temat wypadku na jeziorze Thingvallavatn, kiedy to zginął Magnus. Kristin żyła samotnie. Ingvar powiedział, że nigdy nie wyszła za mąż, całe życie mieszka sama i najpewniej nie przepada za gośćmi.

– Gdybym mógł wejść na chwilę. – Erlendur przytupywał z zimna. Zmarzył strasznie. – To nie zajmie długo – dodał.

Po chwili zakłopotania Kristin ustąpiła. Zamknęła za nim drzwi i przeszedł ją dreszcz.

– Niezwykle zimno – zauważyła.

– Tak, właśnie – odparł Erlendur.

– Nie wiem, dlaczego grzebiecie w tym po tylu latach – powiedziała, i nie sprawiała zadowolonej, kiedy usiedli w salonie.

– Rozmawiałem z ludźmi, którzy dobrze znali Marię, i dowiedziałem się kilku rzeczy, które chciałbym z panią skonsultować.

– A dlaczego zajmujecie się Marią? To rutynowe działania w takiej sprawie?

– Skądże – zaprzeczył Erlendur. – Po prostu sprawdzamy informacje, które do nas dotarły. Swego czasu prowadziliśmy śledztwo w sprawie wypadku na jeziorze i mamy jasność, co się tam wydarzyło. Tego nikt nie podważy. Raport o śmiertelnym wypadku nie pozostawia wątpliwości.

– To czego pan szuka?

– Proszę pozwolić mi położyć nacisk na to, co mówię: raport nie zostanie



zmieniony.

Kristin nadal nie rozumiała. Miała około siedemdziesięciu lat. Włosy krótkie, falujące, z wyglądu piękna i krucha, patrzyła podejrzliwie na Erlendura. Jej oczy zdradzały, że będzie się starała zachować ostrożność.

– To czego pan chce ode mnie? – spytała.

– Nic z tego, co pani powie mi teraz lub później, nie zmieni raportu na temat przyczyn zgonu pani brata. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

Kristin wzięła głęboki oddech. Być może zaczynała rozumieć, dokąd zmierza Erlendur, choć nie dawała tego po sobie poznać.

– Nie wiem, co pan sugeruje – powiedziała.

– Nic nie sugeruję – odparł Erlendur. – Nie mam natomiast najmniejszej ochoty, by otwierać na nowo sprawę, o której dawno zapomniano. Jeśli Leonora powiedziała pani coś, o czym nie wiemy, i tak niczego to nie zmieni. Z tego co słyszałem, byliście dobrymi przyjaciółkami.

– Byłyśmy – potwierdziła Kristin.

– Rozmawiała kiedyś z panią na temat tamtych wydarzeń?

Erlendur wiedział, że ryzykuje. Nie miał nic innego poza nikłym podejrzeniem, niewielką rozbieżnością między słowami Ingvara a źle przygotowanym raportem, i wiedzą o związku matki z córką, który był silniejszy i głębszy niż jakikolwiek inny związek, o którym słyszał. Jeśli Kristin była powierniczką Leonory, mogła wiedzieć coś więcej. Gdyby tak dziwnie się złożyło, że przez wszystkie te lata coś przemilczała, nie można było wykluczyć, że w pewnych okolicznościach się otworzy. Wyglądała na uczciwą, sumienną kobietę, świadka, który mógłby w trudnej sytuacji dokonać właściwego wyboru.

W salonie zapadła cisza.

– Czego pan chce? – spytała w końcu.

– Interesuje mnie wszystko, co może mi pani powiedzieć – odparł Erlendur.

Kristin przyglądała mu się.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała, ale w jej głosie brakowało przekonania.

– Mówiono mi, że pani brat Magnus nigdy nie dłubał przy żadnym silniku, bo się na tym nie znał. W raporcie natomiast napisane jest, że grzebał przy silniku w dzień poprzedzający wypadek. Zgadza się?

Kristin nie odpowiedziała.

– To jego przyjaciel, nazywa się Ingvar, poradził mi, bym z panią porozmawiał. To on powiedział, że pani brat nie znał się na silnikach i nigdy go one nie interesowały.

– Tak.

– Leonora powiedziała policji, że naprawiał silnik.

Kristin wzruszyła ramionami.

– Nic o tym nie wiem.

– Rozmawiałem z dawną przyjaciółką Marii, która twierdzi, że odniosła wrażenie, że nad jeziorem musiało się wydarzyć coś, co nigdy nie wyszło na jaw, że śmierć Magnusa to było coś innego niż wypadek – powiedział Erlendur. – Nie mam niczego na poparcie tej teorii, niczego poza słowami Marii, że on może miał umrzeć.

– Miał umrzeć?

– Tak. Jej ojciec. Maria tak powiedziała.

– A co chciała przez to powiedzieć? – spytała Kristin.

– Tego jej przyjaciółka nie wiedziała, ale może to miało znaczyć, że jego przeznaczeniem była śmierć tamtego dnia. Ale jest i inne możliwe wyjaśnienie.

– Jakie?

– Że może zasłużył na śmierć.

Erlendur patrzył na Kristin. Przymknęła oczy, opuściła ramiona.

– Może nam pani opowiedzieć coś, o czym nie wiemy, a co wydarzyło się nad jeziorem? – zapytał ostrożnie.

– Kiedy powiedział pan, że raport pozostanie niezmieniony...

– Może mi pani powiedzieć, co pani chce, to w niczym nie zmieni decyzji, jaka swego czasu została podjęta.

– Nigdy na ten temat nie rozmawiałam – powiedziała Kristin tak cicho, że Erlendur ledwo to usłyszał. – Tylko kiedy Leonora była na łożu śmierci.

Erlendur widział, że jest jej ciężko. Długo się zastanawiała, a komisarz próbował postawić się na jej miejscu. Nie spodziewała się takiej wizyty i na pewno nie spodziewała się pytań ze strony Erlendura. Ale nie widziała powodu, żeby komisarzowi nie ufać.

– Mam tu chyba kropelkę alborga w barku – powiedziała i wstała. – Napije się pan?

Erlendur nie odmówił. Przyniosła dwa kieliszki i postawiła na stoliku. Napełniła je po brzegi. Wychyliła kieliszek na jeden raz, podczas gdy Erlendur swój jeszcze podnosił. Potem znów sobie naląła alborga i wypła połowę.

– Tak, one obie oczywiście już nie żyją – powiedziała.

– Tak.

– To może to niczego nie zmienia.

– Tak sędę.

– Nic nie wiem o żadnej śrubie w motorówce – powiedziała Kristin.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, a potem rzuciła:

– Dlaczego Maria to zrobiła?

– Nie wiem – odparł Erlendur.

– Biedna dziewczyna – westchnęła Kristin. – Pamiętam ją tak dobrze, jeszcze zanim zmarł Magnus. Była ich promyczkiem. Nie mieli więcej dzieci, wychowywała się otoczona wielką miłością. Kiedy później mój brat utonął w Thingvallavatn, jej świat się zawalił. Im obu zresztą, Marii i Leonorze. Wiem, że Leonora bardzo kochała Magnusa, był dla niej wszystkim. A dziewczynka wprost za nim przepadała. Dlatego nie jestem w stanie tego pojąć. Nie rozumiem, co on sobie myślał.

– On? Znaczy Magnus?

– Po wypadku nie opuszczały siebie ani na krok. Leonora chroniła Marię tak bardzo, że aż do przesady. Myślę, że to była nadopiekuńczość. Leonora nie dopuszczała do córki nikogo, a już zwłaszcza nas, rodziny Magnusa. Nasze kontakty z nimi zupełnie z czasem zamarły. Leonora właściwie zerwała z nami wszelkie kontakty, z rodziną ojca dziecka, po wypadku na Thingvallavatn. Bardzo mnie to zdziwiło. Ale potem dowiedziałam się prawdy, przed śmiercią Leonory. Zanim odeszła, poprosiła, żebym przysłała. Była już bliska śmierci, przykuta do łóżka, bardzo chora. Wiedziała, że zostało jej tylko kilka dni życia. Leżała w swoim pokoju i poprosiła mnie, żebym zamknęła drzwi i usiadła obok niej. Powiedziała, że musi mi się z czegoś zwierzyć, zanim odejdzie. Nie wiedziałam, jak na to zareagować. I zaczęła mówić o Magnusie.

– Powiedziała, co się wydarzyło nad jeziorem?

– Nie, ale była zła na Magnusa.

Kristin po raz kolejny napełniła swój kieliszek okowitą. Erlendur podziękował. Wychyliła szybko zawartość, kieliszek odstawiła na stół.

– A teraz ich obu nie ma – powiedziała.

– Tak – przytaknął Erlendur.

– Były niemal jednością,

– Co pani powiedziała Leonora?

– Powiedziała, że Magnus chciał od niej odejść. Poznał jakąś inną kobietę. Ja o tym wiedziałam już wcześniej. Kiedyś Magnus powiedział mi o tym. Dlatego Leonora wezwała mnie. Uważała, że wzięłam udział w jakimś spisku przeciwko niej. Nie powiedziała tego wprost, ale dała mi to odczuć.

Erlendur zawahał się.

– To znaczy, że on ją zdradzał?

Kristin skinęła głową.

– To zaczęło się kilka miesięcy przed jego śmiercią. Zwierzył mi się z tego. Myślę, że nikomu innemu o tym nie powiedział, i ja też nie powiedziałam. To nikogo nie powinno obchodzić. Magnus powiedział Leonorze, że chce się rozstać. To był dla niej straszny szok, tak mi powiedziała. To było dla niej kompletne zaskoczenie. Kochała mojego brata i była mu absolutnie oddana...

– To znaczy, że powiedział jej o tym wtedy w Thingvellir?

– Tak. Magnus zginął, a ja nigdy nie wspomniałam o jego zdradzie. Ani Leonorze, ani nikomu innemu. Magnus nie żył, a ja uznałam, że to nikogo nie powinno obchodzić.

Kristin wzięła głęboki wdech.

– Leonora miała do mnie pretensje, że nie powiedziałam jej o zdradzie, jak tylko się dowiedziałam. Magnus musiał powiedzieć jej, że wiem. Ale ja uważałam, że powinna to usłyszeć od niego. Ona była uparta i pamiętliwa. Nawet po wielu latach uważała, że ją zdradziłam. Kiedy umarła... szczerze bałam się iść na pogrzeb. Teraz tego żałuję. Z powodu Marii.

– Czy rozmawiała pani kiedykolwiek z Marią na temat tamtego wypadku?

– Nie.

– Może mi pani powiedzieć, co to była za kobieta, z którą związał się Magnus?

Kristin podniosła kieliszek do ust.

– A to ma jakieś znaczenie? – spytała.

– Nie wiem – odparł Erlendur.

– Myślę, że ona była jedną z przyczyn zachowania Magnusa. Że był taki niezdeterminowany.

– To znaczy?

– Kobieta, z którą związał się Magnus, była dobrą przyjaciółką Leonory.

– Rozumiem.

– Od tego czasu nigdy ze sobą nie rozmawiały.

– Czy kiedykolwiek łączyła pani te wydarzenia z wypadkiem?

Kristin patrzyła na Erlendura z powagą.

– Nie. A co chce pan przez to powiedzieć?

– Ja...

– Dlaczego teraz bada pan ten wypadek?

– Słyszałem o wydarzeniach przy...

– Czy coś z tego wypłynęło przy okazji śmierci Marii?

– Nie – zaprzeczył Erlendur.

– Ale Maria powiedziała którejś ze swoich przyjaciółek, że Magnus może powinien umrzeć?

– Tak.

– To, co się wydarzyło na jeziorze, zawsze uważałam za straszny wypadek. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogło być inaczej.

– Ale...?

– Nie, żadnego ale. Teraz i tak za późno, żeby coś zrobić.

Firma taksówkowa znajdowała się w centrum, w niskim budynku, który swoje najlepsze dni miał już za sobą. Kiedyś zmieściła się tu świetlica, ale to było w czasach, gdy młodzi ludzie nakładali na włosy brylantynę, robiąc z niej pancierz, a dziewczyny robiły sobie trwałą i tańczono do amerykańskich przebojów. Potem już nigdy nie było tam głośno, a teraz pół budynku zajmowały pomieszczenia socjalne dla taksówkarzy. Dwóch starszych kierowców grało w remika. Żółte linoleum na podłodze było dziurawe, biała farba na ścianach dawno temu przegrała walkę z brudem i nic nie mogło zneutralizować zapachu stęchlizny i wilgoci, bijącego od podłogi i drewnianych ścian. Wejść do tego pomieszczenia to jakby cofnąć się w czasie o pięćdziesiąt lat. Erlendurowi się to podobało. Stanął pośrodku pomieszczenia i wdychał historię tego miejsca.

Kobieta w dyżurce podniosła wzrok i widząc, że mężczyźni grający w remika ani myślą sobie przerywać, spytała przybysza, czy potrzebuje taksówki. Erlendur podszedł i spytał o taksówkarza imieniem Elmar.

– Elmar z trzydziestkidwójki? – spytała kobieta, której najlepsze lata przypadły na okres świetności tego miejsca.

– Tak, prawdopodobnie – potwierdził Erlendur.

– Wiem, że właśnie zjeżdża, może pan po prostu na niego zaczeka? Zaraz powinien być. Zawsze wieczorem je tu kolację.

– Tak, tak mi powiedziano – powiedział Erlendur.

Podziękował kobiecie i usiadł przy stoliku. Jeden z karciarzy spojrzął na niego znad kart. Erlendur skinął głową, ale mężczyzna nie zareagował. Remik całkowicie pochłaniał obu graczy.

Kiedy taksówkarz pojawił się w drzwiach, Erlendur przeglądał stare czasopismo.

– Ten pan o ciebie pytał! – zawołała kobieta z centrali telefonicznej i wskazała palcem Erlendura, który wstał. Przywitali się. Mężczyzna podał mu rękę, powiedział, że ma na imię Elmar. Był bratem Davida, młodego człowieka, który kiedyś zaginął. Zbliżał się do sześćdziesiątki, twarz okrągła,

włosy gdzieniegdzie przerzedzone, lekka nadwaga. Siedzący tryb pracy ukształtował jego figurę. Erlendur półgłosem przedstawił sprawę, z którą przyszedł. Kątem oka dostrzegając, że karciarze nastawili uszu.

– Jeszcze w tym grzebiecie? – zdziwił się Elmar.

– Chcemy zakończyć sprawę – oznajmił Erlendur bez dodatkowych wyjaśnień.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zjem coś podczas naszej rozmowy? – spytał Elmar i usiadł przy stoliku najbardziej oddalonym od hazardzistów. Kolację miał w styropianowym pudełku, barwioną papkę ze spożywczaka. Erlendur usiadł obok niego.

– Różnica wieku między panem a bratem nie była duża? – zagał.

– Dwa lata – odparł Elmar. – Jestem dwa lata starszy. Znaleźliście coś nowego?

– Nie – odparł Erlendur.

– Nie miałem specjalnego kontaktu z Davidem. Może dlatego, że nie bardzo się nim interesowałem, uważałem go za dzieciaka. Spędzałem czas raczej z przyjaciółmi i rówieśnikami.

– A ma pan jakieś podejrzenia, co się mogło stać?

– Żadnych poza tym, że popełnił samobójstwo – powiedział Elmar. – On nie obracał się w takim towarzystwie i nie zajmował niczym takim, rozumie pan, żeby ktoś chciał jego krzywdy. David był sympatycznym człowiekiem. Szkoda, że tak się stało.

– W jakich okolicznościach widział go pan po raz ostatni?

– Ostatni? Poprosiłem go, żeby pożyczył mi na kino. Wtedy człowiek zawsze chodził bez forsy. Zresztą tak jak teraz. David czasem sobie dorabiał i jakoś dawał radę. Ale przecież już wam to wszystko mówiłem.

– I...?

– Nie, no nic. Pożyczył. Nie miałem pojęcia, że tego wieczoru zniknie, rozumie pan, więc nie było żadnych wzniosłych słów, tylko tak zwyczajnie. Cześć, cześć.

– Czyli nigdy nie byliście ze sobą blisko?

– Nie, raczej bym tego nie powiedział.

– Nie zwierzaliście się sobie?

– Nie. To znaczy był moim bratem i tak dalej, ale byliśmy bardzo niepodobni... no wie pan...

Elmar szybko połykał papkę. Wtrącił, że zwykle nie pozwala sobie na dłuższą niż półgodzinna przerwę na kolację.

– Wiedział pan, że brat miał narzeczoną i kiedy zaginął? – spytał Erlendur.

- Nie. – Elmar zdziwił się. – Nie miałem pojęcia o żadnej narzeczonej.
- Jego przyjaciel utrzymuje, że poznał jakąś dziewczynę, ale to wszystko jest niejasne.
- David nigdy nie uganiał się za dziewczynami. – Elmar wyciągnął paczkę cameli. Poczestował Erlendura, lecz ten odmówił. – W każdym razie ja nic o tym nie wiedziałem – dodał i spojrzał w stronę karciarzy.
- Nie, no właśnie. – Erlendur westchnął. – Pańscy rodzice długo żyli nadzieją, że wróci.
- Tak, oni... myśleli wyłącznie o Davidzie. Tylko o nim myśleli. Erlendur wyczuł gorycz w jego głosie.
- To co? Skończyliśmy już? – spytał Elmar. – Bo chciałbym się na chwilę do nich przyłączyć.
- Tak, przepraszam – powiedział Erlendur i wstał. – Nie miałem zamiaru psuć panu kolacji.

Wieczorem odwiedziła go Eva Lind. Widziała się już z matką, która zdała jej relację ze spotkania. Erlendur powiedział, że to był zły pomysł, aby się zobaczyli. Eva kręciła głową.

– I nie spotkacie się więcej? – spytała.

– Zrobiłaś, ile się dało – powiedział Erlendur. – Po prostu nie potrafimy się dogadać. Między mną a mamą jest za dużo sztywności, której nie potrafimy się pozbyć.

– Sztywności?

– To było bardzo trudne spotkanie.

– Powiedziała, że się wściekła i uciekła.

– Tak.

– Ale się spotkaliście.

Erlendur siedział z książką w fotelu. Eva Lind usiadła na kanapie naprzeciw. Często tak siadywali, vis-à-vis. Czasem zażarcie się kłócili i Eva Lind uciekała zła, wylawszy na ojca kubeł pomyj. Niekiedy jednak potrafili rozmawiać, okazując sobie miłość. Evie Lind zdarzało się zasnąć na kanapie, podczas gdy on czytał jej jedną z tych swoich tragicznych historii lub jakąś ludową opowieść. Podczas tych wizyt bywała w różnych stanach, zarówno na takim haju, że Erlendur jej nie rozumiał, jak i tak zdołowana, że obawiał się, iż córka może zrobić jakieś głupstwo.

Wahał się, czy spytać, czy Halldora opowiedziała jej o szczegółach ich rozmowy, ale Eva uwolniła go z tego kłopotu.

– Mama powiedziała, że nigdy jej nie kochałeś – zaczęła ostrożnie.

Erlendur przewrócił kartkę w książce.

– A ona była w tobie zakochana po uszy.

Erlendur milczał.

– To może być wyjaśnienie tego dziwnego związku – powiedziała Eva Lind.

Erlendur nadal milczał. Patrzył w książkę, którą trzymał.

– Powiedziała, że nie ma sensu z tobą rozmawiać – kontynuowała córka.

– Nie wiem, co dla ciebie możemy zrobić, Evo. Nie potrafimy się porozumieć w żadnej sprawie. Mówiłem ci o tym.

– Mama też to mówiła.

– Wiem, jak bardzo ci na tym zależy, ale... Trudni z nas rodzice, Evo.



- Powiedziała, że lepiej by było, gdybyście się nigdy nie spotkali.
- Pewno tak byłoby najlepiej – potwierdził Erlendur.
- Tak że to było zupełnie beznadziejne?
- Na to wygląda.
- Ale można było spróbować.
- Jasne.

Eva patrzyła na ojca.

- Tylko tyle chcesz mi powiedzieć? – rzuciła.
- A nie możemy spróbować o tym zapomnieć? – powiedział i uniósł wzrok znad książki. – Próbowałem. Ona też. Nie udało się. Przynajmniej tym razem.
- To znaczy, że może później?
- Nie wiem, Evo.

Eva Lind westchnęła. Wyjęła papierosa i zapaliła.

- Gadanie. Myślałam, że... myślałam, że może da się to jakoś naprawić, to, co jest między wami. Ale to najprawdopodobniej beznadziejne. To jest po prostu beznadziejny kejs.
- Tak. Prawdopodobnie.

Zamilkli.

– Zawsze usiłowałam patrzeć na nas czworo jak na rodzinę – powiedziała Eva Lind. – I nadal patrzę. Zachowuję się, jakbyśmy byli rodziną, którą oczywiście nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy. Myślałam, że uda nam się wytworzyć taki, jak by to powiedzieć, taki spokój wokół nas. Pomyślałam sobie, że może dam radę pomóc nam wszystkim, mnie, Sindremu i wam z mamą. Krajst!

– Evo, spróbowaliśmy. Więcej się nie udało. Na razie. Myślę, że gdyby istniała po temu wola, to dawno już byśmy się pogodzili.

– Opowiedziałam jej o twoim bracie. Nic o nim nie wiedziała.

– Nie, nigdy jej o nim nie wspominałem. Jak nikomu innemu zresztą. Nigdy z nikim nie rozmawiałem na jego temat.

– Bardzo się zdziwiła. Nie знаła też twoich rodziców, dziadka i babci. Zdaje się, że wie na twój temat bardzo mało.

– Przedwczoraj twoja babcia miała urodziny – zauważył Erlendur. – Nie jakieś okrągłe, ale zawsze. W urodziny starałem się ją odwiedzać.

– Szkoda, że jej nie spotkałam – powiedziała Eva.

Erlendur spojrzał na córkę znad książki.

– I ona też chciałaby cię poznać – odparł. – Gdyby żyła, wszystko potoczyłoby się nieco inaczej.

– Co czytasz?

- O tragedii.
- To o twoim bracie?
- Tak. Chciałbym... Mogę ci ją przeczytać?
- Nie musisz mi tego wynagradzać – zauważyła Eva Lind.
- Czego?
- Twojego postępowania z mamą.
- Nie, chcę, żebyś posłuchała. Chcę ci ją przeczytać.

Erlendur przerzucił kilka stron wstecz i zaczął czytać cichym, lecz silnym głosem o zgubnej pogodzie, która odcisnęła piętno na całym jego życiu.

## TRAGEDIA NA WRZOSOWISKU ESKIFJARDARHEIDI

### Spisana przez Dagbjartura Audunssona

Przez całe wieki znad fiordu Eskifjörður po region Fljotsdalsherad przez wyżynę Eskifjörður ciągnął się krajowy trakt. Stara droga konna biegła na północ wzdłuż brzegu rzeki Eskifjardara, dalej szczytem grani Langahryggur, potem ponad rzeką Innri-Steinsa, przez dolinę rzeki Vina i wzgórzami nad nią, aż do Midheidarendi, następnie wiała się na płaskowyż Urdarflötur i wzdłuż masywu Urdarklettur, gdzie kończył się okręg Eskifjardarland. Na północ, między górami Andri i Hardskafi z jednej a Holafjall i Selheidi z drugiej strony, rozciąga się dolina rzeki Thvera.

Niegdyś nad brzegiem fiordu Eskifjörður znajdowało się gospodarstwo o nazwie Bakkaselshjaleiga, położone tuż przy starej drodze wiodącej przez region Fljotsdalsherad. Obecnie popadło w ruinę, ale w połowie ubiegłego wieku gospodarował tu Sveinn Erlendsson wraz z żoną Aslaug Bergsdottir i dwoma synami, ośmio- i dziesięcioletnim. Sveinn prowadził niewielką hodowlę owiec, był także nauczycielem w szkole powszechnej w Eskifjörður. W sobotę 24 listopada 1956 roku było mroźnie, ale słonecznie, warunki do podróżowania raczej trudne. Sveinn chciał odnaleźć kilka owiec, które mu uciekły. O tej porze roku można się było spodziewać każdej pogody. Grunt słabo prześwitywał spod śniegu. Zabrał ze sobą obu swoich synów i zaraz z rana, kiedy się tylko rozwidniło, ruszyli pieszo z Bakkaselshjaleiga. Sveinn miał zamiar wrócić przed zmierzchem.

Najpierw skierowali się w stronę doliny rzeki Thvera i góry Hardskafi, ale tam owiec nie znaleźli. Skierowali się więc na południe i wspięli się na wyżynę Eskifjardarheidi. Szli wolno przez Langahryggur, dotarli do masywu Urdarklettur i wtedy pogoda zaczęła się gwałtownie psuć. Sveinn od razu postanowił zawrócić do domu, ale nim zdążyli się zorientować, zerwała się

gwałtowna nawałnica z ostrym, północnym wiatrem i sypnęło gęstym śniegiem. Pogoda pogarszała się, widoczność spadła do zera i przestali cokolwiek widzieć. Chłopcy rozdzielili się z ojcem. Długo ich szukał, krzycząc i nawołując, ale bezskutecznie. W końcu udało mu się zejść z masywu i poszedł wzdłuż rzeki Eskifjardara. Dotarł do domu w Bakkaselshjaleiga. Wiało tak mocno, że nie był w stanie ustać na nogach i ostatni odcinek pokonał na czworakach. Zjawił się w domu wycieńczony, prawie nieprzytomny.

Telefonicznie sprowadzono pomoc z Eskifjördur. Wieść, że dwóm chłopcom grozi śmierć, szybko rozeszła się po okolicy. Nawałnica była już wszędzie. Wieczorem w Bakkaselshjaleiga zebrali się ratownicy, ale nie można było wszcząć poszukiwań. Te zaczęto dopiero, kiedy pogoda się poprawiła i przejaśniło się nieco. To były trudne godziny dla rodziców, których synowie znaleźli się w śmiertelnej pułapce na płaskowyżu. Zwłaszcza ojciec chłopców był załamany, kompletnie zagubiony, przepelniony smutkiem i bliski obłędu. Uznał, że chłopcy nie wrócą, i nie wziął udziału w organizowaniu akcji ratowniczej, nie interesował się niczym. Za to gospodyni, Aslaug, zajęła się ratownikami i kiedy wreszcie o świcie następnego dnia zaczęła się akcja ratownicza, ruszyła w pierwszym szeregu.

Ściągnięto liczne ekipy ratownicze z Reydarfjördur, Neskaupsstadur i Seydisfjördur. Pogoda się uspokoiła, ale prace poszukiwawcze utrudniały zasy. Najpierw ruszyli w stronę Eskifjardarheidi, wyposażeni w długie kije do szukania pod śniegiem. Usiłowali znaleźć jakiś trop chłopców, ale niczego nie zauważyli. Zwłaszcza że nocą spadł gęsty śnieg. Uważano, że bracia przebywają razem i zagrzebali się w śniegu. Zaginęli jakieś osiemnaście godzin przed rozpoczęciem poszukiwań, a z uwagi na zimno w górach było jasne, że ratownicy toczą wyścig z czasem.

Wychodząc z domu, bracia byli ciepło ubrani, mieli na sobie kurtki zimowe, czapki i szaliki. Po jakichś czterech godzinach poszukiwań znaleziono szalik, który według Aslaug należał do starszego syna. W tym miejscu skoncentrowano poszukiwania. Ratownik z Seydisfjördur, niejaki Halldor Brjansson, miał natrafić na opór, kiedy wbił swój kij w śnieg, i gdy zaczęto w tym miejscu kopać, natrafiono na starszego chłopca. Leżał na brzuchu, jakby upadł na twarz. Żył, lecz był wychłodzony, na rękach i nogach zaczęły się pojawiać odmrożenia. Stracił przytomność i ratownicy nie mogli się dowiedzieć, gdzie może być jego brat. Najszybszego z nich wysłano po gorące mleko. Potem ratownicy na zmianę nieśli chłopca, idąc z wyżyny do Bakkaselshjaleiga. Tam był już sprowadzony lekarz, który dokonał oględzin

i pouczył, jak postępować, aby rozgrzać chłopca. Opatrzył odmrożenia i chłopiec zaczął odzyskiwać przytomność, choć był bardzo osłabiony. Niewiele brakowało, a straciłby życie z wyziębienia, głodu i odwodnienia.

Poszukiwania w miejscu, gdzie znaleziono starszego chłopca, zintensyfikowano, ale nie przyniosło to efektu. Wyglądało na to, że na skutek pogody musiał wycofać się w stronę doliny rzeki Thvera i góry Hardskafi. Kiedy z Bakkaselshjaleiga dotarły wieści, że bracia rozdzielili się w zadymce i starszy nie ma pojęcia, co się stało z bratem, obszar poszukiwań rozszerzono. Chłopiec twierdził, że długo szli razem, ale w zawierusze się zgubili. Mówił, że szukał brata, nawoływał, dopóki nie opadł z sił i nie mógł już ustać na nogach. Był bardzo rozgoryczony i nie obchodziło go, co mówią dorośli. Koniecznie chciał wrócić w góry szukać brata, lekarz musiał mu podać środki uspokajające.

Zaczęło się ściemniać i pogoda pogorszyła się, więc ratownicy zmuszeni byli zejść z gór. Wtedy już dotarli na miejsce ludzie z Egilsstadir. W Eskifjörður zorganizowano centrum dowodzenia. Następnego dnia tuż po świcie ekipy ratownicze wyruszyły zarówno na wyżynę, jak i w dolinę Thveradalur oraz na zbocza Andri i Hardskafi. Próbowano ustalić, dokąd chłopiec mógł pójść po rozłączeniu się z bratem. Ale poszukiwania na tym obszarze także nie przyniosły rezultatu i dlatego przesunięto je bardziej na północ i na południe. Chłopca nie znaleziono. Tak upłynął cały dzień aż do wieczora.

Zorganizowana akcja poszukiwawcza trwała ponad tydzień i krótko mówiąc, chłopca nie znaleziono. Snuto różne domysły na temat tego, co mogło się stać, a wyglądało na to, że ziemia pochłoneła jego szczątki. Niektórzy uważali, że utonął w rzece Eskifjardara i prąd uniósł ciało do morza, inni sądzili, że zawędrował w zamieci wysoko w góry, wyżej niż przypuszczano. Jeszcze inni twierdzili, że zginął na podmokłych terenach, rozciągających się u stóp fiordu, gdy próbował wrócić do domu.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Sveinn Erlendsson przeżywa los swoich synów. Później rozniosła się plotka, że Aslaug prosiła męża, by nie zabierał tamtego dnia na wyżynę obu synów, ale on to zignorował.

Starszy brat wylizał się z odmrożeń, ale od tego czasu zamknął się w sobie i zawsze był przygaszony. Powiadano, że dopóki mieszkali w Bakkaselshjaleiga, szukał szczątków swego brata.

Dwa lata po tych wydarzeniach rodzina wyprowadziła się do Reykjavíku, a Bakkaselshjaleiga popadła w ruinę.

Erlendur zamknął książkę i przeciągnął ręką po wytartej okładce. Eva Lind siedziała cicho na kanapie naprzeciw. Minęła długa chwila, nim sięgnęła po paczkę papierosów leżącą na stoliku.

– Zamknięty w sobie i przygaszony?

– Stary Dagbjartur nie oszczędzał nikogo – rzekł Erlendur. – A nie musiał przecież tego napisać. Nie miał pojęcia, czy byłem zamknięty w sobie i przygaszony. Nigdy mnie nie spotkał. Ledwie znał twoją babcię i dziadka. Całą relację napisał na podstawie słów ratowników. Ludzie nie powinni drukować wymysłów i plotek, które zasłyszają, i już. Zupełnie niepotrzebnie zranił moją matkę.

– I ciebie też.

Erlendur wzruszył ramionami.

– Minęło dużo czasu. Nie chciałem epatować tą opowieścią ze względu na pamięć o matce. Nie była z niej zadowolona.

– A to była prawda? Nie chciała, żebyście szli z tatą?

– Była temu przeciwna. Ale z czasem przestała go obwiniać o to, co się stało. Cierpiała oczywiście, była zła, ale miała świadomość, że to nie jest kwestia winy czy jej braku. To była kwestia walki o życie z naturą, kwestia przetrwania. Tę wyprawę należało odbyć. I nie można było przewidzieć, że będzie tak niebezpieczna.

– A co się stało z twoim tatą? Dlaczego nic nie zrobił?

– Tego tak naprawdę nigdy nie zrozumiałem. Wrócił z wyżyny zdruzgotany, pewien, że ja i Bergur już nie żyjemy. I wtedy jakby zgasła w nim chęć do życia. Samemu ledwie udało mu się przeżyć po tym, jak się rozłączyliśmy, a kiedy zapadł zmrok i burza się wzmagiała, twoja babcia powiedziała, że zupełnie się załamał. Siedział na swoim łóżku zamknięty w sypialni i zupełnie nie interesował się tym, co się działo. Oczywiście był też wyczerpany i przemarznięty. Kiedy dowiedział się, że mnie uratowano, trochę się ożywił. Zakradłem się do niego i wziął mnie w objęcia.

– Na pewno się ucieszył.

– Na pewno, oczywiście, ale ja... Doświadczyłem dziwnego poczucia winy. Nie rozumiałem, dlaczego to ja się uratowałem, a Bergur zginął. W zasadzie do tej pory tego nie rozumiem. Wydawało mi się, że do jakiegoś stopnia musiało to zależeć ode mnie, więc i wina jest moja. Powoli jednak zamykałem się przez takie myśli. Zamknięty w sobie i przygaszony. Może Dagbjartur mimo wszystko najlepiej to ujął.

Siedzieli w ciszy dłuższą chwilę, Erlendur odłożył książkę.

– Twoja babcia wszystkim się zajęła, kiedyśmy się wyprowadzali. Zdarzało

mi się bywać w opuszczonych domach, gdzie wszystko wyglądało tak, jakby ludzie uciekli w popłochu i nigdy nie wrócili. Talerze na stole, fajanse w kredensie, meble w pokojach, łóżka w sypialniach. Twoja babcia starannie oczyściła nasz dom, nie zostawiając niczego, meble zabrała do miasta, resztę rozdała. Po naszym wyjeździe nikt nie miał ochoty tam zamieszkać. No i nasz dom rodzinny stał pusty. Towarzyszyło temu szczególne uczucie. Ostatniego dnia chodziliśmy z pokoju do pokoju i czułem tę dziwną pustkę, która później zawsze mi towarzyszyła. To było tak, jakbyśmy w tamtym miejscu, wśród tych starych drzwi i okien, zostawili nasze życie. Jakbyśmy go już więcej nie mieli. Jakaś siła nam je zabrała.

– Ta, co zabrała Bergura?

– Czasem marzę o tym, żeby się od niego uwolnić. Żeby minął choć jeden dzień, bym o nim nie myślał.

– Ale to się nie zdarza?

– Nie, to się nie zdarza.

Erlendur siedział w swoim aucie przed kościołem, palił i rozmyślał na temat przypadku. Dawno zastanawiał się nad tym, jak to jest, że zwykle przypadki mają taki wpływ na ludzki los, decydują o życiu i śmierci. Znał to ze swojej pracy. Często bywał na miejscu zbrodni, która popełniona została zupełnie bezcelowo, bez zapowiedzi, i nie istniał żaden związek między mordercą a jego ofiarą.

Jednym z najokrutniejszych była kobieta zamordowana w drodze ze sklepu spożywczego do domu, zdarzyło się to na przedmieściu stolicy. Sklep jako jeden z niewielu był otwarty wieczorem. Kobieta spotkała dwóch ludzi, dobrze znanych policji. Chcieli ją okraść, lecz ona z uporem trzymała torebkę. Jeden z bandziorów miał nieduży łom i zadał nim kobiecie dwa potężne ciosy w głowę. Kiedy ofiarę zawieziono na pogotowie, już nie żyła.

Dlaczego ona?, to pytanie zadawał sobie Erlendur, stojąc nad ciałem denatki dwadzieścia lat wcześniej.

Wiedział, że dwaj mężczyźni, którzy na nią napadli, to chodzące bomby z opóźnionym zapłonem, i jego zdaniem należało się spodziewać, że któregoś dnia popełnią poważne przestępstwo, ale to przypadek zadecydował, że drogi bandziorów i kobiety skrzyżowały się. Równie dobrze mógł to być ktoś inny tego wieczoru albo za tydzień, miesiąc czy rok. Dlaczego ona, w tym miejscu, w tym czasie? I dlaczego tak się zachowała, kiedy doszło do spotkania? W jakim momencie zaczęły się wydarzenia, które doprowadziły do tej tragedii? Takie pytania zadawał sobie komisarz. Nie chciał usprawiedliwiać przestępców, tylko zrozumieć życie, którego koniec oznaczała kałuża krwi na reykjavickim chodniku.

Dowiedział się, że kobieta urodziła się na prowincji i mieszkała w stolicy od ponad siedmiu lat. Powodem przeprowadzki wraz z dwoma córkami i mężem z nadmorskiej osady, skąd pochodziła, były zbiorowe zwolnienia w przemyśle rybnym. Trawler został sprzedany, zaniechano połowów krewetek. Być może właśnie wtedy zaczęła się jej ostatnia droga. Zamieszkali na peryferiach. Miała ochotę przeprowadzić się bliżej centrum, lecz tam podobne mieszkanie było znacznie droższe. To był drugi drogowskaz w jej życiu.

Mąż znalazł pracę w budowlance, ona była opiekunem klienta w firmie telekomunikacyjnej. Firma przeniosła swoją siedzibę, co utrudniło jej

codzienny dojazd autobusem miejskim, więc złożyła wypowiedzenie. Znalazła pracę jako woźna w szkole powszechnej w tej samej dzielnicy. Polubiła tę pracę, dogadywała się z dziećmi, a one z nią. Codziennie chodziła do szkoły na piechotę i spacerowały ją wciągnęły, codziennie wieczorem zabierała męża na przechadzkę po okolicy, chyba że pogoda była zła. Córki dorastały, Zbliżały się dwudzieste urodziny starszej.

Czas gonił. Tamten pamiętny wieczór cała rodzina spędzała w domu. W pewnym momencie starsza córka poprosiła mamę o lody domowej roboty. I uruchomiła ciąg wydarzeń. Nie było śmietany i innych drobiazgów. Mama poszła do sklepu.

Młodsza córka zaoferowała, że ją wyręczy, ale kobieta podziękowała. Miała ochotę na wieczorny spacer i spojrzała na męża. Powiedział, że mu się nie chce. A powodem była powtórka islandzkiego talk-show, prezentującego wywiady z mieszkańcami prowincji, często groteskowymi indywiduami, mąż chciał ten program zobaczyć. Być może to też był przypadek. Gdyby w programie telewizyjnym nie było powtórki, być może mąż by z żoną poszedł.

Matka wyszła i nigdy nie wróciła.

Mężczyzna, który zadał jej śmiertelny cios, twierdził, że zaatakowana kobieta nie chciała wypuścić z rąk torebki. Okazało się, że wcześniej tego dnia wypłaciła sporą kwotę z banku z przeznaczeniem na prezent urodzinowy, który miała kupić swojej dwudziestoletniej córce, i trzymała właśnie w torebce. Dlatego tak kurczowo ją trzymała. Normalnie nigdy nie nosiła przy sobie takich pieniędzy.

To też był przypadek.

Z myślą o prezencie urodzinowym dla córki letnim wieczorem w stolicy straciła życie; jedyną jej winą było to, że wiodła swoje normalne życie i z miłością myślała o członkach swojej rodziny.

Erlendur zgasił papierosa i wysiadł z samochodu. Przyjrzał się bryle kościoła, zimnemu, szaremu klockowi, i pomyślał, że architekt musiał być ateistą. Erlendur nie miał wrażenia, że kościół zbudowany został na chwałę Pana. Już raczej na chwałę betoniarki, która mieszała zaprawę.

Pastor Eyvör siedziała w swoim gabinecie i rozmawiała przez telefon. Wskazała mu fotel. Zaczekał, aż skończy rozmowę. W półotwartej szafie widać było pastorską togę, befkę i stulę.

– Znowu pan? – Zdziwiona Eyvör zakończyła rozmowę. – I może ponownie z powodu Marii?

– Czytałem gdzieś, że ludzie coraz częściej kazań się kremować – rzucił



Erlendur z nadzieją, że nie będzie musiał odpowiadać wprost.

– Zawsze byli ludzie, którzy wybierali ten sposób pochówku i bardzo na to nalegali. Ludzie, którzy nie chcą, by ich ciało gniło w ziemi.

– To nie ma nic wspólnego z wiarą, z chrześcijaństwem?

– Nie, właściwie nie.

– O ile wiem, Baldvin kazał skremować Marię – powiedział Erlendur.

– Tak.

– Takie było jej życzenie.

– Nic na ten temat nie wiem.

– Nigdy z panią na ten temat nie rozmawiała?

– Nie.

– A Baldvin o tym jej życzeniu z panią rozmawiał?

– Nie. Nie rozmawiał. Powiedział mi po prostu, że taka jest jej wola. My nie żądamy żadnych dowodów.

– Nie, oczywiście.

– Coś ta jej śmierć pana gryzie – zauważyła Eyvör.

– Może – przyznał Erlendur.

– A według pana co się stało?

– Myślę, że bardzo źle się czuła – powiedział komisarz. – Bardzo źle, od długiego czasu.

– Ja też tak sędzę. Dlatego może nie zdziwiłam się jak inni tym, co się stało.

– Rozmawiała z panią na temat wizji, jakie miała, przeczuć czy czegoś takiego?

– Nie.

– O tym, że uważała, że widziała swoją matkę?

– Nie.

– O wizytach u medium?

– Nie, nie rozmawiała.

– To o czym rozmawiałyście, jeśli wolno zapytać?

– To oczywiście sprawa poufna – zauważyła Eyvör. – Nie mogę opowiadać panu o tym w szczegółach, tym bardziej że uważam, że nie ma to nic wspólnego z tym, jaki sposób wybrała, aby opuścić ten świat. Zasadniczo rozmawiałyśmy o problemach wiary.

– O czymś szczególnym?

– Tak. Czasami.

– O?

– Wybaczeniu. O wyznawaniu grzechów. O prawdzie. Jak ona ludzi

wyzwała.

– A czy rozmawiała kiedyś z panią o wydarzeniach, które zaszły nad jeziorem Thingvallavatn, gdy była dzieckiem?

– Nie – odpowiedziała Eyvör. – Nie przypominam sobie.

– A na temat śmierci swojego ojca?

– Nie. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

– Nic nie szkodzi. – Erlendur wstał z fotela.

– Ale jedno mogę panu powiedzieć. Często rozmawialiśmy o życiu po śmierci, ale chyba wspominałam panu o tym podczas naszej ostatniej rozmowy. Maria była... Jak by to powiedzieć... z biegiem lat coraz bardziej interesowała się tymi sprawami, zwłaszcza po śmierci matki. W istocie chciała zdobyć dowód na życie po śmierci i odniosłam wrażenie, że w tym celu jest w stanie posunąć się dość daleko.

– Co pani ma na myśli?

Eyvör pochyliła się nad biurkiem. Erlendur zobaczył befkę wiszącą w szafie.

– Myślę, że była gotowa iść na całość. Ale to tylko moja opinia i nie chcę, żeby pan z kimkolwiek o tym rozmawiał. Powiedziałam to panu w zaufaniu.

– A dlaczego pani tak sądzi?

– Takie po prostu odniosłam wrażenie.

– I samobójstwo było...?

– Próbą znalezienia odpowiedzi. Tak myślę. Wiem, że nie powinnam tak mówić, ale poznałam ją dość dobrze w ostatnich latach i jestem w stanie uwierzyć, że po prostu poszukiwała odpowiedzi.

Erlendur wrócił do samochodu i gdy odjeżdżał spod kościoła, zadzwoniła jego komórka. Dzwonił Sigurdur Oli. Erlendur poprosił go, by sprawdził billingi Marii, Baldvin na szczęście wyraził na to zgodę. W dniach poprzedzających śmierć kontaktowała się z kimś w związku z wykonywaną pracą naukową, z Karen w sprawie domku letniskowego i z mężem, dzwoniąc zarówno na numer w szpitalu, jak i komórkowy.

– Ostatnia rozmowa miała miejsce tego wieczoru, gdy się powiesiła – powiedział rzeczowo Sigurdur Oli.

– Czyli kiedy?

– Za dwadzieścia dziewięć.

– Czyli wtedy jeszcze żyła?

– Na to wygląda. Rozmowa trwała dziesięć minut.

– Jej mąż mówił, że tego wieczoru dzwoniła do niego z domku.

- Co ci chodzi po głowie? – spytał Sigurdur Oli.
- Czemu pytasz?
- Po co grzebiesz w tej sprawie? Kobieta popełniła samobójstwo, widzisz w tym coś skomplikowanego?
- Nie wiem.
- Prowadzisz śledztwo, jakby to było morderstwo, wiesz?
- Nie, nie prowadzę – odparł Erlendur. – Nie sądzę, aby została zamordowana. Chcę wiedzieć, dlaczego popełniła samobójstwo, to wszystko.
- A co cię to obchodzi?
- Nic – odparł komisarz. – Zupełnie nic.
- Ja myślałem, że interesują cię wyłącznie zaginięcia.
- Samobójstwo to też zaginięcie – powiedział Erlendur i wyłączył telefon.

*Kobieta medium przyjęła Marię w drzwiach i zaprosiła do środka. Zanim zaczął się seans, dość długo rozmawiały. Magdalena sprawiła na Marii dobre wrażenie. Była ciepła, pełna zrozumienia i delikatna, tak samo jak wcześniej Andersen. Marii inaczej rozmawiało się z kobietą. Magdaleny się tak nie wstydziła. Można także było odnieść wrażenie, że Magdalena jest silniejszym medium. Miała większą wrażliwość, wiedziała więcej, widziała więcej i dalej niż Andersen.*

*Usiadły w salonie i Magdalena powoli zmierzała w kierunku samego seansu. Maria nie zwracała w ogóle uwagi na mieszkanie i jego wyposażenie. Baldwin zdobył w szpitalu numer telefonu i Maria zadzwoniła do Magdaleny, która gotowa była zaraz się z nią spotkać. Maria była przekonana, że kobieta mieszka sama.*

- Czuję wielką bliskość – powiedziała Magdalena. Zamknęła oczy i po chwili je otworzyła. – Przyszła tu kobieta – kontynuowała. – Ingibjörg. Kojarzysz?
- Babcia tak miała na imię – przytaknęła Maria. – Już dawno nie żyje.
- Jest bardzo daleko. Nie byłyście sobie bliskie.
- Nie, ledwie ją znałam. Była matką mojego ojca.
- Jest bardzo smutna.
- Tak.
- Mówi, że to nie twoja wina, że tak się stało.
- Nie.
- Wspomina o jakimś wypadku – powiedziała Magdalena.
- Tak.
- Woda. Ktoś utonął.
- Tak.
- Straszny wypadek, mówi starsza pani.
- Tak.

– Kojarzysz może... Jest obraz, to jest obraz jeziora? Obraz jeziora Thingvallavatn. Kojarzysz?

– Tak.

– Dziękuję. Tu jest człowiek, który... Nie widzę wyraźnie, rysunek albo obraz... Przyszła kobieta, która ma na imię Lovisa, znasz ją?

– Tak.

– Jest z tobą spokrewniona.

– Tak.

– Dziękuję. Ona jest młoda... ja... nie ma chyba dwudziestu lat.

– Tak.

– Uśmiecha się. Otacza ją wielki krąg światła. Wokół niej jest jasno. Uśmiecha się. Mówi, że jest u niej Leonora i że czuje się dobrze.

– Tak.

– Mówi, żebyś się nie martwiła... Mówi, że Leonora czuje się cudownie. Mówi, że...

– Tak?

– Nie może się doczekać, aż cię znów zobaczy.

– Tak.

– Mówi, że chce, żebyś wiedziała, że ona dobrze się czuje. Że będzie cudownie, kiedy przyjdiesz. Będzie cudownie.

– Tak?

– Mówi, żebyś się nie bała. Mówi, żebyś się nie martwiła. Że wszystko będzie dobrze. Twój zamiar się powiedzie. Mówi, że cokolwiek postanowisz, to... będzie to... mówi, że będzie dobre. Nie masz się niczym przejmować. Wszystko będzie dobrze.

– Tak.

– Pięknie jest wokół tej kobiety. Ona... Bije od niej jasność... Mówi ci... czy znasz... chodzi o pisarza?

– Tak.

– Francuskiego pisarza.

– Tak.

– Uśmiecha się. To ta kobieta, która jej towarzyszy... ona jest... ona mówi, że teraz czuje się lepiej. Te wszystkie... te wszystkie cierpienia...

Magdalena zacisnęła powieki.

– One znikają...

Otworzyła oczy i przez chwilę dochodziła do siebie.

– Czy... to było to, czego chciałaś? – spytała.

Maria skinęła głową.

*– Tak – szepnęła. – Dziękuję.*

*Kiedy Maria wróciła do domu, opowiedziała Baldwinowi o wszystkim, co wydarzyło się podczas sensu spirytystycznego. Była dość poruszona, powiedziała, że nie spodziewała się tak wyraźnych przekazów. Dziwiła się, kto się tam pojawił. O swojej babci ze strony ojca nie myślała od dziecka, a o swojej krewnej ze strony matki, Lovisie, jedynie słyszała. Zmarła młodo na nerwy, była siostrą jej babci.*

*Tego wieczoru Maria miała kłopoty z zaśnięciem. Była w domu sama, ponieważ Baldwin musiał jechać do szpitala. Na zewnątrz wiał jesienny wiatr.*

*W końcu udało jej się zasnąć.*

*Chwilę potem zerwała się ze snu, usłyszawszy furtkę ogrodową uderzającą o siatkę płotu. Zaczęło lać jak z cebra. Słyszała trzaskającą furtkę i wiedziała, że nie zaśnie.*

*Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i kapcie i wyszła do kuchni. Tam znajdowały się drzwi prowadzące na dobudowany kilka lat temu taras i do ogrodu. Owinęła się szczelnie szlafrokiem i otworzyła drzwi. Natychmiast wyczuła silny zapach cygar.*

*Wyszła ostrożnie na taras i poczuła uderzenie zimnego deszczu.*

*Czyżby to Baldwin palił?, zastanawiała się.*

*Widziała furtkę uderzającą w płot, ale zamiast spiesznie ją zamknąć i wbiec z powrotem do domu, stała jak skamieniała na tarasie i wpatrywała się w ciemny ogród. Tam majaczył mężczyzna, przemoknięty od stóp do głów, krępy, ze sporym brzuchem, blady jak śmierć. Woda po nim ściekała. Kilka razy otworzył usta, po czym je zamknął, jakby szybko łapał powietrze, po czym zawołał do niej:*

*– Uważaj... Nie wiesz, co robisz!*

Andersen był podejrzliwy, nie chciał niczego powiedzieć przez telefon, nie wierzył nawet, że Erlendur jest z policji. Komisarz od razu rozpoznał głos z taśmy. Mężczyzna odparł, że jeśli Erlendur chce z nim porozmawiać, musi umówić się na wizytę jak każdy inny. Erlendur pomarudził trochę, powiedział, że jego sprawa ani nie zajmie wiele czasu, ani nie jest bardzo ważna, ale facet postawił na swoim.

– I każesz mi zapłacić? – spytał komisarz na koniec.

– Zobaczymy – odparł Andersen.

Pewnego wieczoru po kilku dniach Erlendur wszedł wolno na drugie piętro klatki, gdzie Andersen na niego czekał w mieszkaniu. Podali sobie ręce i mężczyzna zaprosił go do salonu. Słaby zapach kadzidełek powitał Erlendura wewnątrz, z niewidocznych głośników sączyła się spokojna muzyka.

Erlendur zwlekał z tą wizytą, dopóki nie stało się jasne, że jej nie uniknie. Niespecjalnie interesowała go działalność medium ani zdolność do nawiązywania kontaktów ze zmarłymi i obawiał się, że może tu dojść do kontrowersji. Postanowił unikać kłótni i miał nadzieję, że Andersen też jej nie wywoła.

Gospodarz wskazał mu miejsce przy okrągłym stoliku i sam usiadł naprzeciw.

– Sam pan tu mieszka? – spytał Erlendur i rozejrzał się dookoła. Zobaczył duży telewizor, filmy na kasetach i płytach, dużo muzyki na trzech regałach z płytami, parkiet, zdjęcia rodzinne na ścianach. Żadnych zasłon ani szklanych kul, pomyślał.

Żadnej ektoplazmy.

– To jest potrzebne panu do śledztwa? – spytał Andersen.

– Nie – odparł Erlendur. – Ja... Co może mi pan powiedzieć o Marii? Kobiecie, o którą pytałem przez telefon. Tej, która popełniła samobójstwo.

– Mogę spytać, dlaczego się tym zajmujecie?

Erlendur zaczął opowiadać o szwedzkich badaniach nad przypadkami samobójstw i ich skutkach, ale nie miał pojęcia, czy może tak bezkarnie łączyć człowieka, który żyje z tego, że widzi więcej. Czyż nie przejrzy go od razu na wylot? Szybko wyrzucił z siebie wyjaśnienie z nadzieją, że może to wystarczy.

– No ale nie wiem, jak mogę panu pomóc – powiedział Andersen. – Często wytwarza się silna nić zaufania między mną a osobami, które do mnie przychodzą, i bardzo trudno mi to sobie przypomnieć.

Uśmiechnął się przepraszająco. Erlendur odpowiedział uśmiechem. Andersen był mężczyzną wysokim, około sześćdziesiątki, zaczynającym siwieć na skroniach, o jasnej karnacji i szczerym spojrzeniu i wyjątkowo spokojnym.

– Zawsze ma pan pełne ręce roboty? – spytał Erlendur, usiłując jakoś rozluźnić atmosferę.

– Nie narzekam. Islandczycy bardzo interesują się życiem duchowym.

– To znaczy tym życiem, które trwa dalej?

Andersen skinął głową.

– Czy to czasem nie jest tylko atawizm? – spytał Erlendur. – Przecież dopiero niedawno opuściliśmy domki torfowe i ciemności średniowiecza.

– Życie duchowe nie ma nic wspólnego z domkami z torfu – zaprzeczył Andersen. – Może komuś tego typu uprzedzenia pomagają. Mnie zawsze wydawały się one śmieszne. Ale rozumiem rezerwę wobec takich ludzi jak ja. Sam bym ją czuł, gdybym nie urodził się z tą skazą, tym zmysłem, jak to nazywam.

– Jak często spotykaliście się z Marią?

– Przyszła do mnie dwa razy po śmierci swojej matki.

– Usiłowała się z nią skontaktować, tak?

– Tak. To był jej cel.

– I... jak? Udało się?

– Myślę, że wychodziła stąd zadowolona.

– Nie muszę pytać, czy wierzy pan w życie po śmierci – stwierdził Erlendur.

– To podstawa mojego życia.

– I ona też wierzyła?

– Niezachwianie. Absolutnie niezachwianie.

– Rozmawiała z panem na temat swojego lęku przed ciemnością?

– Wspomniała pobieżnie. Mówiliśmy, że nyktofobia to lęk o podłożu duchowym, jak wszystkie inne fobie, i że można ją przewyciężyć, zmieniając nastawienie i kontrolując samego siebie.

– Nie powiedziała panu o przyczynach tej fobii?

– Nie, ale przecież nie jestem psychologiem. Z naszych rozmów mogłem wysnuć wniosek, że miało to związek ze śmiertelnym wypadkiem jej ojca. Łatwo wyobrazić sobie, jak straszny wpływ to miało na nią, kiedy była

małym dzieckiem.

– Czy ona... jak to się mówi... objawiła się panu? Znaczący Maria, po tym, jak pozbawiła się życia.

– Nie. – Andersen uśmiechnął się. – To nie jest takie proste. Wiem, że ma pan absolutnie wypaczone pojęcie o spirytyzmie. Wie pan cokolwiek na temat naszej pracy?

Erlendur pokręcił głową.

– Podobno Maria szczególnie interesowała się życiem po śmierci – zmienił temat.

– To oczywiste, inaczej by do mnie nie przyszła – powiedział Andersen.

– Tak, ale czy interesowała się tym jakoś bardziej, do granic natręctwa? Słyszałem, że była w niej ogromna ciekawość śmierci. Tego, co się zaczyna po drugiej stronie.

Erlendur nie chciał odnosić się do taśmy, którą otrzymał od Karen, i miał nadzieję, że jego rozmówca wyjdzie mu naprzeciw. Andersen długo patrzył na komisarza, jakby rozważał, co mu powiedzieć, a czego nie mówić.

– Poszukiwała – odezwał się w końcu. – Tak jak wielu z nas. Jestem przekonany, że pan także.

– I czego Maria poszukiwała?

– Swojej matki. Tęskniła za nią. Matka miała dostarczyć jej odpowiedzi na pytanie, czy istnieje życie po śmierci. Maria uważała, że taką odpowiedź otrzymała, i przyszła do mnie. Rozmawialiśmy. Myślę, że przyniosło jej to ulgę.

– Czy jej matka zjawiła się kiedyś na którymś z tych seansów?

– Nie. Nigdy. Ale to nie musi jeszcze nic oznaczać.

– Co Maria o tym sądziła?

– Ode mnie wychodziła zadowolona.

– Zdaje się, że miewała halucynacje – zauważył Erlendur.

– Niech pan nazywa to, jak chce.

– Że niby widziała matkę.

– Tak, mówiła mi o tym.

– I?

– I nic. Widziała ją bardzo wyraźnie.

– Wie pan, czy może szukała gdzie indziej? Kontaktowała się z innym medium?

– To jasne, że nie zwierzała mi się z niczego, co nie dotyczyło naszych stosunków. Z tym, że zadzwoniła do mnie pewnego dnia i spytała o inne medium, kobietę, której nie znałem i o której w ogóle nie słyszałem. Pewno



stawiała dopiero pierwsze kroki. W tej branży znamy się dość dobrze.

– Nie wie pan, co to za kobieta?

– Nie. Nic poza imieniem. Jak mówię, jako medium jej nie znam.

– I jak się nazywa?

– Maria nie wspomniała nazwiska, ale mówiła o niej Magdalena.

– Magdalena?

– Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem.

– A co to znaczy? Że pan o niej nie słyszał?

– Nic. Nie musi nic znaczyć. Ale zadzwoniłem w kilka miejsc i nikt żadnej Magdaleny nie znał.

– Może po prostu była nowa, jak pan zauważył?

Andersen wzruszył ramionami.

– Myślę, że tak mogło być.

– Wielu was działa w tej branży?

– Nie, niespecjalnie. Nie znam liczby.

– A jak Maria trafiła na tę Magdalenę?

– Nie wiem.

– Czy pański stosunek do nyktofobii nie jest trochę dziwny jak na człowieka, który żyje z tego, że kontaktuje się z duchami?

– Co pan ma na myśli?

– Że lęk przed ciemnością to fobia psychiczna, a nie lęk wynikający z wiary w duchy?

– W wierze w zaświaty nie ma nic złego – powiedział Andersen. – Każdy z nas ma swoje przywidzenia. Pan także.

– Ja? – Erlendur był wyraźnie zaskoczony.

Andersen skinął głową.

– Całe kłębówisko. Ale proszę się nie zrażać, niech pan dalej szuka. Jeszcze ich pan znajdzie.

– Jego chyba – wyrwało się Erlendurowi.

– Nie. – Andersen wstał. – Ich.

Swego czasu zdiagnozowano u Erlendura coś, co nazywa się arytmia serca. Czasem serce wykonywało dodatkowe skurcze i było to bardzo nieprzyjemne, innym razem znów czuł, jakby jego rytm zwalniał. Kiedy to się nasiliło, Erlendur otworzył żółte strony i w kolumnie „Kardiologów” zatrzymał się przy imieniu, które bardzo mu się spodobało: Dagobert. Poczawszy sympatię do imienia, postanowił uczynić go swoim lekarzem. Nie przesiedział u niego nawet pięciu minut, kiedy wyczerpała się jego cierpliwość i zapytał o imię.

– Pochodzę z Fiordów Zachodnich – odpowiedział lekarz, najwyraźniej przywykły do tego typu pytań. – Ale już się z tym pogodziłem. Mój kuzyn mi zazdrości. On ma na imię Dosotheus.

Poczekalnia ośrodka zdrowia pękała w szwach. Wszędzie siedzieli ludzie cierpiący na rozmaite dolegliwości. W ośrodku pracowali lekarze wielu specjalności: laryngolodzy, chirurdzy naczyniowi, trzech kardiologów, dwóch nefrologów i jeden okulista. Erlendur stał przy wejściu do poczekalni i pomyślał, że każdy tu może znaleźć coś dla siebie. Krępowoło go trochę, że wparuje do lekarza, nie zamówiwszy wizyty z wielomiesięcznym wyprzedzeniem. Wiedział, że kardiolog jest bardzo zajęty i ma już umówione wizyty na następny rok, więc jego odwiedziny wydłużą komuś z siedzących w poczekalni czas oczekiwania co najmniej o kwadrans, jeśli oczywiście lekarzowi uda się go jakoś przyjąć. Erlendur czekał w kolejce już ponad dwadzieścia minut.

Za poczekalnią rozciągał się długi korytarz, z którego wchodziło się do gabinetów lekarskich. Kiedy minęły trzy kwadransy od chwili, gdy Erlendur się zarejestrował, otworzyły się drzwi gabinetu, w których stanął Dagobert i gestem zaprosił go do środka. Erlendur wszedł do gabinetu, a lekarz zamknął za komisarzem drzwi.

– Znowu to samo? – spytał go Dagobert na powitanie i kazał położyć się na łóżku. Karta Erlendura leżała na biurku.

– Nie – szybko odpowiedział komisarz. – Czuję się świetnie, ale mam na poły oficjalną sprawę.

– Tak. – Lekarz, grubawy, pogodny mężczyzna, odziany w białą koszulę, krawat i dzinsy, zdziwił się. Żadnego fartucha czy stetoskopu. – Nie chcesz mimo to się rozebrać, żebym cię osłuchał?

– Nie trzeba. – Erlendur usiadł na krześle przed biurkiem. Dagobert zajął

miejsce na leżance. Erlendurovi przypomniała się poprzednia wizyta, kiedy to lekarz uświadamiał mu, jak to rytm serca regulowany jest przez impulsy elektryczne, które ulegają zakłóceniom. Zazwyczaj z powodu stresu. Komisarz nic z tego nie zrozumiał, poza tym, że jego stan nie jest specjalnie groźny i z czasem ulegnie poprawie.

– To co, mogę...? – spytał Dagobert.

– Pytanie jest natury medycznej – odparł Erlendur.

Jak tylko postanowił zadać lekarzowi to pytanie, od razu zaczął łamać sobie głowę nad doborem właściwych słów. Nie chciał rozmawiać z nikim z policji, anatomopatologiem czy innymi ludźmi, ponieważ nie miał ochoty nikomu się tłumaczyć.

– Tak, o co chodzi?

– Gdyby ktoś chciał uśmiercić człowieka, ale tylko tak na minutę lub dwie, jak by się do tego zabrał? – spytał Erlendur. – Gdyby chciał zaraz go ożywić, żeby nikt nie znalazł żadnych śladów, że coś takiego się wydarzyło?

Lekarz spojrzał na niego z uwagą.

– A znany ci jest taki przypadek? – przerwał wreszcie ciszę.

– To ja chciałem zadać to pytanie – powiedział Erlendur. – Ja takiego przypadku nie znam.

– Nie słyszałem, aby ktoś celowo coś takiego zrobił, jeśli o to pytasz – odparł Dagobert.

– A jak trzeba by się do czegoś takiego zabrać?

– To zależy od wielu czynników. O jakich warunkach mówimy?

– Nie jestem do końca pewien. Załóżmy na przykład, że w domu.

Dagobert spojrzał poważnie na Erlendura.

– Czyżby któryś z waszych znajomków coś takiego popełnił? – spytał. Dagobert wiedział, że Erlendur pracuje w policji śledczej, i uznał za pewnik, że jego problemy z sercem mają swoje przyczyny w jego pracy, jak to ujął. Zresztą nieczęsto używał języka medycznego, ku wielkiej radości komisarza.

– Nie. – Erlendur uspokoił go. – Policja nie prowadzi żadnego takiego dochodzenia. Pytam, bo ostatnio wpadł mi w ręce stary raport z policyjnego śledztwa i chcę zaspokoić swoją ciekawość.

– Chodzi ci o to, jak można zatrzymać serce w taki sposób, aby to się nie wydało i aby człowiek przeżył?

– Chyba tak – potwierdził Erlendur.

– A dlaczego ktoś miałby coś takiego robić?

– Nie mam zielonego pojęcia – kluczył komisarz.

– Spodziewam się, że masz jeszcze jakieś motywy?

- W zasadzie nie.
  - Nie rozumiem cię. Powtórzę: dlaczego ktoś miałby chcieć zatrzymać akcję serca?
  - Nie wiem – odpowiedział Erlendur. – Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz.
  - Pierwsze, o czym musisz pamiętać, to, że możesz doprowadzić do zniszczenia własnych organów – powiedział Dagobert. – Jak tylko serce przestaje bić, zaczyna się degradacja organizmu. Układy i organy natychmiast są zagrożone. Można zastosować różne leki, jak sądzę, które mogą doprowadzić do śpiączki, ale tobie zapewne chodzi o wywołanie hipotermii. Inaczej nie potrafię sobie tego wyobrazić.
  - Hipotermii?
  - Wyziębienia – powiedział lekarz. – Dzięki temu osiągamy dwie rzeczy. Serce przestaje bić, kiedy temperatura spada poniżej pewnej granicy i człowiek w istocie umiera, ale jednocześnie niska temperatura chroni organizm i organy. Zimno spowalnia wszelkie procesy życiowe organizmu.
  - A jak przywrócić człowieka do życia?
  - Pewno za pomocą defibrylacji i szybkiego ogrzania ciała, to znaczy szybkiego podgrzewania.
  - Ale po to, by czegoś takiego dokonać, należy posiadać wiedzę specjalistyczną?
  - Bez wątplenia. Nie potrafię sobie wyobrazić, by mogło być inaczej. Musi być lekarz na miejscu, najlepiej kardiolog. Ale oczywiście nikt nie powinien się bawić w taki sposób.
  - Jak długo można człowieka utrzymywać w takim stanie, zanim osiągnie się punkt, z którego już nie ma powrotu?
  - Nie jestem ekspertem od wywoływania śmierci klinicznej za pomocą wychładzania organizmu. – Dagobert się uśmiechnął. – To kwestia minut po zatrzymaniu akcji serca, najwyżej czterech, może pięciu. Nie wiem. Należy oczywiście uwzględnić warunki, jakimi się dysponuje. Jeśli jesteś w szpitalu i masz do dyspozycji najlepszy sprzęt, może da się to nieco wydłużyć. Hipotermię wykorzystuje się w ostatnich latach, by utrzymywać ludzi w stanie śmierci klinicznej, podczas gdy goją się ich rany. To także sprawdzona metoda utrzymywania przy życiu ludzi, u których nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Temperaturę ciała utrzymuje się wówczas w granicach trzydziestu jeden stopni, mniej więcej.
  - A jeśli coś takiego robi się w domu, co należałoby mieć pod ręką?
- Lekarz zastanawiał się przez chwilę.

- Ja nie mogę... – zaczął, ale zaraz umilkł.
- Jaka była pierwsza myśl?
- Duża wanna. Łód. Defibrylator i dostęp do zasilania. Koc.
- A zostałyby po czymś takim jakieś ślady? Gdyby udało się denata ożywić?
- Ślady, że coś takiego zaszło? Nie sądzę – odparł Dagobert. – Pewno to coś takiego, jak nagle znaleźć się w gwałtownej zawiei śnieżnej? Zimno powoli spowalnia czynności fizjologiczne organizmu, najpierw człowiekowi chce się spać, potem zapada w śpiączkę, serce się zatrzymuje i następuje śmierć.
- Czy to nie ten sam proces, kiedy człowiek zamarza? – spytał Erlendur.
- Ten sam.

Kobieta, o której wiadomo było z pewnością, że jako ostatnia rozmawiała ze studentką Gudrun, pracowała jako szefowa jednego z oddziałów Muzeum Narodowego. Były spokrewnione i rodzice Gudrun poprosili ją, aby miała oko na ich córkę podczas ich podróży po Azji. Była o trzy lata starsza od Gudrun, niska, o jasnych, gęstych włosach, spiętych w koński ogon. Na imię miała Elisabeth, ale kazała mówić na siebie Beta.

– Bardzo niezręcznie się czuję, kiedy to wspominam – powiedziała, gdy usiedli w kafeterii Muzeum Narodowego. – Ja byłam w pewnym sensie odpowiedzialna za Dunę, a w każdym razie tak się czułam, chociaż oczywiście, jak pan wie, i tak nie byłam w stanie niczemu zapobiec. Ona po prostu zniknęła. To było nie do wiary. Dlaczego teraz do tego wracacie?

– Zamykamy sprawę – powiedział Erlendur z nadzieją, że takie wyjaśnienie wystarczy. W rzeczywistości nie miał pojęcia, dlaczego poszukuje tej studentki czy licealisty Davida, poza tym oczywiście, że od lat interesuje się zaginięciami i jak nigdy dotąd dysponuje wolnym czasem.

– Czyli już wiecie, że ona się nigdy nie znajdzie – stwierdziła Beta.

– Minęło dużo czasu. – Erlendur chciał uniknąć odpowiedzi wprost.

– Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co się mogło stać. Któregoś dnia po prostu odjechała i pstryk, zniknęła. Nie znaleziono samochodu i wszelki ślad po niej zaginął. Chyba nie zatrzymywała się przy żadnych sklepach, w miasteczkach, ani w drodze na północ, ani w okolicach Reykjavíku.

– Ludzie wspominali o samobójstwie – przypomniał jej Erlendur.

– To niepodobne do niej – wpadła mu Beta w słowo.

– A jakim trzeba być człowiekiem, żeby popełnić samobójstwo? – zapytał komisarz.

– Nie, to znaczy ona taka nie była.

– Ja nie znam nikogo, kto by taki był – powiedział Erlendur.

– Oj, wie pan, o co mi chodzi. – Beta poirytowała się. – I co się stało z jej samochodem? Chyba nie popełnił samobójstwa?

Erlendur uśmiechnął się.

– Przeszukaliśmy wszystkie porty w kraju. Nurkowie penetrowali wody wokół wszystkich kei, gdyby na przykład straciła panowanie and autem. Nic nie znaleźliśmy.

– Bardzo lubiła tego swojego żółtego mini – przypomniała Beta. – Nie potrafię nawet pomyśleć, że wjeżdża do wody z jakiegoś nabrzeża. Zawsze uważałam to za absurd. Chybiony domysł.

– Nie zwierzała się z żadnych planów podczas waszej ostatniej rozmowy?

– Nie. Gdybym wiedziała, że to się tak skończy, wszystko wyglądałoby inaczej. Zadzwoiła spytać o salon fryzjerski, który jej poleciłam przy Laugavegur. Chciała się tam wybrać. Dlatego nigdy nie potrafiłam uwierzyć w samobójstwo. Nic na to nie wskazywało.

– A zbliżała się jakaś okazja, był jakiś powód?

– Odwiedzić fryzjera? Nie, po prostu chyba nadszedł czas na strzyżenie i tyle.

– I o niczym innym nie rozmawiałyście?

– Nie, w zasadzie nie. Potem już się nie odezwała. Myślałam, że pojechała na północ, dzwoniłam dwa czy trzy razy, ale jej nie zastałam. Tak myślałam. Ona wtedy już oczywiście zagięła. Człowiekowi zawsze tak trudno wyobrazić sobie, co się mogło stać. Dlaczego taka dziewczyna jak ona, w kwiecie wieku, miałyby zagiąć bez powodu i bez uprzedzenia? Co mamy o tym myśleć? Czy kiedykolwiek będziemy to w stanie zrozumieć?

– A nigdy nie była w jakimś związku, nie mieszkała z chłopakiem albo...?

– Nie, nigdy. To wszystko było jeszcze przed nią.

– A dokąd najchętniej jeździła samochodem? Wiem, że mamy to w raportach, ale nigdy dość pytań.

– Oczywiście na północ. Czasem ogarniała ją tęsknota za Akureyri i kiedy tylko mogła, to tam jeździła. Poza tym okolice Reykjavíku. Reykjanes. Na wschód za górę. Na lody do Hveragerdi. To co wszyscy. Wie pan, że interesowała się jeziorami?

– Tak.

– Uwielbiała Thingvallavatn.

– Thingvallavatn?

– Znała je jak własną kieszeń. Często tam jeździła i miała swoje ulubione miejsca nad jeziorem. Nasz wujek, który tu mieszka, miał domek

w Lúndarreykjadalur w regionie Borgarfjörður. Często z niego korzystaliśmy. Często wracała górą przez Uxahryggir i zjeżdżała do Thingvellir. Robiła koło wokół jeziora i dopiero wtedy wracała. Czasem rozbijała tam namiot, w Thingvellir, razem ze swoimi przyjaciółkami. Czasem sama. Wyjeżdżała z miasta i sama biwakowała nad jeziorem. Trochę to lubiła, samotność znaczy, doskonale się czuła w swoim towarzystwie.

– Nie było żadnych śladów, które by świadczyły o tym, że zajechała do domku waszego wujka? – spytał Erlendur, przypominając sobie raporty z przesłuchań w sprawie zaginięcia Gudrun.

– Nie, tam jej nie było.

– A skąd u niej to zainteresowanie jeziorami?

– Nikt tego nie wiedział, nawet ona sama. Duna zawsze taka była, od maleńkości. Kiedyś powiedziała mi, że jeziora mają magnetyczną siłę przyciągania, jakiś dziwny spokój. Nad jeziorem człowiek jest najbliżej natury, najbliżej ptaków i wody. Oczywiście studiowała biologię. To nie był przypadek.

– Wpływała na jezioro? Miała łódkę?

– Nie, i to było w tym wszystkim najdziwniejsze. Duna bała się wody, kiedy była mała. Strasznie wiele wysiłku trzeba było włożyć, żeby w szkole chodziła na basen. Nigdy nie lubiła pływać. Nie interesowało ją bycie w wodzie czy na wodzie, tylko w pobliżu jezior. Na tym polegała jej miłość do natury, napędzała ją.

– Niewiele jest tak urokliwych miejsc jak Thingvallavatn – zauważył Erlendur.

– To prawda.

Dwa dni później siedział Erlendur w domu leciwego nauczyciela aktorstwa o imieniu Johannes, który poczęstował go ziołową herbatą. Erlendur nie zwykł czegoś takiego pić, ale gospodarz był mu raczej niechętny, nie rozumiał, czego chce policja, i nie miał ochoty wpuścić go do domu. Dowiedziawszy się, że to nie o niego chodzi, lecz jakby o plotki o innych ludziach, zmiękł i szeroko otworzył drzwi. Powiedział, że właśnie parzył sobie ziołową herbatę, i spytał, czy Erlendur nie napiłby się z nim.

To Orri Fjeldsted skierował go do nauczyciela, kiedy Erlendur spytał, kto może najlepiej znać dawnych studentów Szkoły Aktorskiej. Orri ani chwili nie zastanawiał się nad odpowiedzią. Swego czasu Johannes był jego nauczycielem, to świetny facet i cudowny plotkarz, dużo wie o każdym, ale wszystko, co powie o samym Orrim, to kłamstwa.

Johannes mieszkał samotnie w szeregowcu we wschodniej części miasta, był raczej wysoki, łysy jak kolano, miał wysoki głos, przyjemny błysk w oku i niezwykle wielkie uszy. Orri powiedział, że jest rozwiedziony, żona odeszła od niego wiele lat wcześniej. Dzieci nie mieli. Za młodu Johannes był znakomitym aktorem, ale z upływem lat proponowano mu coraz mniej ról, więc zaczął uczyć w Szkole Aktorskiej i tylko czasem, coraz rzadziej, grywał w teatrach zawodowych i amatorskich. Pojedyncze małe role w filmach również rozślawiły go i niekiedy dawał wywiady w radiu i telewizji, wspominając dawne czasy.

– Dobrze pamiętam Baldvina – powiedział Johannes, usiadłszy wygodnie w swoim gabinecie. Przyniósł z kuchni dwie ziołowe herbaty. Erlendur spróbował naparu. Nie smakował mu. Poinformował Johanna o celu swej wizyty i poprosił, by nie rozgłaszał, że policjant pytał o jednego z jego byłych studentów. Sądząc po słowach Orrego, komisarz nie mógł liczyć na dyskrecję starszego człowieka, ale miał jednak nadzieję.

– Nie był dobrym materiałem na aktora, zrezygnował, o ile pamiętam, na drugim roku – kontynuował Baldvin. – Nieźle raził sobie w komedii, lecz nic ponadto. Rzucił studia w czasie roku akademickiego, zszedł ze sceny podczas przedstawienia, jeśli można tak się wyrazić. Spróbował poszukać szczęścia w medycynie. Od tamtego czasu w zasadzie go nie widziałem.

– To była dobra grupa, jego rok?

– Tak, dobra – potwierdził Johannes i popił swoich ziółek. – Oj, tak.



Przecież tam był Orri Fjeldsted, niezły aktor, choć potrafi być trochę monotony. Widziałem tego koszmarnego *Otella*. Nie był dobry w tym przedstawieniu. Swała była na tym roku. I Sigridur, z której był kawał aktorki. Urodzona, aby grać Ibsena i Strindberga, naszych północnych gigantów. No i jeszcze Heimir, który moim zdaniem powinien dostawać większe role. Z wiekiem stał się zgorzkniały i rozgoryczony. Coraz częściej zaglądał do butelki. Obsadziłem go w roli Jimmiego w *Miłości i gniewie*, kiedy reżyserowałem tę sztukę, i moim zdaniem stworzył świetną kreację, choć nie wszyscy tak uważali. Teraz nie wiem nawet, co się z nim dzieje; słyszałem go w jakiejś małej rólce w radiu parę dni temu. To wszystko ludzie w średnim wieku. Lilja, Saebjörn, Einar. No i jeszcze Karolina. Nigdy nie była z niej wielka aktorka, biedaczka.

– A pamięta pan okoliczności, w jakich Baldwin rzucił studia? – spytał Erlendur. Czuł, że musi szczypcami wyciągać informacje ze starego aktora.

– Baldwin? On po prostu zrezygnował. Nie wyjaśnił tego, zresztą nie było takiej konieczności. Przy czym w tamtych latach bardzo ciężko było się dostać do Szkoły Aktorskiej, tłumy chętnych, i ludzie nie odchodzili tak ot, w trakcie przedstawienia, by tak rzec. W trakcie przedstawienia.

– Ale chyba nie odszedł dosłownie w trakcie przedstawienia?

– Nie, po prostu użyłem takiej przenośni, opisując, że to zrobił, że odszedł. Zrezygnował nagle, moim zdaniem, a trzeba pamiętać, ile wysiłku tych ludzi kosztowało, żeby się dostać do szkoły. Wtedy młodzi ludzie pragnęli zostać aktorami. To było marzenie. Osiągnąć sukces, zdobyć sławę, być podziwianym. Sztuka aktorska może człowiekowi coś takiego zapewnić, jeśli mu oczywiście na czymś takim zależy. Wszystkim prawdziwym aktorom daje o wiele więcej. Mnie dała kulturę, literaturę, wykształcenie, otworzyła przede mną drzwi do prawdziwego życia.

Stary aktor zamilkł i uśmiechnął się.

– Wybacz, ale troszkę uciekłem w patos. Nam, aktorom, zdarza się czasem przesadzić. Zwłaszcza kiedy jesteśmy na scenie.

Zaśmiał się ze swego dowcipu.

– Zdaje się, że Baldwin poznał dziewczynę, którą poślubił wkrótce po tym, jak zrezygnował. – Erlendur uśmiechnął się.

– Tak, studiowała historię zdaje się? Umarła niedawno, słyszałem. Targnęła się na swoje życie. A może dlatego tu jesteś...

– Nie – zaprzeczył Erlendur. – Znał ją pan?

– Nie. A było w tym coś podejrzanego? Jak skończyła?

– Nie, nic nadzwyczajnego. – Erlendur uspokoił go. – Nie wahał się przed

odejściem ten Baldwin? Pamięta pan?

– Wydawało mi się, że Baldwin zawsze robi to, co chce – powiedział Johannes. – Takie na mnie sprawiał wrażenie. Jakby nikt nie miał prawa mu nic kazać; zdecydowany chłopak, który chodził trochę własnymi ścieżkami. A potem studenci mi mówili, że dziewczyna tak go usidliła, że stał się zupełnie innym człowiekiem. Poza wszystkim nie był dobrym aktorem. Prawdopodobnie sam to zrozumiał i rozmyślił się.

– Czy ci ludzie wiązali się ze sobą? – spytał Erlendur, odstawiając ziółka. – Ta grupa studentów?

– Tak jak to zwykle bywa – powiedział Johannes. – Zawsze zdarzają się takie przypadki, tylko może zaangażowanie jest różne. Niektórzy z tego samego roku się pobrali. To się zdarza.

– A Baldwin?

– Zanim spotkał swoją żonę? No cóż, niewiele mogę ci pomóc. Coś tam do mnie dotarło, że zakochał się w Karolinie, która była z nim na roku. Była dość ładna, ale nie miała talentu aktorskiego. Zresztą nigdy nie grała znaczącej roli, Nie wiem, na jakiej podstawie przyjęliśmy ją do szkoły. Nigdy tego nie wiedziałem.

– I została aktorką? – spytał Erlendur. Żałował, że nie zna się lepiej na teatrze.

– Tak, ale to nie była długa kariera, nikt nie dostrzegł Karoliny. Zdaje się, że nie za długo grała. Najczęściej jakieś ogony. Za największą rolę, jaką zagrała, otrzymała takie recenzje, że musiało to ją załamać.

– A co to była za rola? – zainteresował się Erlendur.

– W szwedzkim dramacie, który zresztą dawniej cieszył się nawet powodzeniem. Nie była to ani dobra sztuka, ani zła. *Płomień nadziei* taki był islandzki tytuł. Nie wiem, dlaczego toto wystawiono, wtedy popularność zdobywały sobie dramaty zlewu kuchennego.

– Tak – powiedział Erlendur, który zupełnie nie znał szwedzkich sztuk.

– Wtedy to był dość popularny autor.

Erlendur skinął pustą głową.

– Jeśli chodzi o Karolinę, to jest coś szczególnego. Nikt bardziej niż ona nie pragnął sławy, nie chciał być gwiazdą, królową scen. Myślę, że to był jedyny powód, dla którego wstąpiła do szkoły. Inni myśleli więcej o samej sztuce i o wykształceniu, jakie człowiekowi zapewnia. Karolina była pod tym względem trochę stuknięta. No i nie miała tego, co jest niezbędne, brakowało jej talentu. Bez względu na to, jak bardzo się w szkole staraliśmy. To było po prostu bez sensu.

– Ale dostała tę rolę?

– Rola w *Płomieniu nadziei* nie była zła. – Johannes dopił resztkę ziołowej herbaty. – Ale ona była po prostu koszmarna. Kompletnie do niczego, biedaczka. I potem, zdaje mi się, że się wycofała. No, ale nie o to chodzi. Ona i Baldvin mieli się ku sobie w latach poprzedzających jego ożenek i dzie... Nie, oni nie mieli dzieci, prawda?

– Nie – potwierdził komisarz i dziwił się, jak nauczyciel aktorstwa śledził losy swoich studentów. Wielkie uszy najwyraźniej chłoneły każdą informację.

– A może to tak wpłynęło na tę kobietę – zastanawiał się Johannes. – Brak dzieci.

Erlendur wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Powiesiła się, prawda?

Erlendur skinął głową.

– A Baldvin? Jak on to przyjął?

– Tak jak można to przyjąć, podejrzywam.

– Tak, a jak ludzie to przyjmują? Ja nie wiem. Kilka lat temu spotkałem Baldvina. Przejmował obowiązki mojego lekarza domowego w ośrodku. Strasznie kochany chłopak, Baldvin. Pamiętam, że zawsze miał kłopoty finansowe. Zawsze ciągnął się za nim długi szereg wierzycieli. Często pożyczał ode mnie, dopóki nie przestałem mu pożyczać. Wydawał o wiele więcej, niż miał, ale któż tak czasem nie robi?

– Tak. – Erlendur podniósł się z miejsca.

– Zupełnie jakby była taka moda, żeby mieć jak najwięcej długów – mówił Johannes, odprowadzając komisarza do drzwi.

Erlendur podał mu rękę.

– Prawdę mówiąc, była całkiem ładną Magdaleną – powiedział stary aktor.

– Elegancka dziewczyna.

Erlendur zatrzymał się w drzwiach.

– Magdalena? – zapytał.

– Tak, ładna Magdalena. Karolina. Czeka, coś bredzę? Wszystko już mi się w głowie miesza, role i aktorzy.

– Kto to Magdalena? – dopytywał się komisarz

– To była rola Magdaleny w tej szwedzkiej sztuce. Grała młodą kobietę o imieniu Magdalena.

– Magdalena?

– Coś ci to pomoże?

– Nie wiem – odpowiedział Erlendur. – Niewykluczone.

Siedział w samochodzie i znów rozmyślał na temat przypadku. Wypalił cztery papierosy i czuł lekką gorycz w ustach. Od rana nic nie jadł i papierosami usiłował uśmierzyć głód. Większość dymu ulatniała się na zewnątrz poprzez niewielką szczelinę w oknie po stronie kierowcy. Był już wieczór. Erlendur obserwował, jak jesienne słońce chowa się za niskimi chmurami. Samochód stał zaparkowany w bezpiecznej odległości od starego domu jednorodzinnego w Kopavogur i jeśli komisarz nie patrzył na zachód słońca, jego wzrok wędrował ku temu domowi. Erlendur wiedział, że ona mieszka tu sama, i domyślał się, że nie przelewa się u niej, bo część pieniędzy z pewnością poszłaby na utrzymanie domu. A ten był w dość opłakanym stanie. Elewacja wymagała farby, wokół okien straszyły rdzawe zacieki. Nie zaobserwował żadnego ruchu. Na ulicy przed domem stał mały japoński rzęch. Ludzie mieszkający w okolicznych domach zdążyli już wrócić z pracy, ze szkoły, z zakupów czy z innych zajęć, jakiegokolwiek one były, a on ukryty w swoim aucie podglądał typowe życie rodzinne, patrząc w dwa okna kuchenne.

Znalazł się tutaj przez przypadek, przy okazji sprawy, którą badał z taką niezrozumiałą pasją. Wszystko wskazywało na smutną śmierć kobiety znajdującej się na skraju wyczerpania. Świadczyły o tym jej przeszłość, ciężko przeżywana strata matki i natrętne myśli na temat życia pozagrobowego. Nie natknął się na nic, co przemawiałoby za udziałem osób trzecich, dopóki nie usłyszał imienia, które słyszał już wcześniej. To wywołało dziwne podejrzenia na temat powiązań, znanych i nieznanych, między tymi, których nieszczęsna kobieta z Thingvellir znała albo i nie znała. Kobieta medium, którą odwiedziła Maria, miała na imię Magdalena. Erlendur wiedział, że przypadek to rzadko coś innego niż samo życie. Przypadki istnieją po to, by mieć ludzi lub sprawiać im radość. Są niczym deszcz, który pada zarówno na niesprawiedliwych, jak i prawych. Mogą służyć dobru, mogą i złu. To one kształtują tak zwane ludzkie losy, w większym lub mniejszym stopniu. Kiełkują z niczego; niespodziewane, dziwne i niewyjaśnione.

Erlendur starał się nie mylić przypadków z czymś innym. Dzięki swej pracy wiedział dobrze, że czasem nimi sterowano. Można je było dogodnie ulokować w ludzkim życiu w taki sposób, że zainteresowany niczego nie podejrzewał. Wtedy mówiło się o okolicznościach, a nie przypadku. Nazywano je rozmaicie, ale w pracy komisarza istniało tylko jedno słowo, które je należycie określało: przestępstwo.

Tak sobie komisarz rozmyślał, kiedy nagle za drzwiami frontowymi obserwowanego domu zapaliło się światło i na zewnątrz wyszła kobieta. Zamknęła drzwi za sobą i podeszła do zaparkowanego samochodu, wsiadła

i odjechała. Udało jej się odpalić silnik dopiero za trzecim razem i głośno warcząc, samochód pomknął ulicą. Erlendur pomyślał, że jakaś część układu wydechowego jest zepsuta.

Patrzył za znikającym autem, odpalił starego forda i ruszył za nim. Nie wiedział wiele na temat kobiety, którą śledził. Po odwiedzinach u nauczyciela aktorstwa przyjrzał się nieco karierze Karoliny Franklins. Była Franklinsdottir, ale skróciła patronimik i używała go jak nazwiska rodowego, co zdaniem starego nauczyciela dobrze ją charakteryzowało; ta dziewczyna to sama powierzchowność, tak jakoś powiedział. Nic tu na górze, dodał, stukając się palcem wskazującym w czoło. Erlendur dowiedział się, że Karolina pracuje jako asystentka w dużej instytucji finansowej w mieście. Była rozwiedziona, bezdzietna i od lat nie występowała jako aktorka. Rola Magdaleny w *Płomieniu nadziei* była jej ostatnią; z tego co mówił Johannes, grała szwedzką robotnicę, która dowiaduje się o zdradzie swego męża i szykuje zemstę.

Pojechał za Karoliną i zatrzymał się przy wypożyczalni filmów ze sklepikiem w sąsiedztwie, obserwował, jak wybiera film i kupuje jakąś przekąskę, a potem wraca do domu.

Posiedział jeszcze w aucie przed jej domem z godzinę, wypalił dwa papierosy, a potem pojechał do siebie.

Dyrektor banku nie kazał na siebie czekać. Wyszedł do komisarza, przywitał go silnym uściskiem dłoni i zaprosił do swojego gabinetu. Miał około pięćdziesiątki, był nienagannie ubrany w garnitur w delikatne prążki i doskonale dobrany krawat, na nogach lśniące lakierki. Wzrostu Erlendura, uśmiechnięty, przyjazny; powiedział, że właśnie wrócił z Londynu z niewielką grupką klientów, gdzie obejrzeli ważne spotkanie ligi angielskiej. Erlendur słyszał kiedyś nazwy tych drużyn. Dyrektor zajmował się bogatymi klientami, którzy życzyli sobie szybkiej i bezproblemowej obsługi. Komisarz wiedział, że człowiek ten dorobił się stanowiska dzięki pracowitości, wytrwałości i wrodzonej umiejętności współpracy. Często wpadali na siebie jeszcze w czasach, gdy dyrektor pracował jako zwykły kasjer na sali. Bardzo dobrze się dogadywali, Erlendur dowiedział się, że kasjer nie pochodził z Reykjavíku. Nim jego rodzina porzuciła ciężkie życie na prowincji i przeprowadziła się do stolicy, wychowywał się w małym gospodarstwie w Öraefasveit.

Nalał Erlendurowi kawy i zajęli skórzany komplet wypoczynkowy w przestronnym gabinecie. Rozmawiali o hodowli koni na wschodzie kraju i coraz bardziej bezwzględnym półświatku w Reykjavíku, ludzie ci sprzedawali coraz więcej narkotyków. Kiedy wydawało się, że wyczerpali wszystkie tematy, Erlendur, nie chcąc, by dyrektor wrócił do zarabiania miliardów dla banku, chrząknął i przeszedł do rzeczy:

– Już dawno przestałeś pomagać nam w naszej pracy – powiedział, rozglądając się po gabinecie.

– Teraz robią to inni – odparł dyrektor, wygładzając krawat. – Chcesz z nimi pogadać?

– Nie. Mam sprawę do ciebie.

– O co chodzi? Potrzebujesz kredytu?

– Nie.

– Debet?

Erlendur pokręcił głową. Nigdy nie miał kłopotów finansowych. Pensja w zupełności mu starczała, poza okresem, kiedy nabył mieszkanie w bloku. Nigdy nie miał debetu i nie brał kredytu poza tym na mieszkanie, zresztą dawno temu spłaconym.

– Nie, nic z tych rzeczy – powiedział Erlendur. – Niemniej to sprawa

osobista. Musi pozostać między nami. Chyba że chcesz, żeby mnie wylano z policji.

Dyrektor się uśmiechnął.

– Czy ty czasem nie przesadzasz? Dlaczego mieliby cię wylać?

– Nigdy nie wiadomo, co tam na górze wymyślą. Wierzysz w duchy? To chyba było dość powszechne u was w Öraefi?

– Jasne, że tak. Tata mógłby ci niezłych historii opowiedzieć. Twierdził, że one są tak rzeczywiste, że należałoby je opodatkować.

Erlendur uśmiechnął się.

– Prowadzisz śledztwo w sprawie duchów? – zażartował dyrektor.

– Niewykluczone.

– Duchów, które prowadzą interesy z bankiem?

– Mam imię – powiedział Erlendur. – Mam pesel. Wiem, że ta osoba korzysta z usług tego banku. Z usług tego banku korzystała także osoba, która już nie żyje.

– I to ona jest duchem?

Erlendur skinął głową.

– I musisz sprawdzić tę osobę?

Erlendur skinął głową.

– To dlaczego nie zrobisz tego oficjalnie? Masz nakaz?

Erlendur pokręcił głową.

– To podejrzany?

– Nie. Ale możliwe.

– Możliwe? To człowiek, którego inwigilujesz?

Erlendur skinął głową.

– O co tu chodzi? Czego szukasz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Co to jest?

Erlendur kręcił głową.

– Nie dowiem się?

– Nie. Wiem, że to nienormalne, a nawet niezrozumiałe dla uczciwego człowieka jak ty, żeby prosić o wgląd w konto tego faceta, ale nie mogę skorzystać z oficjalnej drogi. Niestety. Gdybym mógł, tobym to zrobił, ale nie mogę.

Dyrektor przyglądał mu się uważnie.

– Chcesz, żebym złamał prawo.

– Złamał, a złamał – odparł Erlendur.

– I to nie jest oficjalne śledztwo?

Erlendur pokręcił głową.

– Erlendurze – obruszył się dyrektor. – Zwariowałaś?

– Sprawa, o której nie mogę ci powiedzieć, zamienia się w najczystszy koszmar. Sam bardzo niewiele wiem na temat tych wydarzeń, ale informacje, o które cię proszę, mogą pomóc mi lepiej ją zrozumieć.

– A dlaczego to nie jest oficjalne śledztwo?

– Dlatego że zajmuję się tym prywatnie – wyjaśnił Erlendur. – Nikt nie wie, czym się zajmuję ani do jakich ustaleń doszedłem. Robię to zupełnie sam. To, o czym mówimy, nie wyjdzie stąd. Jeszcze nie zebrałem dość materiałów, żeby rozpocząć oficjalne śledztwo. Ci, których obserwuję, nie wiedzą o tym, a w każdym razie taką mam nadzieję. Sam nie wiem, jakich informacji potrzebuję, ale spodziewam się znaleźć coś w twoim banku. Musisz mi zaufać.

– Po co ty to robisz? Przecież ryzykujesz zawodowo?

– To jedna z tych spraw, kiedy człowiek nie ma nic, ale coś podejrzewa. Jedyne, co mam, to niewielkie wykroczenia. Brakuje mi prostych związków, jakiegoś preludium do tego, co później się stało. Muszę uzupełnić historię tych ludzi, w tym historię ich finansów. Nie prosiłbym cię, gdyby nie... gdyby nie to, że sądzę, że popełniono przestępstwo. Brudny czyn, o którym nikt nie wie... ten człowiek... wydaje się, że ujdzie mu to na sucho.

Dyrektor długo patrzył na Erlendura, milczący i przejęty.

– Możesz sprawdzić klientów banku w tym komputerze? – spytał wreszcie Erlendur i skinął głową w stronę trzech płaskich monitorów na dyrektorskim biurku.

– Tak.

– Pomożesz mi?

– Erlendurze, ja... nie mogę brać w tym udziału, niestety. Nie mogę.

Długo patrzyli sobie w oczy.

– A możesz mi powiedzieć, czy pewien klient bardzo zadłużony? Po prostu „tak” lub „nie”?

Dyrektor pomyślał chwilę.

– Niestety, nie mogę. Nie proś mnie o to.

– A jego żona? Ona nie żyje. To nie powinno nikomu zaszkodzić.

– Erlendurze...

Dyrektor wstał i stuknął palcem w biurko.

– Masz jej pesel?

– Tak.

Wprowadził ciąg cyfr, wcisnął kilka klawiszy na klawiaturze, kliknął



myszką i wbił wzrok w monitor.

– Była okropnie bogata – powiedział w końcu.

Starszy pan leżał na szpitalnym łóżku i zdawał się spać. Na korytarzu po kolacji panowała cisza. Dwaj mężczyźni dzielący z nim salę leżeli na swoich łóżkach i zupełnie nie zwracali uwagi na obecność Erlendura. Jeden czytał książkę, drugi drzemał.

Erlendur usiadł przy łóżku i spojrzał na zegarek. Wracał do domu, gdy nagle postanowił odwiedzić staruszka. W tym momencie starszy pan się zbudził i spojrzał na niego.

– Widziałem się z twoim synem Elmarem – powiedział Erlendur.

Nie wiedział, ile ma czasu, więc od razu przeszedł do rzeczy.

– No?

Mężczyzna czytający książkę odłożył ją i odwrócił się do ściany. Erlendur wyobrażał sobie, że słyszy całą ich rozmowę. Ten, który drzemał, zajmował łóżko między nimi i teraz zaczął cicho chrapać. Komisarz miał świadomość, że nie są to idealne warunki, aby prowadzić przesłuchanie, ale nic na to nie mógł poradzić. Poza tym trudno było nazwać przesłuchaniem ten jego taniec wokół starszego pana.

– Kontakty między braćmi były zawsze dobre, prawda? – spytał Erlendur, starając się nie stwarzać niepotrzebnych podejrzeń. Pomyślał, że wcześniej pewno już o to pytał.

– Oni byli bardzo różni, jeśli o to ci chodzi.

– Może niezbyt sobie bliscy? – spytał komisarz.

Starszy pan potrząsnął głową.

– Nie, istotnie. On nigdy mnie tu nie odwiedza, Elmar znaczy. Nie widuje się z ojcem. Powiada, że źle znosi domy opieki, szpitale, domy starców czy co tam jeszcze. Jest taksówkarzem. Wiedziałaś o tym?

– Tak – potwierdził Erlendur.

– Rozwiedziony, jak wielu – powiedział starszy pan. – Zawsze był troszkę sobkiem.

– Niektórzy tacy już są – powiedział Erlendur, żeby coś powiedzieć.

– Znalazłeś tę dziewczynę, o którą pytałeś?

– Nie. Twój syn Elmar twierdzi, że David nigdy nie miał żadnej dziewczyny.

– Mówi prawdę.

Człowiek na środkowym łóżku zaczął głośniej chrapać.

– Może powinieneś wreszcie zaprzestać tych poszukiwań – powiedział

starszy pan.

– To nie są żadne poszukiwania – zauważył Erlendur. – Obecnie nie narzekam na nadmiar pracy, więc nie musisz się o mnie martwić.

– Naprawdę myślisz, że kiedyś go znajdziesz?

– Nie mam pojęcia – przyznał Erlendur. – Ludzie znikają. Czasem się odnajdują, a czasem nie.

– Zbyt dużo czasu minęło. Nie pamiętam, kiedy przestaliśmy żyć nadzieją, że jeszcze żyje. Tak naprawdę towarzyszyła temu wielka ulga, choć nigdy nie dane nam było przeżyć prawdziwej żałoby.

– Jasne – zgodził się Erlendur.

– A niedługo i ja zniknę – dodał starszy pan.

– Martwisz się tym?

– Nie, nie obawiam się tego.

– A tego, co jest po tamtej stronie? – zainteresował się Erlendur.

– Skądże. Spodziewam się spotkać mojego Davida. I Gunnthorę. Będzie nam dobrze.

– Wierzysz w to?

– Zawsze wierzyłem.

– W życie po śmierci?

– Tak.

Zamilkli.

– Chciałbym wiedzieć, co się stało z chłopakiem. – Starszy pan przerwał ciszę. – To wszystko było jakieś dziwne. Powiedział mamie, że idzie do księgarni, a potem do kolegi, i na tym skończyło się jego krótkie życie.

– W żadnej księgarni nikt go nie widział. W każdym razie w Reykjavíku i okolicach. Swego czasu dokładnie to sprawdziliśmy. Nie umawiał się także z żadnym ze swoich kolegów.

– To może mama źle go zrozumiała. To wszystko jest niepojęte. Całkiem niepojęte.

Mężczyzna, który przed chwilą czytał, usnął.

– A czego on miał szukać w księgarni? Pamięta pan?

– Wspomniał o tym w rozmowie z Gunnthorą. Miał zamiar kupić jakąś książkę o jeziorach.

– O jeziorach?

– Tak, jakąś książkę o jeziorach.

– O jakich jeziorach? Co miał na myśli?

– Według żony miała to być jakaś nowa książka. Album na temat jezior w okolicach Reykjavíku.

– Interesowały go książki na ten temat? O islandzkiej przyrodzie?  
– Nigdy czegoś takiego nie zauważyłem. Przypominam sobie, że jego mama sądziła, że on ma zamiar ją komuś podarować. Ale nie była pewna. Uważała, że musiała coś źle zrozumieć, bo nigdy wcześniej o czymś takim nie mówił.

– A wiedzieliście, kto to miał być? Ten, kto miał dostać książkę?

– Nie.

– Jego koledzy nikogo nie kojarzyli?

– Nikogo.

– A czy mogła to być dziewczyna, o której wspominał Gilbert? Ta, z którą rzekomo wasz syn miał się spotykać?

– Nie było żadnej dziewczyny – stanowczo zaprzeczył starszy pan. – Mój David by nam o tym powiedział. A i ona by przyszła, kiedy chłopak zniknął. Inaczej sobie tego nie wyobrażam. Dlatego nie mogło być żadnej dziewczyny. To absurd.

Starszy pan machnął ręką.

– Absurd – powtórzył.

Pod wieczór następnego dnia Erlendur zajechał w ślepią uliczkę w Grafarvogur i zaparkował przed domem, w którym mieszkał lekarz. Umówili się na wieczór. Erlendur zadzwonił do Baldvina po południu. Powiedział, że musi się z nim spotkać. Baldvin chciał wiedzieć dlaczego, na co komisarz odparł, że otrzymał informacje od osoby trzeciej i chciałby je z nim skonfrontować. Lekarz był najwyraźniej zdziwiony, chciał koniecznie dowiedzieć się, co to za osoba trzecia i czy ciąży na nim jakieś podejrzenia. Erlendur uspokoił go, jak wcześniej, powiedział, że odpowiedź na jego pytania zajmie mu krótką chwilę. Chciał jeszcze dodać, że to nic poważnego, ale wiedział, że wtedy by skłamał.

Zgasił silnik i przez chwilę siedział w samochodzie. Wcale nie uśmiechało mu się spotkanie z Baldvinem. Był sam. Ani Elinborg, ani Sigurdur Oli nie mieli pojęcia, czym się teraz zajmuje. Nie wiedzieli tego także jego przełożeni. Erlendur nie miał pojęcia, jak długo uda mu się jeszcze prowadzić to śledztwo, zanim wyjdzie ono na jaw. I być może właśnie rozmowa z Baldvinem miała zdecydować, co będzie dalej.

Baldvin otworzył komisarzowi i zaprosił do salonu. Był w domu sam. Erlendur nie spodziewał się, że będzie inaczej. Usiedli. Atmosfera była jeszcze bardziej gęsta niż podczas ich poprzedniego spotkania. Baldvin zachowywał się grzecznie i bardzo formalnie. Podczas rozmowy telefonicznej nie spytał, czy będzie mu potrzebny prawnik. Z tego akurat Erlendur był zadowolony. Nie wiedziałby, co odpowiedzieć. W obecnej sytuacji najlepiej pogadać z Baldvinem w cztery oczy.

– Jak już wspominałem przez telefon... – zaczął komisarz. Chciał najpierw wygłosić wstęp, który przecwicył w aucie. Baldvin mu przerwał.

– A może by pan przeszedł do rzeczy? – zapytał. – Miałem nadzieję, że to nie będzie długie spotkanie. Co chce pan wiedzieć?

– Chciałem powiedzieć panu, że chodzi o trzy sprawy, ale...

– Co chce pan wiedzieć?

– Magnus, pański teść...

– Nigdy go nie spotkałem – powiedział Baldvin.

– Nie, jeśli o to chodzi, mam jasność. Czym się zajmował?

– Zajmował?

– Z czego żył?

- Sądzę, że pan już to wie.
- Najprościej by było, żeby pan odpowiadał na pytania – powiedział Erlendur poważnie.
- Był agentem nieruchomości.
- I dobrze mu szło?
- Nie, raczej koszmarne. Mniej więcej w tym czasie, kiedy zmarł, zmierzał szybkimi krokami do bankructwa. Tak mówiła Maria. Leonora też o tym mówiła.
- Ale nie zbankrutował?
- Nie.
- A one po nim dziedziczyły? Leonora i Maria?
- Tak.
- I co odziedziczyły?
- Wtedy to nie było nic wielkiego – powiedział Baldwin. – Zatrzymały ten dom tylko dzięki temu, że Leonora była sprytna i twarda.
- Coś jeszcze?
- Kawałek gruntu w Kopavogur. Magnus przyjął go w rozliczeniu za coś, jako ratę czy coś takiego, i przepisał na siebie. Na dwa lata przed śmiercią.
- I Leonora zatrzymała tę parcelę przez te wszystkie lata? Nawet wtedy, kiedy musiała ratować dom?
- Do czego pan zmierza?
- Od tamtych lat Kopavogur rozwijał się najszybciej ze wszystkich gmin w Islandii. Zamieszkało tam więcej ludzi niż w jakimkolwiek innym miejscu w kraju, łącznie z Reykjavikiem. Kiedy Magnus zostawał właścicielem tej ziemi, była to głęboka prowincja, ludziom nie chciało się tam nawet jeździć. Teraz znajduje się niemal w sercu miasta. Czy ktoś by kiedyś w to uwierzył?
- Tak, to byłoby nie do wiary.
- Sprawdziłem cenę z okresu, kiedy Leonora sprzedawała tę działkę, to zdaje się było trzy albo cztery lata temu? Niezłe pieniądze za nią dostała. Według rachunków Kopavogur to było około trzystu milionów koron. Leonora umiała sensownie zarządzać swoimi pieniędzmi, prawda? Nie było tego po niej widać, może nawet w ogóle nie bardzo się tym interesowała. Przeleżały więc większość czasu na koncie i generowały odsetki. Maria dziedziczyła po matce. Pan po Marii. Nikt inny. Tylko pan.
- Co ja na to poradzę – odparł Baldwin. – Powiedziałbym o tym panu, gdybym sądził, że to ma jakiegokolwiek znaczenie.
- Jaki Maria miała stosunek do tych pieniędzy?
- Stosunek? Ja... żaden. W zasadzie nie miała żadnego stosunku do

pieniędzy.

– Chciała może, żebyście wykorzystali te pieniądze, aby bardziej i lepiej niż dotąd cieszyć się życiem? Chciała je wydać na luksusy i zbytki? Czy może była jak jej matka i chciała o nich jak najmniej wiedzieć?

– Doskonale wiedziała o tych pieniądzach – powiedział Baldwin.

– Ale z nich nie korzystała?

– Nie. Ani ona, ani Leonora. To prawda. Myślę, że znam przyczynę, ale to zupełnie inna sprawa. A z kim pan rozmawiał, jeśli wolno zapytać?

– Na razie to nie ma żadnego znaczenia. Ale mogę wyobrazić sobie, że pan chciał używać życia. I te wielkie pieniądze były na wyciągnięcie ręki. A nikt z nich nie korzystał.

Baldvin wziął głęboki oddech.

– Nie mam ochoty rozmawiać o tych pieniądzach – powiedział.

– A jak to było z panem i Marią, spisaliście intercyzę?

– Istotnie.

– Jakiej treści?

– Ta ziemia i pieniądze z jej sprzedaży należały do niej.

– Były zatem jej wyłączną własnością?

– Tak, w wypadku rozwodu by je zatrzymała.

– W porządku – powiedział Erlendur. – Teraz sprawa numer dwa. Zna pan człowieka imieniem Tryggvi?

– Tryggvi? Nie.

– Od waszego spotkania minęło oczywiście bardzo dużo czasu, ale okoliczności powinien pan pamiętać. Ma kuzyna, który mieszka w USA. Kuzyn na imię ma Sigvaldi. Jego narzeczona miała na imię Dagmar. Teraz akurat jest na wakacjach na Florydzie. Wraca mniej więcej za tydzień. Postaram się wtedy z nią spotkać. Kojarzy pan te imiona?

– Czy coś... co...?

– Studiował pan z nimi medycynę?

– Tak, jeśli mówimy o tych samych ludziach.

– Brał pan udział w eksperymencie przeprowadzonym na Tryggvim, kiedy to wprowadziliście go w stan śmierci klinicznej na kilka minut?

– Nie wiem, co...

– Pan, pański przyjaciel Sigvaldi i jego przyjaciółka Dagmar?

Baldvin długo wpatrywał się w Erlendura. Milczał. Nagle nie wytrzymał i zerwał się na równe nogi.

– Nic się nie stało – powiedział. – Jak się udało panu to odgrzebać? Do czego pan zmierza? Ja tylko się przyglądałem, Sigvaldi wszystko robił. Ja...

nic się nie stało. Stałem tylko z boku, nawet go nie znałem. Ma na imię Tryggvi?

– A zatem wie pan, o czym mówię?

– To był idiotyczny eksperyment. Nie mogłem niczego udowodnić.

– Ale Tryggvi na chwilę umarł?

– Tego to ja nawet nie wiem. Wyszedłem. Sigvaldi przygotował jakąś salę w szpitalu i tam poszliśmy. Ten Tryggvi był zresztą jakiś dziwny. Sigvaldi darł z niego łacha jeszcze długo, zanim to miało miejsce. Ja dopiero zacząłem studiować medycynę. Sigvaldi był bardzo inteligentnym gościem i trochę szalonym. To on to wszystko wymyślił i zorganizował, całkowicie sam. I może Dagmar. Ja nie bardzo wiedziałem, jakie oni mają zamiary.

– Nie rozmawiałem z nimi, ale z pewnością to uczynię – powiedział Erlendur. – W jaki sposób Sigvaldi zatrzymał akcję serca u Tryggvego?

– Wychłodził organizm i podał jakiś środek. Nie pamiętam jaki i nie mam pojęcia, czy jeszcze jest stosowany. Lek zwolnił akcję serca, dopóki nie przestało bić. Sigvaldi pilnował czasu i kiedy minęła minuta, pobudził akcję serca za pomocą defibrylatora. Udało się od razu. Serce zaczęło bić.

– I?

– I co?

– Co powiedział Tryggvi?

– Nic. Nic nie powiedział. Nic nie poczuł, nic mu się nie stało. Opisał to jako głęboki sen. Nie rozumiem, po co pan w tym grzebie. Jak głęboko pan będzie grzebał? Dlaczego prześwietla pan moje życie? O co mnie pan podejrzewa? Czy każde samobójstwo wyjaśnacie w ten sposób? Chce mnie pan prześladować?

– Jeszcze jedna sprawa – Erlendur wolał nie odpowiadać na żadne pytania – i już mnie nie ma.

– To już jest oficjalne śledztwo?

– Nie – odpowiedział Erlendur.

– To co? Muszę odpowiadać na te pytania?

– Niekoniecznie. Usiłuję tylko dowiedzieć się, co się stało, kiedy Maria odebrała sobie życie. Czy wydarzyło się coś nienaturalnego.

– Coś nienaturalnego? To samobójstwo nie jest nienaturalne?

– Przed śmiercią Maria odwiedziła medium. Niejaką Magdalenenę. Kojarzy pan coś?

– Nie – odpowiedział Baldvin. – Nie kojarzy. Rozmawialiśmy już na ten temat. Nie wiedziałem, że odwiedziła medium. Nie znam żadnego medium o imieniu Magdalena.

– Odwiedziła medium, bo wydawało jej się, że tu, w domu, zobaczyła swoją matkę, i to sporo czasu po jej śmierci.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – upierał się Baldvin. – Być może była bardziej wrażliwa od innych, miewała różne zwidy. To wcale nie jest rzadkie. I nie jest nienaturalne, jeśli o to panu chodzi.

– Nie, oczywiście.

Baldvin wahał się przez chwilę i znów zajął miejsce naprzeciw Erlendura.

– Może powinienem porozmawiać z pańskimi zwierzchnikami w policji – powiedział.

– Jasne – rzucił Erlendur. – Jeśli sądzi pan, że to panu poprawi humor.

– To znaczy... à propos duchów. Jest jedna rzecz, o której panu nie mówiłem. – Baldvin ukrył twarz w dłoniach. – Być może jak pan to usłyszysz, to lepiej zrozumie Marię. Może to pana trochę uspokoi. Mam nadzieję, że zrozumie pan, że nic jej nie zrobiłem.

Erlendur milczał.

– To ma związek z wypadkiem w Thingvellir.

– Z wypadkiem? Ze śmiercią Magnusa?

– Tak. Myślałem, że nie będę musiał o tym opowiadać, ale skoro uważa pan, że miało miejsce coś podejrzanego, to lepiej, żeby pan o tym wiedział. Obiecałem Marii, że nikomu o tym nie powiem, ale nie podobają mi się te pańskie wizyty i chcę, żeby się zakończyły. Nie chcę słyszeć od pana insynuacji i aluzji. Chcę, żeby pan dał spokój i pozwolił nam... pozwolił mi opłakiwać w spokoju utratę mojej żony.

– O czym pan mówi?

– O tym, co Maria powiedziała mi po śmierci Leonory. O swoim tacie i jeziorze Thingvallavatn.

– I co to takiego?

Baldvin wziął głęboki wdech.

– To, co Leonora i Maria zeznały w sprawie wydarzeń związanych z jego utonięciem, to w najważniejszych szczegółach prawda. Poza jednym. Być może przyglądał się pan tej sprawie, pan, zdaje się, nie potrafi odpuścić niczego, co w jakikolwiek sposób łączy się z nami.

– Znam pobieżnie tę sprawę – potwierdził Erlendur.

– Ja znałem tylko oficjalną wersję, jak każdy. Śruba odpadła. Magnus usiłował prawdopodobnie grzebać coś przy silniku, wypadł za burzę, woda była lodowata i utonął.

– Tak.

– Maria powiedziała mi, że nie był sam na łódce. Wiem, że nie powinienem



panu tego mówić, ale nie mam pojęcia, jak inaczej mógłbym się pana pozbyć.

– Kto był z nim na łódce?

– Leonora.

– Leonora?

– Tak. Leonora i...

– I kto?

– Maria.

– Maria też była na łódce?

– Magnus zdradzał Leonorę, miał romans. Zdaje się, że powiedział jej o tym w Thingvellir. W domku. Leonora przeżyła szok. Nie miała o niczym pojęcia. Potem Magnus, Leonora i Maria wypłynęli łódką. Maria nie mówiła mi, co się tam wydarzyło, ale wiemy, że Magnus wypadł za burtę. Walka o życie trwała krótko. Jesienią nikt w wodach Thingvallavatn długo nie przeżyje.

– A Maria?

– Maria się przyglądała – powiedział Baldvin. – Milczała, kiedy zjawiała się policja, i potwierdziła wersję, że Magnus był sam na łódce.

– Maria nie powiedziała, co się wydarzyło na łódce?

– Nie. Nie chciała.

– I uwierzył pan jej?

– Oczywiście.

– Ciężko jej z tym było?

– Tak, zawsze. I dopiero po śmierci Leonory, po tej jej ciężkiej agonii tu, w domu, Maria mi o tym powiedziała. Obiecałem, że nikomu o tym nie opowiem. Mam nadzieję, że uszanuje pan tę obietnicę.

– Czy to dlatego nie ruszały jego pieniądze? Bo miały wyrzuty sumienia?

– Ta ziemia była kompletnie bezwartościowa, dopóki pełną parą nie ruszyły inwestycje wokół Reykjavíku. One nawet o niej nie pamiętały, kiedy wielkie firmy deweloperskie je odszukały i przedstawiły oferty kupna. Za setki milionów. Nie wiedziały, jak się zachować.

Baldvin spojrzał na zdjęcie Marii na stoliku obok nich.

– Ona po prostu miała już dość – powiedział. – Nigdy z nikim nie mogła porozmawiać na temat tamtych wydarzeń, a Leonora w pewnym sensie uczyniła ją współwinną, zapewniła sobie jej milczenie. Maria nie była w stanie sama udźwignąć prawdy... i wybrała takie rozwiązanie.

– Chce pan powiedzieć, że samobójstwo miało związek ze śmiercią jej ojca?

– Moim zdaniem to oczywiste – stwierdził Baldvin. – Nie miałem zamiaru

panu o tym mówić, ale...

Erlendur wstał.

– Nie będę pana więcej niepokoił – powiedział. – Na dziś wystarczy.

– Czy zrobi pan coś z tą wiedzą? O tym, co się wydarzyło w Thingvellir?

– Nie widzę powodu, by to rozgłaszać. To było dawno, a one obie odeszły.

Leonora i Maria.

Baldvin odprowadził go do drzwi. Erlendur był już na chodniku przed domem, kiedy odwrócił się do niego.

– Jeszcze tylko jedna rzecz – powiedział. – Czy macie w domku w Thingvellir prysznic?

– Prysznic? – Baldvin zdumiał się.

– Tak. Albo wannę?

– Jedno i drugie. Prysznic i jacuzzi. Spodziewam się, że chodziło panu o jacuzzi. Jest na tarasie. A dlaczego pan pyta?

– Nic takiego. Jacuzzi, oczywiście. Przecież teraz chyba wszyscy w swoich domkach takie mają.

– Do widzenia.

– Tak, do widzenia.

*Maria od dawna nie miała wizji, dopóki nie objawił jej się ojciec w ogrodzie i nie ostrzegł jej, by uważała na siebie. Nikt poza nią go nie widział. Nikt inny nie słyszał jego krzyków. Ojciec zniknął równie nagle, jak się pojawił, i jedyne, co po chwili Maria słyszała, to wycie wiatru i uderzenia furtki o płot. Wróciła do środka i zamknęła drzwi na taras, schowała się w sypialni i wpełzła pod pościel.*

*Słyszała ten głos wcześniej u Andersena, te same słowa przestrogi, ale nie miała pojęcia, co oznaczają, dlaczego zostały wypowiedziane i czy się z nimi liczyć. Nie wiedziała, dlaczego ma na siebie uważać.*

*Kiedy Baldvin wrócił do domu późnym wieczorem, wciąż nie mogła zasnąć. Ponownie zaczęli rozmawiać na temat seansu spirytystycznego u Magdaleny, o której już wcześniej mu opowiadała. Ze szczegółami opisała swoją wizytę i jak seans na nią wpłynął, powiedziała, że wierzy w to, co tam zobaczyła, i że chce w to wierzyć. Chce wierzyć, że po tym życiu istnieje życie. Że nasza ziemską egzystencja niczego nie kończy.*

*Baldvin leżał w milczeniu i słuchał.*

– Mówiłem ci kiedyś o swoim koledze z medycyny, który miał na imię Tryggvi?

– zapytał nagle.

– Nie – odpowiedziała Maria.

– Chciał się przekonać, czy istnieje życie po życiu. Namówił swojego kuzyna, by

mu pomógł. A ten był lekarzem. Czytał coś na temat francuskich doświadczeń ze śmiercią kliniczną. Razem studiowaliśmy medycynę. Była też z nami dziewczyna. We czwórkę powtórzyliśmy ten eksperyment.

Maria słuchała z uwagą opowieści Baldvina o tym, jak wprowadzili Tryggvego w stan śmierci klinicznej i wybudzili go z niej, że to się całkiem udało, ale Tryggvi nie miał im nic do powiedzenia.

– Co się z nim stało? – spytała Maria.

– Nie wiem – odparł Baldvin. – Nie widziałem go od tamtego czasu.

W sypialni małżeńskiej, w której Leonora walczyła ze śmiercią, zapadła długa cisza.

– Myślisz...?

Maria zawahała się.

– Tak? – zachęcił ją Baldvin.

– Myślisz, że umiałbyś zrobić coś takiego?

– To jest całkiem możliwe.

– Zrobiłbyś to ze mną? Dla mnie?

– Dla ciebie?

– Tak, dla mnie... Dużo czytałam o śmierci klinicznej.

– Wiem.

– To niebezpieczne doświadczenie?

– Może być niebezpieczne – odparł Baldvin. – Nie mam zamiaru...

– A moglibyśmy przeprowadzić je w domu? – dociekała Maria. – Tutaj?

– Mario...

– To bardzo niebezpieczne?

– Mario, nie mogę...

– Czy to bardzo niebezpieczne?

– To... zależy. Ty poważnie o tym myślisz?

– A dlaczego nie? – spytała. – Niby co mam do stracenia?

– Jesteś przekonana?

– Zamknąłeś furtkę? – Maria zmieniła temat.

– Tak, zamknąłem, jak przyszedłem.

– On wyglądał przerażająco – powiedziała. – Przeróżająco.

– Kto?

– Tata. Wiem, że nie jest mu dobrze. Nie może mu być dobrze. Wiem o tym. To nie powinno tak być. Nie powinien był umrzeć w ten sposób. To się nie powinno zdarzyć.

– O czym ty mówisz?

– Opowiedz mi o tym Tryggvim – poprosiła Maria. – Co dokładnie się

*wydarzyło? Jak coś takiego się odbywa? Co trzeba mieć, żeby to przeprowadzić?*

Wczesnym rankiem w niedzielę Erlendur zadzwonił do córki i spytał, czy nie wybrałaby się z nim na przejażdżkę. Miał ochotę wykorzystać ten dzień, żeby pojeździć po okolicy Reykjavíku i pooglądać się jeziora. Obudził Evę Lind, która potrzebowała czasu, by się ogarnąć i pozbierać. Była raczej niechętna, ale Erlendur nie dał za wygraną. Wszak tej niedzieli nie mogła mieć nic takiego do roboty. Podobnie jak każdej innej. Na mszę nie chodziła. W końcu zgodziła się. Erlendur usiłował też zaprosić Sindrego, ale usłyszał tylko, że abonent wyłączył telefon albo znajduje się poza zasięgiem. Valgerdur w weekend pracowała.

W normalnych warunkach pojechałby sam i dobrze się przyjrzał jeziorom, ale tym razem zapragnął towarzystwa Ewy. Sam sobą był już oczywiście śmiertelnie znudzony, co mu zresztą wytknęła podczas rozmowy. Uśmiechnął się. Eva była w lepszym niż zazwyczaj humorze, i to nawet mimo tego, że jej pomysł, aby zbliżyć rodziców, spalił na panewce, niszcząc jej marzenie o normalnych stosunkach między ojcem i matką.

Wyjechali z miasta i nie wspomnieli o tym ani słowem. Była piękna jesienna pogoda. Słońce stało nisko nad pasmem Blafjöll, było bezwietrznie, lecz zimno. Zajechali do sklepu, gdzie Erlendur kupił coś na ząb i papierosy. W domu zaparzył kawy i nalał do termosu. W bagażniku miał koc i odjeżdżając spod sklepu, pomyślał, że nigdy dotąd nie zabrał Ewy na niedzielną przejażdżkę.

Zacząli od zakreślenia niewielkiego koła wokół miasta. Obejrzał dokładną mapę okolic Reykjavíku i zdziwił się, jak wiele jezior można znaleźć na stosunkowo małym obszarze. Prawie niezliczoną. Objazd zaczęli od Ellidavatn, gdzie wyrosła nowa dzielnica, objechali wokół jezioro Raudavatn, nawet niezłą drogą, i pojechali do Reynisvatn, które schowane było za osiedlem Grafarholt. Następnie minęli Langavatn i zanim skręcili w stronę Mosfellsheidi, na Middalsheidi ujrzeli wiele niedużych zbiorników wodnych. Tuż przy drodze do Thingvellir przyjrzelili się Leirvogsvatn, a potem Stiflisdalsvatn i Mjoavatn. Zrobiło się już późno, kiedy zjechali do Thingvellir, skręcili na północ ku Sandkluftavatn, położonemu przy drodze północnej z Hofmannaflöt po drodze na pasmo Uxahryggir, po czym wyjechali z Lundarreykjadalur. Na popas zatrzymali się na brzegu Litla-Brunnavatn, tuż przy drodze do Biskupsbrekka.

Erlendur rozłożył koc. Rozprostowali nogi i raczyli się sklepowymi kanapkami. Wyjął też ciasteczka czekoladowe i nalał kawy. Patrzył w kierunku Thingvellir i Hofmannaflöt pod górą Armannsfell, gdzie ongiś urządzano walki konne. W tygodniu odwiedził antykwariaty w poszukiwaniu książki o jeziorach, którą być może David miał zamiar kupić. Jedyne tytuły, jakie wchodził w rachubę, to książka, która dopiero co wyszła, kiedy David zaginął, a zatytułowana była po prostu *Jeziora w okolicy Reykjavíku*. Ładne wydawnictwo z licznymi fotografiami jezior i ich okolic w różnych porach roku. Eva Lind wertowała książkę i oglądała zdjęcia.

– Jeśli myślisz, że ona się utopiła w którymś z tych jezior, to życzę powodzenia w szukaniu – powiedziała Eva, pijąc kawę.

Erlendur opowiedział jej o Gudrun, na którą wołano Duna, a która zniknęła trzy dekady wcześniej i nikt nie wiedział kiedy dokładnie. Opowiedział o tym, że interesowała się jeziorami, a on skłaniał się ku temu, by łączyć jej zaginięcie z zaginięciem młodego człowieka imieniem David. Evę Lind zaintrygowało, że chłopak mógł poznać tę dziewczynę tuż przed zaginięciem. Erlendur wyobrażał sobie, że książka miała być dla Gudrun. Niedawno się poznali, tak niedawno, że nikt poza przyjacielem Davida, Gilbertem, nie miał o tym pojęcia. Informacje na temat tego związku wyszły na jaw dopiero wiele lat później, kiedy Gilbert wrócił z Danii.

Eva Lind uważała, że ojciec trochę naciąga, i wspomniała o tym. Erlendur skinął głową, ale podkreślił wspólny mianownik tych dwóch spraw, a mianowicie że w każdej z nich było tak niewiele danych. O Davidzie nie wiadomo było nic. A o Gudrun tylko tyle, że jej samochód zniknął razem z nią i nigdy nie został odnaleziony.

– A co jeśli się znali? – Erlendur zastanawiał się, patrząc na Litla-Brunnavatn. – Co, jeśli David kupił dla niej tę książkę o jeziorach? Co, jeśli razem wybrali się na ostatnią przejażdżkę? Wiemy, kiedy zaginął David. Zawiadomienie o zaginięciu Gudrun zostało zgłoszone nieco ponad dwa tygodnie później. Dlatego nigdy tych dwóch przypadków nie łączyliśmy, ale przecież ona mogła zaginać w tym samym czasie co on.

– Powodzenia w szukaniu – powtórzyła Eva. – Mówimy o jakimś tysiącu jezior, nad które mogli pojechać. Tu jest jak w pieprzonej Finlandii. Nie prościej wyobrazić sobie, że wpadli do morza, zjechali z jakiegoś nabrzeża?

– We wszystkich większych portach szukaliśmy – powiedział Erlendur.

– A nie mogli popełnić samobójstwa każde z osobna?

– Ależ oczywiście. Do tej pory tak uważaliśmy. Ja... to zupełnie nowa hipoteza, żeby tych dwoje połączyć. I nawet mi się podoba. Od dziesięcioleci

nic się w tych sprawach nie ruszyło, ale nagle okazało się, że ona pasjonowała się jeziorami, a on wspomniał o kupnie książki na temat jezior, którymi nigdy wcześniej się nie interesował.

Erlendur napił się kawy.

– A poza tym jego ojciec umiera i prawdopodobnie nigdy nie doczeka się żadnej odpowiedzi. Tak samo jak jego matka, która już nie żyje. Ja o tym też myślę. O odpowiedziach. Żeby ludzie otrzymywali jakąś odpowiedź. Człowiek nie wychodzi tak ot ze swojego domu i znika na zawsze. Musi być jakiś ślad. A tu nie. Także to łączy te dwie sprawy. Brak śladu. Nie mamy żadnych poszlak. W obu sprawach.

– Babcia nigdy nie doczekała się żadnych odpowiedzi – zauważyła Eva Lind, położyła się na plecach i wpatrzyła w niebo.

– Nie, nie doczekała się – potwierdził Erlendur.

– Ale ty się nie poddajesz – powiedziała Eva. – Dalej szukasz. Jeździsz tam na wschód.

– Tak, jeżdżę. Jeżdżę na wschód. Wchodzę na Hardskafi i na wyżynę Eskifjardarheidi. Czasem rozbijam tam namiot.

– Ale nigdy nic nie znajdujesz.

– Nie. Nic poza wspomnieniami.

– One nie wystarczą?

– Nie wiem.

– Hardskafi? Co to takiego?

– Twoja babcia myślała, że Bergur zaginął na tej górze. Nie wiem, dlaczego tak myślała. Tak jej podpowiadała intuicja. Musiałby bardzo zboczyć, ale wiatr dął w tamtą stronę, a myśmy obaj uciekali przed wiatrem. Często wchodziła na górę do czasu, aż wyprowadziliśmy się stamtąd.

– Wchodziłeś na tę górę?

– Tak, można się na nią wspiąć, choć nazwa oznacza, że jest trudno dostępna.

– Już tam nie wchodzisz, tak?

– Rzadko tam wchodzę, głównie w wyobraźni.

Eva Lind zamyśliła się nad jego słowami.

– No tak, jesteś już stary.

Erlendur uśmiechnął się.

– Poddajesz się? – spytała Eva Lind.

– Ostatnie, o co zapytała mnie twoja babcia, to czy odnalazłem brata. To była jej ostatnia myśl w chwili śmierci. Czasem zastanawiam się, czy może ona go odnalazła... czy odnalazła go po tamtej stronie. Ja sam nie wierzę

w życie po śmierci, nie wierzę w Boga ani w piekło, ale twoja babcia w to wszystko wierzyła. Tak została wychowana, w przekonaniu, że ten epizod, tu na ziemi, nie jest ani początkiem, ani końcem niczego. Dlatego nie bała się umrzeć i twierdziła, że Bergur jest w dobrych rękach. Wśród swoich.

– Starzy ludzie tak mówią – powiedziała Eva Lind.

– Ona nie była stara. Umarła w kwiecie wieku.

– Czyż nie powiadają, że bogowie kochają tych, którzy umierają młodo?

Erlendur spojrzał na córkę.

– Ja myślę, że bogowie nigdy mnie nie kochali – powiedziała Eva. – Albo nie umiem sobie tego wyobrazić. Zresztą nie wiem, dlaczego mieliby to robić.

– Nie jestem przekonany, czy człowiek powinien składać swój los w ręce bogów, kimkolwiek by oni byli – zauważył Erlendur. – Człowiek sam jest kowalem swego losu.

– Łatwo ci mówić. A kto wykuł twój los? Czyż to nie twój tata zabrał cię w góry w nawałnicę? Co on tam robił ze swoimi dziećmi? Nigdy nie zadawałeś sobie tego pytania? Nigdy się nie wściekasz, myśląc o tym?

– On nie mógł wiedzieć, jaka będzie pogoda. Nie zorganizował tej wyprawy po to, żebyśmy zginęli.

– Ale mógł postąpić inaczej. Gdyby myślał o swoich dzieciach.

– Zawsze o nas dobrze myślał.

Zapadła cisza. Erlendur obserwował samochód nadjeżdżający od wschodu, z Uxahryggir. Auto skręciło w stronę Thingvellir.

– Zawsze siebie nienawidziłam. – Eva Lind przerwała wreszcie ciszę. – I byłam wściekła. Czasem tak wściekła, że myślałam, że wybuchnę. Wściekła na mamę i na ciebie, na szkołę i tych, co mi dokuczali. Chciałam się uwolnić od siebie. Nie chciałam być sobą. Brzydziłam się sobą. Znęcałam się nad sobą i pozwalałam na to innym.

– Evo...

Eve Lind patrzyła na jasne niebo.

– Nie, tak było – powiedziała. – Wściekłość i obrzydzenie. Niedobra mieszanka. Od kiedy doszłam do tego wniosku, dużo na ten temat myślałam. To, co robiłam, było tylko naturalnym przedłużeniem czegoś, co się zaczęło jeszcze przed moimi narodzinami. Czegoś, nad czym akurat nie mogłam mieć kontroli. Najbardziej wściekałam się na ciebie i mamę. Po co wyście mnie w ogóle zrobili? Co wam po łbach łąziło? Po co ja na tym świecie? Jakie miałam szanse? Żadnych. Błąd ludzi, którzy się nigdy nie poznali i nie mieli na to ochoty.

Erlendur skrzywił się.



– Równe szanse nie istnieją, Evo – powiedział.

– Nie, może i nie.

Milczeli przez jakiś czas.

– Cudowna niedzielna przejażdżka, prawda? – odezwała się w końcu Eva Lind i spojrzała na ojca.

Kolejny samochód przejechał majestatycznie drogą przez Biskupsbrekka i skręcił do Lundarreykjadalur. Małżeństwo z dwójką dzieci. Mała, ciemnowłosa dziewczynka pomachała im z fotelika dziecięcego na tylnym siedzeniu. Żadne z nich nie odmachalo i dziewczynka rzuciła im pełne goryczy spojrzenie, po czym auto zniknęło im z oczu.

– Myślisz, że kiedykolwiek będziesz w stanie mi wybaczyć? – spytał Erlendur, patrząc na córkę.

– Wiem, że to człowiek jest kowalem swego losu – powiedziała wreszcie. – Ktoś silniejszy i mądrzejszy ode mnie wykułby sobie lepszy los. Ktoś inny pewno olałby was ciepłym moczem, bo to jedyna sensowna reakcja, jak myślę, zamiast brzydzić się samym sobą.

– Nigdy nie było moim zamiarem, żebyś się nienawidziła. Nie miałem o niczym pojęcia.

– Twój tata na pewno nie chciał stracić syna.

– Nie. Nie chciał.

Kiedy ruszyli z Uxahryggir i zjechali doliną Lundarreykjadalur do Borgarfjörður, już się ściemniało. Nie zatrzymywali się nad innymi jeziorami, w drodze do domu przez większość czasu milczeli. Wracali przez tunel pod fiordem Hvalfjörður i przez Kjalarnes. Erlendur odwiózł córkę do domu i o zmierzchu się pożegnali.

To był fajny dzień nad jeziorami i to jej powiedział. Eva skinęła głową i odparła, że powinni to robić częściej.

– Jeśli skończyli w którymś z okolicznych jezior, to ich znalezienie jest równie prawdopodobne jak trafienie szóstki w totolotka.

– Tak właśnie sędzę – zgodził się Erlendur.

Dobrą chwilę milczeli. Erlendur czule pogłaskał kierownicę forda.

– Jesteśmy strasznie do siebie podobni, Evo – powiedział, wsłuchując się w ciche warczenie silnika. – Ty i ja. Jesteśmy z tej samej gliny.

– Tak myślisz? – rzuciła Eva, wysiadając z auta.

– Tak, obawiam się, że tak – potwierdził jej ojciec.

Rozmyślając nad tym, ruszył do domu. Ileż to jeszcze spraw mają sobie do wyjaśnienia! Zasnął z myślą, że nie odpowiedziała na pytanie, czy mu wybaczy. Nie zostało to powiedziane w dniu, w którym jeździli od jeziora do

jeziora i poszukiwali zagubionych śladów.

Po południu następnego dnia Erlendur ponownie zajechał i zaparkował w odpowiedniej odległości. W oknach nie świeciło się, a przed domem nie zauważył auta Karoliny. Podejrzał, że nie wróciła jeszcze z pracy. Komisarz zapalił papierosa i spokojnie na nią czeka. Nie był pewien, w jaki sposób ją przesłuchać. Spodziewał się, że po jego ostatniej wizycie u Baldvina ten przeprowadził z nią rozmowę; choć nie wiedział z całą pewnością, był przekonany, że jakoś się znają. Być może podjęli wątek romansowy, przerwany, kiedy oboje studiowali aktorstwo, a Karolina marzyła o tym, by zostać gwiazdą. Po dłuższej chwili mały japoński samochód zatrzymał się przed domem i wysiadła z niego Karolina. Wbiegła do domu z torbą zakupów, nie rozglądając się. Erlendur odczekał pół godziny, po czym podszedł pod dom i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła. Zdążyła zmienić oficjalne ubranie na nieco mniej krępujące: bluzę z polaru, szare spodnie dresowe i kapcie.

– Pani to Karolina? – zapytał Erlendur.

– Tak? – rzuciła niecierpliwie, jakby miała przed sobą komiwojażera, który jej przeszkadza.

Erlendur przedstawił się, powiedział, że jest z policji i bada niedawną sprawę śmierci w Thingvellir.

– Śmierci?

– Pewna kobieta odebrała sobie życie w Thingvellir – wytłumaczył komisarz. – Mogę na chwilę wejść?

– A co ja mam z tym wspólnego? – spytała Karolina.

Była wzrostu Erlendura. Miała ciemne, krótkie włosy nad wysokim, krągłym czołem i delikatne brwi nad ciemnoniebieskimi oczami. Z tego co Erlendurowi udało się zauważyć pod polarem i szerokimi spodniami, była szczupła, o smukłej szyi i pięknej sylwetce. Jej zdecydowany wyraz twarzy świadczył o uporze, a nawet arogancji. Zrozumiał, co Baldvin w niej widzi, ale nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. W powietrzu wisiało pytanie Karoliny.

– Znała pani jej męża – powiedział policjant. – Na imię miała Maria. Jej mąż ma na imię Baldvin. O ile wiem, byliście w Szkole Aktorskiej.

– I co z tego?

– Chciałem troszkę o tym pogadać.

Karolina wyjrzała na ulicę, zerknęła na dom sąsiadów, spojrzała na Erlendura i oświadczyła, że może będzie im wygodniej w środku. Erlendur wszedł do przedpokoju, a ona zamknęła drzwi. Dom był parterowy: pokój dzienny, jadalnia, kuchnia, do której wchodziło się przez jadalnię, toaleta i dwa pokoje po lewej stronie, zaraz za przedpokojem. Wnętrze zdobiły piękne meble, na ścianach wisiały obrazy. Pachniało mieszanką islandzkich potraw oraz słodkich kosmetyków i soli kąpielowych, a zapach ten był najsilniejszy w pobliżu dwóch pokoi i toalety. Jeden z tych pokoi lokatorka najwyraźniej wykorzystywała jako składzik, drugi jako sypialnię. Przez otwarte drzwi Erlendur zobaczył wielkie łóżko pod ścianą, toaletkę z dużym lustrem, wielką szafę i komodę.

Karolina poszła do kuchni, żeby zdjąć patelnię z palnika. Erlendur przeszkodził jej w przygotowywaniu kolacji. Zapach z kuchni rozchodził się po całym mieszkaniu. Smażona jagnięcina, pomyślał Erlendur.

– Zaparzyłam kawę – powiedziała Karolina, wróciwszy z kuchni. – Może się pan napije?

Erlendur przytaknął. Z zasady zgadzał się, gdy proponowano mu kawę. Elinborg szybko się tego nauczyła. Sigurdur Oli wciąż nie.

Karolina wniosła dwie filiżanki gorącej kawy. Piła czarną, jak Erlendur.

– Z Baldvinem poznaliśmy się w Szkole Aktorskiej u starego Johannesesa. Ale on potrafił być nudny. Znaczący Johannes. I beznadziejny aktor. W każdym razie... rozstaliśmy się z Baldvinem, kiedy zrezygnował z aktorstwa i poszedł na medycynę. Mogę spytać, dlaczego inwigiluje pan Baldvina?

– Ja nikogo nie inwigiluję – odparł Erlendur. – Natomiast słyszałem, a wie pani, jak tu się plotkuje, że się znaliście i może nawet jakiś czas temu odnowiliście tamtą znajomość.

– Gdzie pan o tym słyszał?

– Nie pamiętam, musiałbym poszukać w notatkach.

Karolina się uśmiechnęła.

– A czy to jest coś, co powinno pana obchodzić?

– Tego jeszcze nie wiem – odparł Erlendur.

– Uprzedził mnie, że może pan jeszcze do mnie zajrzy – powiedziała.

– Baldvin?

– Podjęliśmy wątek, to prawda. Nie ma potrzeby tego ukrywać. Powiedziałam mu to, a on się ze mną zgodził. Zobaczyliśmy się na spotkaniu z okazji którejś tam rocznicy ukończenia przez nasz rok szkoły. Baldvin się zjawił, chociaż z nami szkoły nie skończył. Powiedział, że stara uprzykrza mu życie, to znacząca Leonora, matka Marii. Mieszkała z nimi.

– To dlaczego nie zakończył związku małżeńskiego i nie zamieszkał z panią? Tak dziś się robi.

– Prawdę mówiąc, miał zamiar to zrobić – powiedziała Karolina. – Ja już tego nie mogłam wytrzymać i postawiłam mu warunki. Ale wtedy zachorowała ta jędza Leonora i Baldwin nie chciał tego robić Marii. Chciał stać przy niej w trudnych chwilach i tak zrobił. Najbardziej się obawiałam, że po śmierci tej czarownicy ich stosunki się poprawią. Właściwie zupełnie przestał mnie odwiedzać. Widział tylko tę swoją Marię. Ale potem mu to minęło.

– To tak Baldwin opisywał Leonorę? Jako wiedźmę?

– Już zupełnie przestał ją tolerować. To narastało z każdym rokiem. Może powinnam być jej wdzięczna... jeśli już mam być okrutna. Chciał jej się pozbyć z domu, ale Marii to przeszkadzało.

– Maria i Baldwin nie doczekali się dzieci?

– Baldwin nie może mieć dzieci, a Marii to nie interesowało – odparła Karolina.

– A kiedy chcecie oficjalnie usankcjonować wasz związek? – zapytał Erlendur.

– Zachowuje się pan jak klecha.

– Przepraszam, nie chciałem...

– Baldwin jest taktowny – powiedziała Karolina. – Chce odczekać cały rok. Powiedziałam mu, że to może trochę za długo. Ale on nie chce ustąpić. Najwcześniej za rok, tak mówi.

– A pani z tego nie jest zadowolona?

– Dobrze go rozumiem. Taka tragedia i tak dalej. Nie musimy się spieszyć.

– Maria wiedziała o waszym związku?

– Mogę zapytać, w jakiej sprawie prowadzi pan śledztwo? Czego pan szuka? Myśli pan, że Baldwin coś jej zrobił?

– Tak pani sądzi?

– Nie, za nic w świecie. Jest lekarzem! Dlaczego uważa pan, że to nie było samobójstwo?

– Ja nic nie uważam – odpowiedział Erlendur.

– Czy to jest jakieś szwedzkie badanie, czy...?

– Słyszała pani o tym?

– Baldwin coś słyszał. Nie mamy pojęcia, co się dzieje.

– Zbieram informacje, żeby zamknąć tę sprawę – powiedział Erlendur. – Wie pani, że odziedziczył po żonie setki milionów?

– Dopiero niedawno się o tym dowiedziałam. Parę dni temu mi o tym

powiedział. Jej ojciec spekulował chyba ziemią, tak?

– Tak, jej ojciec miał małą działkę w Kopavogur, która osiągnęła niebotyczną cenę. Baldwin jest jedynym spadkobiercą.

– Tak, coś o tym wspominał. Zdaje mi się, że do niedawna nic o tym nie wiedział. Tak mi powiedział.

– Słyszałem, że te pieniądze zostaną wydane na zbożny cel – powiedział Erlendur.

– Czyli?

– Na spłacenie długów.

– Baldwin miał trochę pecha na giełdzie. Tylko tyle wiem. Jakieś nieudane inwestycje, jakaś firma deweloperska, która zbankrutowała, poza tym zadłużony gabinet lekarski, który nie przynosił mu spodziewanych dochodów. Nie rozmawialiśmy wiele na ten temat. Przynajmniej do tej pory.

– Już pani nie gra, prawda? – spytał Erlendur.

– Tak, nie gram.

– Mogę zapytać dlaczego?

– W paru sztukach zagrałam. Niezbyt wielkich, ale...

– Niestety, rzadko chodzę do teatru.

– Po prostu nie dostawałam dobrych ról, moim zdaniem. To znaczy w dużych teatrach. Poza tym jest oczywiście wielka konkurencja. To dość bezlitosny świat. Człowiek zetknął się z tym już w Szkole Aktorskiej. Wiek też. Aktorka taka jak ja, w średnim wieku, nie jest szczególnie poszukiwana. Dostałam dobrą pracę w instytucji finansowej i od czasu do czasu zagram jakąś rolę, jeśli reżyser mnie pamięta.

– O ile wiem, największą pani rolę była Magdalena w tej szwedzkiej sztuce... – wtrącił Erlendur i udał, że nie pamięta tytułu.

– Kto o tym panu powiedział? Ktoś, kto mnie jeszcze pamiętał?

– Tak, moja znajoma. Na imię ma Valgerdur. Bardzo często chodzi do teatru.

– I pamiętała mnie?

Erlendur skinął głową. Zrozumiał, że nie musi się na zapas martwić wyjaśnieniami, dlaczego w ogóle rozmawia o Karolinie z innymi ludźmi. Ona widziała w tym objaw sławy, niezależnie od okoliczności rozmowy. Przypomniały mu się słowa nauczyciela aktorstwa na temat ambicji Karoliny, na temat tej upragnionej przez nią sławy. Jak on to określił? Królowa teatru?

– *Płomień nadziei* – powiedziała Karolina. – To była bardzo dobra sztuka i prawda, to była największa rola, jaką dostałam, kiedy byłam na topie, by tak rzec.

Uśmiechnęła się.

– Krytycy nie byli nią szczególnie zachwyceni, uznali to za ramotę, sztukę dla kucharek. Oni potrafią być straszni. A tak naprawdę rzadko wiedzą, o czym mówią.

– Mojej znajomej wydało się, że może pomyliła tę rolę z inną postacią, która też nazywała się Magdalena.

– Słucham?

– Tamta była spirytystką czy medium – powiedział komisarz.

Czekał na reakcję Karoliny, ale ona jakby niczego nie zauważyła. Pomyślał więc, że albo musiał pobłądzić, albo ona jest lepszą aktorką, niż powszechnie się uważa.

– Nie znam – powiedziała Karolina.

– A ja nie pamiętam, jak według niej ta sztuka miała się nazywać – powiedział Erlendur i pozwolił sobie pójść o krok dalej. – *Fałszywe medium* czy jakoś tak.

Karolina zawahała się.

– Nigdy o takiej sztuce nie słyszałam – odezwała się wreszcie. – W Narodowym ją grali?

– Nie wiem – odparł Erlendur. – Ta Magdalena wierzyła w duchy, uważała, że są równie rzeczywiste, jak my dwoje w tym salonie.

– No cóż.

– Maria w coś takiego wierzyła. Baldwin oczywiście powiedział pani o tym.

– Nie pamiętam, czy Baldwin o tym wspominał – rzuciła Karolina. – Ja nie wierzę w duchy.

– Ja też nie – dodał zgodnie Erlendur. – Nie mówił pani, że szukała wsparcia u medium?

– Nie, nic o tym nie wiedziałam. Jeśli mam być szczerą, to niewiele wiedziałam o Marii. Kiedyśmy się spotykali z Baldwinem, niewiele o niej rozmawialiśmy. Mieliśmy co innego do roboty.

– Spodziewam się – powiedział Erlendur.

– Coś jeszcze?

– Nie. Na razie wystarczy. Dziękuję bardzo.

Erlendur nie miał najmniejszych kłopotów z odnalezieniem kobiety, która romansowała z Magnusem, gdy ten dokonał żywota. Kristin podała mu jej imię, a on odszukał adres w książce telefonicznej. Rozmawiał z nią przez telefon, ale kiedy dotarło do niej, o czym komisarz chce mówić, wymigała się i Erlendur dał jej spokój. Ale potem zachęcił ją, mówiąc, że oto pojawiły się nowe informacje na temat wydarzeń w Thingvellir i śmierci Magnusa.

– Z kim pan rozmawiał? – spytała przez telefon.

– Pani imię podała mi Kristin, siostra Magnusa – powiedział Erlendur.

– I co o mnie powiedziała?

– Prawdę mówiąc, mówiła o pani i Magnusie.

Po jego słowach nastąpiła długa cisza.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli przyjedzie pan do mnie – wydukała w końcu w słuchawkę. Miała na imię Solveig, była zamężna i miała dwoje dorosłych dzieci. – W tym tygodniu w dzień jestem w domu – powiedziała.

Erlendur zjawił się u niej i od razu wyczuł, że kobieta jest bardzo ostrożna i szybko chce załatwić sprawę. Była nieco wzburzona. Stali u niej w przedpokoju. Nie zaprosiła go dalej.

– Nie wiem, co mogę panu powiedzieć – zauważyła. – Zachodzę w głowę, dlaczego pan tu przyszedł. O jakich nowych informacjach mowa?

– Na temat pani i Magnusa.

– Tak, to akurat powiedział mi pan przez telefon.

– I waszego związku.

– Kristin panu o tym powiedziała?

Erlendur skinął głową.

– Niedawno córka Magnusa popełniła samobójstwo – dodał.

– Słyszałam.

Solveig zamilkła. Rysy twarzy miała łagodne, szlachetne, była gustownie ubrana. Mieszkała w niedużym szeregowcu w Fossvogur. Była dyplomowaną pielęgniarką i w tym tygodniu przypadły jej nocne dyżury.

– Proszę na chwilę. – Jakby zawstydzona się i ruszyła przed nim do salonu.

– Przez tyle lat nikt nie pytał o tamte wydarzenia. A potem to dziecko robi coś takiego i pojawia się pan z pytaniami, jakich nikt wcześniej nie zadawał i nie powinien zadawać.

– Może na tym polegał problem – zauważył Erlendur. – Problem Marii.



Pomyślała pani kiedyś o tym?

– Nie jest pan sobie w stanie wyobrazić, ile razy o tym myślałam. Leonora otoczyła Marię troskliwą opieką. Nikt inny nie mógł się do niej zbliżyć.

– Razem wypłynęli na łódce. Magnus, Leonora i Maria.

– Czyli o tym już się pan dowiedział?

– Tak.

– Cała trójka była na łódce – potwierdziła Solveig.

– I co się stało?

– Bardzo dużo o tym myślałam. O moim związku z Magnusem. Chcieliśmy powiedzieć o tym Leonorze w Thingvellir. Mieliśmy zamiar załatwić to tak delikatnie, jak tylko możliwe. Magnus chciał mieć mnie przy sobie. Leonora i ja bardzo się przyjaźniłyśmy. Ale ja nie odważyłam się. Być może gdybym tam była, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Solveig spojrzała na Erlendura.

– Myśli pan oczywiście, że jestem wstrętna – powiedziała.

– Ja nic nie myślę.

– Leonora była zaradna. Zawsze. Rozpychała się łokciami. Całkowicie rządziła życiem Magnusa. Jak jej się coś nie podobało, waliła prosto z mostu, nawet przy innych. Magnus poszukał u mnie pocieszenia. To był dobry człowiek. Zaczęliśmy się potajemnie spotykać. Nie wiem, co się stało. Zakochaliśmy się w sobie. Może na początku mu współczułam. Chcieliśmy razem zamieszkać. Chcieliśmy skłonić Leonorę, żeby to zrozumiała. Nie chciałam ukrywać romansu, nie chciałam jej oszukiwać i spiskować przeciwko niej. Chciałam, żeby to było jawne. Przeszkadzało mi... przeszkadzało mi takie obgadywanie za plecami. On jednak wolał poczekać, zanim jej wszystko powie. Ja naciskałam na niego. I postanowiliśmy, że o wszystkim powie jej w tamten weekend w Thingvellir.

– Leonora niczego nie podejrzewała?

– Nie. Niczego. Taka była. Łatwowierna. Ufała ludziom. A ja zawiodłam jej zaufanie. Magnus także.

– Spotkała pani Leonorę po wypadku?

Solveig przymknęła oczy.

– Poprawi się panu samopoczucie, jak pan się tego dowie? – spytała. – Swego czasu przeprowadzono w tej sprawie śledztwo. Wszystko zostało wyjaśnione. I nikt potem nie zadawał pytań. Jeśli ktoś miał to zrobić, to ja, ale nigdy tego nie zrobiłam.

– Spotkała pani Leonorę?

– Tak. Raz. To było straszne. Horror. Jakiś czas po pogrzebie Magnusa. Nie

wiedziałam, czy zdążył jej o nas powiedzieć przed śmiercią, i na pogrzebie zachowywałam się, jakby nic między nami nie było. Ale natychmiast zauważyłam, że Leonora mnie unika. Nie przywitała się. Zachowywała się tak, jakbym nie istniała. Wtedy pojęłam, że Magnus jej powiedział.

– To ona chciała się spotkać czy...?

– Tak, zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym przyjechała do Grafarvogur. Przyjęła mnie bardzo chłodno.

Solveig przerwała na chwilę. Erlendur cierpliwie czekał. Czuł, że te wspomnienia o dawnych wydarzeniach nie wpływają na nią najlepiej.

– Leonora powiedziała mi, że Maria jest w szkole, a ona chce mi opowiedzieć, co się wydarzyło nad jeziorem. Odpowiedziałam, że nie muszę tego widzieć. Roześmiała się i oświadczyła, że tak łatwo się nie wywinę. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

Magnus mi o was powiedział – zaczęła Leonora. – Powiedział, że chcieliście razem zamieszkać i że chce ode mnie odejść.

– Leonoro – powiedziała Solveig. – Ja...

– Zamknij się. – Leonora nie podniosła głosu. – Opowiem ci, jak to było. Są dwie rzeczy, które musisz zrozumieć. Po pierwsze, musiałam chronić moje dziecko, a po drugie, musisz zrozumieć, że to była twoja wina. Twoja i Magnusa. Wyście to wszystko sprawili.

Solveig milczała.

– Co ty sobie wyobrażałaś? – warknęła Leonora.

– Nie chciałam cię skrzywdzić – powiedziała Solveig.

– Skrzywdzić? Nie masz pojęcia, co zrobiłaś.

– Magnus źle się czuł. – Solveig broniła się. – Dlatego przyszedł do mnie. Źle się czuł.

– Kłamiesz. Wcale się źle nie czuł. Zabrałaś mi go, zwabiłaś do siebie.

Solveig milczała.

– Nie chcę się z tobą kłócić – powiedziała cicho po chwili.

– Nie, to już mamy z głowy – szydziła Leonora. – Teraz już nikt tego nie zmieni. Ale nie chcę sama ponosić za to odpowiedzialności. Ty też ją ponosisz. I Magnus. Wy oboje.

– Za taki wypadek nikt nie ponosi odpowiedzialności. Wypadł z łódki. To był wypadek.

Leonora uśmiechnęła się tajemniczo. Wydawało się, że jest w jakimś dziwnym stanie. W domu było ciemno i zimno, a Leonora wyglądała na jakby nieobecna. Solveig pomyślała sobie, że może piła albo bierze jakieś silne leki.

- On nie wpadł do wody – powiedziała.
  - To znaczy?
  - Nie wpadł.
  - Ale... czytałam w gazetach...
  - To, co było w gazetach, to same kłamstwa.
  - Kłamstwa?
  - Z powodu Marii.
  - Nie rozumiem.
  - Dlaczego musiałaś mi go zabierać? Dlaczego nie mogłaś zostawić go w spokoju?
  - Leonoro, to on do mnie przyszedł. Co to za kłamstwa z powodu Marii?
  - Nie rozumiesz? Byłam z Magnusem na łódce. I Maria była z nami.
  - Z wami... ale...
- Solveig wbiła wzrok w Leonorę.
- Magnus sam był na łódce – powiedziała nieśmiało. – Tak podawali we wszystkich wiadomościach.
  - To kłamstwo – odparła Leonora. – Moje kłamstwo. Byłam z Magnusem i Maria też.
  - Dlaczego... dlaczego musiałaś skłamać...? Dlaczego...?
  - Właśnie ci mówię. Magnus nie wypadł z łódki.
  - Tylko co?
  - Szturchnęłam go – powiedziała Leonora. – Popchnęłam, a on stracił równowagę.

Sporo czasu minęło, aż Solveig znów się odezwała. Erlendur słuchał w milczeniu jej opowieści i czuł, jak jej ciężko z powodu tego, co się stało.

– To Leonora pchnęła Magnusa i wpadł do wody – powiedziała. – Patrzyły, jak tonie. Magnus powiedział Leonorze o mnie. Z samego rana bardzo się pokłócili. Maria nic o tym nie wiedziała, poprosiła ich, żeby zabrali ją na łódkę. Magnus był wściekły. Znów zaczęli się kłócić. I potem nagle nawalił silnik. Kłótnia robiła się coraz bardziej zażarta. Magnus wstał, żeby sprawdzić silnik. Leonora pchnęła go i już nic nie dało się zrobić... Wpadł do wody.

Leonora patrzyła w milczeniu na Solveig.

- Nie mogłyście go uratować? – spytała Solveig.
- Nic nie mogłyśmy zrobić. Łódka się rozhuśtała i robiłyśmy wszystko, żebyśmy same nie wypadły. Łódka oddalała się od Magnusa, a kiedy przestała się kołysać, już zniknął pod wodą.

- Dobry Boże – jęknęła Solveig.
- Widzisz, co narobiłaś – powiedziała Leonora.
- Ja?
- Dziewczynka jest załamana. Obwinia się o to, co się stało z jej ojcem. O kłótnię. O wszystko. Bardzo to wzięła do siebie. Uważa, że to ona jest częściowo winna śmierci swego ojca. Jak myślisz, jak ona się z tym czuje? Jak ja się czuję?
- Musisz porozmawiać z lekarzem, psychologiem. Ona potrzebuje pomocy.
- Zaopiekuję się Marią. A jak gdzieś z tym pójdziesz, wszystkiego się wyprę.
- Dlaczego mi o tym mówisz?
- Bo nie jesteś bez winy. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Ponosisz za to taką samą odpowiedzialność jak ja!

Solveig skończyła, a Erlendur długo patrzył na nią w milczeniu.

– Dlaczego nie poszła pani na policję? – spytał w końcu. – Co stało na przeszkodzie?

– Uważałam... uważałam, że częściowo ponoszę za to winę, jak to ujęła Leonora. Za to, co się stało. Szybko mi to wytknęła. „To twoja wina”, wyszczała mi w twarz. „To twoja wina. Wszystko to twoja wina. Ty to sprowokowałaś”. Całą swoją wściekłość skierowała na mnie. Odchodziłam od zmysłów ze strachu, z żalu i z powodu jakiejś dziwnej uległości wobec Leonory. To wszystko mnie przerastało, kompletnie przerastało. To był dla mnie straszny szok. Byłam wobec tego wszystkiego bezradna. A do tego jeszcze biedna Maria. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że opowiadam prawdę o jej matce. Nie mogłam. Ona...

– Tak?

– To było tak absurdalne, że nie chciałam wierzyć, nie wierzyłam, że to się wydarzyło.

– Brała pani pod uwagę dobro dziecka? – dopytał Erlendur.

– Mam nadzieję, że rozumie pan moją sytuację. Nie chciałam nikogo karać. Jakkolwiek by na to patrzeć, był to wypadek. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby wątpić w słowa Leonory. Powiedziała mi, że rozstaje się z Marią tylko wtedy, kiedy mała jest w szkole.

– Ciężko było z tym żyć? – spytał komisarz.

– Łatwo nie było, to prawda. Proszę sobie wyobrazić, jak im było ciężko, zwłaszcza Marii. Kiedy się dowiedziałam, że targnęła się na swoje życie, to... właściwie nawet się nie zdziwiłam. Ja... obwiniałam siebie o to, że

pozwoliłam, aby to się wydarzyło. Że pozwoliłam Leonorze zrobić to, co zrobiła. Że pozwoliłam, żeby o tym nie powiedziała.

– A o co pokłócili się na łódce?

– Magnus powiedział, że bez względu na wszystko chce się wynieść. To samo, co i mnie mówił. Dostyc miał jej bezczelności, nie znosił jej, powiedział, że pozostało tylko ustalić opiekę na Marią. Leonora zagroziła, że nie pozwoli mu spotykać się z córką. Pokłócili się o nią, a Maria siedziała obok i słuchała. Może to zrozumiała, że dziewczynka o wszystko obwiniała siebie.

– Spotkała pani kiedyś potem Leonorę lub Marię?

– Nie. Nigdy. Ani jednej, ani drugiej.

– Nie było świadków tego zdarzenia?

– Nie.

– Jacyś turyści?

– Nie. Żadnych. Ci byli tydzień wcześniej. Byliśmy z Magnusem sami w domku. O ile pamiętam, wykorzystaliśmy to miejsce dwa razy do potajemnych spotkań. Wtedy spotkał kobietę, o której bardzo dużo mówił, dlatego że interesowała się jeziorami i objeżdżała te wokół Reykjavíku. I to było tuż koło domku. Sprawdziała mapę, bo chciała się dostać nad Sandkluftavatn. Pamiętam to dobrze, bo nigdy wcześniej nie słyszałam tej nazwy.

– Była samochodem? – zainteresował się Erlendur.

– Tak, o ile pamiętam.

– Jakim?

– Był żółty.

– Żółty? Na pewno?

– Tak. Nazywa się mini coś tam. Przez krzaki widziałam, jak odjeżdża.

– Myśli pani, że to była kobieta, którą spotkał Magnus? – Erlendur przesunął się na przód krzesła. – Ta, która była w tym samochodzie?

– Tak myślę, to było zaraz przy domku.

– Mini? Chodzi o austin mini?

– Chyba tak. To był bardzo mały samochód.

– Żółty austin mini?

– Tak, a co?

Erlendur wstał.

– Jechała nad Sandkluftavatn?

– Boże, tak. O co chodzi?

– Ktoś z nią był?

– Nie wiem. O co chodzi? Co takiego powiedziałam?

- Czy to możliwe, że był z nią młody człowiek?
- Nie wiem. Co to za ludzie? Zna ich pan? Wie pan kto to?
- Nie – odparł Erlendur. – Niewykluczone. Nie, raczej nie. Sandkluftavatn, powiada pani?
- Tak, Sandkluftavatn.

Co wiedział na temat jeziora Sandkluftavatn? Przejechał obok niego z Evą Lind, nie zwracając szczególnej uwagi na to miejsce. Położone było o jakąś godzinę jazdy od Reykjavíku, przy drodze położonej nieco na północ od Thingvellir, między górami Armansfell a Lagafell, przed wjazdem na wyżynę Blaskogaheidi. Od północy strzegła go potężna góra Skjaldbreidur.

Nurek miał na imię Thorbergur i dobrze znał jeziora na południu, wiele ich spenetrował. Kiedyś pracował w straży pożarnej i pomagał policji przy śledztwach związanych z przemytem. Nurkował też w portach w poszukiwaniu zaginionych osób. Był wzywany, kiedy policja otrzymywała zgłoszenia o osobach zaginionych i trzeba było przeszukać plaże i nurkować w morzu i jeziorach. Ale potem zrezygnował z zawodu nurka i zajął się naprawianiem samochodów. Teraz to było jego główne zajęcie. Założył warsztat. Erlendur zajeżdżał czasem do niego na wymianę oleju. Thorbergur miał niemal dwa metry wzrostu, a Erlendur zawsze uważał go za trolla – z powodu rudych włosów i brody, długich pływackich ramion i silnych zębów, które często wyzierały spod brody, bowiem Thorbergur lubił pożartować i często się śmiał.

– Macie nurków, którzy dla was pracują – powiedział. – Dlaczego do nich się nie zgłosisz? Ja już w to się nie bawię. Wiesz przecież.

– Tak, wiem – odparł Erlendur. – Po prostu przyszło mi do głowy, żeby z tobą pogadać, bo... ale sprzęt jeszcze masz?

– No.

– I ponton?

– Tak. Ten mały.

– I czasem nurkujesz, choć dla nas przestałeś pracować?

– Niedużo.

– Bo to jest, jak by to powiedzieć, nieoficjalne śledztwo – tłumaczył Erlendur. – To jest raczej taki mój kaprys. Zapłacę z własnej kieszeni, jeśli się zgodzisz.

– Nie mogę od ciebie wziąć pieniędzy.

Thorbergur westchnął. Erlendur wiedział, dlaczego rzucił pracę dla policji. Miarka się przebrała, kiedy pewnego dnia nurkował po zwłoki kobiety, które znaleziono w porcie w Reykjavíku. Zaginięcie zgłoszono trzy tygodnie wcześniej i kiedy udało mu się odnaleźć jej zwłoki, były w stanie rozkładu.

Nie chciał więcej czegoś takiego oglądać. Nie chciał zrywać się w nocy, obraz kobiety powracał w sennych koszmarach.

– To sprawa zaginięcia sprzed wielu lat – powiedział Erlendur. – Bardzo stara. Młodzi ludzie. Najpewniej dwoje. Po dekadach ciszy wczoraj wpadłem na pewien trop. Wprawdzie jest to dość wąta poszlaka, ale pomyślałem, że przynajmniej z tobą porozmawiam. Dla spokoju sumienia.

– To znaczy, że chcesz zarazić i moje sumienie – stwierdził Thorbergur.

– Nikt inny nie przyszedł mi do głowy. Nie znam nikogo, kto by się lepiej do tego nadawał.

– Wiesz, że ja już tego nie robię. Teraz nurkuję tylko pod maski.

– Doskonale cię rozumiem – odparł Erlendur. – Sam dawno bym to rzucił, gdybym umiał coś innego.

– A co to za trop?

– W tej sprawie?

– No.

– Zawsze myśleliśmy, że to dwa osobne zaginięcia, ale niewykluczone, że byli razem, kiedy zniknęli. Młody człowiek w ostatniej klasie liceum i nieco starsza dziewczyna, studentka biologii na uniwersytecie. W zasadzie nic ich nie łączy, ale osobno także nie udało się ich odnaleźć. Sprawa leżała więc odłogiem przez dekady. Aż do niedawna. Wczoraj dowiedziałem się, że kobieta, która miała na imię Gudrun, a mówiono jej Duna, była najprawdopodobniej w Thingvellir i miała zamiar pojechać nad Sandkluftavatn. Dzisiaj rano przyjrzałem się datom. Bo kobietę najprawdopodobniej widziano w Thingvellir późną jesienią. I prawdopodobnie była sama. A młodzi zaginęli dopiero kilka miesięcy później. Zaginięcie chłopaka zgłoszono pod koniec lutego 1976. Jej zaginięcie zgłoszono w połowie marca. Od tego czasu nic o nich nie wiadomo, co też nie jest normalne; dwa przypadki w tak krótkim czasie i żadnego śladu. Zazwyczaj jakiś trop zostaje. W tych wypadkach nie ma nic.

– Ludzie w tym wieku, koło dwudziestki, raczej nie bywają razem – zauważył Thorbergur – jeśli dziewczyna jest starsza.

Erlendur skinął głową. Czuł, że nurek połknął haczyk.

– No właśnie – przyznał mu rację. – Tych dwoje nic nie łączyło.

Siedzieli w biurze Thorbergura, w jego warsztacie. Trzech pracowników uwijało się przy samochodach, zerkając czasem w stronę biura. Było całe przeszklone, jak akwarium, i dobrze widoczne z warsztatu. Telefon regularnie dzwonił, przeszkadzając w rozmowie, ale Erlendur zachowywał spokój.



– Sprawdziłem też, jaka była pogoda tamtej zimy – powiedział. – To była wyjątkowo chłodna zima. Większość jezior zamarła.

– Widzę, że już masz własną teorię.

– Tak, ale ona wisi na włosku.

– I nikt nie powinien o tym wiedzieć?

– Nie ma co komplikować sprawy – powiedział Erlendur. – Jak coś znajdziesz, to zadzwoń do mnie. Jeśli nie, to sprawa pozostaje martwa.

– Nigdy dotąd nie nurkowałem w Sandkluftavatn – przyznał Thorbergur. – Latem jest za płytkie i nie chce być głębsze, chyba że przy roztopach. W tamtej okolicy są też inne jeziora. Litla-Brunnavatn, Reydarvatn, Uxavatn.

– Oczywiście.

– Jak oni się nazywali? Ci ludzie?

– David i Gudrun. Mówiono jej Duna.

Thorberg spojrział na warsztat. Właśnie przyjechał nowy klient i patrzył w ich stronę. Stały klient. Thorbergur kiwnął do niego głową.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – Erlendur wstał. – Czas trochę mnie nagli. Stary człowiek leży na łożu śmierci i czeka na odpowiedź od dnia, gdy zaginął jego syn. Dobrze byłoby przekazać mu jakieś wieści, zanim pożegna ten świat. Wiem, że prawdopodobieństwo nie jest wielkie, ale nie mam nic więcej i muszę spróbować.

Thorbergur przyjrzał mu się uważnie.

– Czekaj, chcesz, żebym ja tam zaraz zszedł?

– Może nie przed południem.

– Dzisiaj?

– Ja... tylko jeśli możesz. Myślisz, że zdołasz wyświadczyć mi tę przysługę?

– A co ja tu mam do gadania?

– Dzięki. – Erlendur uśmiechnął się. – Zadzwoń do mnie.

Trudno było odnaleźć domek letniskowy i Erlendur dwukrotnie przejechał obok zjazdu, nie zauważając go. W końcu jednak dojrzał tabliczkę, którą zasłoniły krzaki. „Słoneczna Łąka”. Zjechał nad jezioro i zaparkował przy domku.

Tym razem wiedział, czego szukać. Był sam i nikomu nie zdradził swoich zamiarów. I nie robi tego, zanim cała sprawa się nie wyjaśni. O ile kiedykolwiek to nastąpi. Wciąż wiele było niewiadomych, brakowało mu dowodów, wciąż nie miał pewności, czy postępuje słusznie.

Rozmawiał z lekarzem sądowym, który przeprowadzał sekcję Marii, i zapytał, czy na krótko przed śmiercią brała leki nasenne. Anatomopatolog

potwierdził, że znalazł je w treści żołądkowej, ale ilość była na tyle nieduża, że nie ma związku ze śmiercią. Dlatego komisarz zapytał, czy da się określić, jak długo przed zgonem Maria zażyła te środki, ale odpowiedź okazała się raczej mało przydatna: tego samego dnia.

– Myślisz, że zostało popełnione przestępstwo? – zapytał anatomopatolog.

– Właściwie nie – odparł Erlendur.

– Zauważyłeś może ślady po oparzeniach na jej klatce piersiowej? – spytał komisarz z wahaniem.

Otwarty raport z autopsji leżał na biurku przed anatomopatologiem. Siedzieli u niego w gabinecie. Podniósł wzrok znad raportu.

– Ślady po oparzeniach?

– Albo jakieś inne obrażenia – pospiesznie dodał Erlendur.

– A czego szukasz?

– Sam nie wiem.

– Dowiedziałbyś się o tym, gdybyśmy znaleźli jakieś ślady po oparzeniach – powiedział lekarz poważnie.

Erlendur nie miał kluczy od domku letniskowego, ale to nie miało znaczenia, interesował go taras, jacuzzi i odległość do jeziora. Przy brzegu była cienka warstwa lodu, a woda bulgotała wśród pokrytych szadzią kamieni. Nieopodal niewielka łacha piasku wrzynała się w jezioro, przecięta przez zamrożony strumyk. Erlendur wyjął niewielką probówkę, którą pożyczyła mu Valgerdur, i napełnił ją wodą z Thingvallavatn. Odliczył kroki od brzegu do tarasu, pięć kroków, a od krawędzi tarasu do jacuzzi sześć. Jacuzzi miało pokrywę z pleksi i aluminium, zamkniętą na małą, zwykłą kłódkę. Przyniósł klucz do kół i walił nim w kłódkę, dopóki nie puściła. Potem podniósł pokrywę. Była bardzo ciężka. Aby pozostawała otwarta, należało zaczepić ją do haka w ścianie. Erlendur nie za bardzo wiedział, czym jest jacuzzi. Nigdy czegoś takiego nie używał i zupełnie go to nie interesowało. Spodziewał się, że jacuzzi nie było używane od samobójstwa Marii.

Zanim wyjechał ze stolicy, odwiedził sklep z materiałami budowlanymi i uciął sobie rozmowę z pracownikiem, który wyglądał na eksperta. Erlendura interesował odpływ i sposób napełniania jacuzzi. „Opróżniania i napełniania”, powiedział. Sprzedawca z początku okazał zainteresowanie, ale zauważywszy, że Erlendur nie ma zamiaru nic kupić, rychło przestał zachwalać towar i stał się bardziej rzeczowy. Pokazał Erlendurovi popularny rodzaj jacuzzi z komputerową regulacją opróżniania i napełniania, powiedział, że te najlepiej się sprzedają. Erlendur cmoknął.

– I to jest najlepszy system? – zapytał.

Sprzedawca się skrzywił.

– Wiele osób woli to robić manualnie – powiedział.

– Manualnie? – powtórzył Erlendur, patrząc na sprzedawcę. Ledwo chyba z pieluch wyrósł, z tym swoim meszkiem pod nosem.

– Tak, sami wolą odkręcać kran i zakręcać, kiedy jacuzzi się napełni. To jak napełnianie wanny. Temperaturę reguluje się, używając kranów z gorącą i zimną wodą.

– A jeżeli nie robi się tego manualnie?

– Wtedy instaluje się panel, najczęściej w łazience, naciska się guzik i jacuzzi zaczyna się napełniać wodą o danej temperaturze. Potem naciska się inny przycisk i jacuzzi się opróżnia.

– To znaczy, że wlew do jacuzzi jest w innym miejscu niż odpływ?

– Nie, w tym samym. Woda wysysana jest na zewnątrz przez otwór z sitkiem w dnie, a kiedy trzeba napełnić, wlewa się ją przez ten sam otwór.

– Ale chyba nie ta sama woda?

– Oczywiście, że nie. Przez sitko wlewa się świeża woda, ale niektórzy uważają to za wadę. Ja bym sobie czegoś takiego nie kupował.

– A co to za wada?

– Że odpływ i wlew to ta sama rura.

– Dlaczego?

– Rura ma się sama oczyszczać, ale czasem pozostają w niej nieczystości. Coś, co zalega w rurze, rozumiesz. Dlatego ludzie wolą to robić manualnie. Może to tylko jakieś brednie. Niektórzy twierdzą, że to doskonały system.

Po pogawędce ze sprzedawcą odbył krótką rozmowę telefoniczną z technikiem policyjnym, który dowodził ekipą zabezpieczającą ślady w domku. Pamiętał, że w łazience było jakieś niewielkie urządzenie sterujące napełnianiem i wypróżnianiem jacuzzi.

– Czyli jacuzzi jest sterowane komputerowo?

– Tak mi się wydaje – powiedział technik. – Ale musiałbym się temu przyjrzeć.

– Jakie są korzyści ze zdalnego sterowania?

– No, człowiek nie musi tego robić manualnie – powiedział technik i zdziwił się nieco, kiedy Erlendur głośno jęknął w słuchawkę i rozłączył się bez pożegnania.

Erlendur dłuższą chwilę oglądał jacuzzi. Szukał kranów, ale ich nie znalazł. Sprzedawca powiedział mu, że mogą się znajdować gdziekolwiek w pobliżu jacuzzi, najczęściej w podłodze tarasu. Erlendur jednak nie znalazł żadnej

kłapy, pod którą mogłyby być kurki. Zakładał, że napełnianie może być sterowane, jak twierdził technik. Wszedł do jacuzzi. Pochylił się nad sitkiem i udało mu się je zdjąć. Był już zmierzch, ale Erlendur miał przy sobie latarkę. Oświetlił wylew. W rurze znalazł nieco lodu. Wyciągnął drugą próbkę i upchał do niej wyrwaną grudkę lodu z rury.

Przykrył jacuzzi ciężką pokrywą z pleksi i zamknął na zepsutą kłódkę.

Obszedł domek. Na jego tyłach znalazł szopę. Pomyślał, że tutaj przechowywana jest łódka. Przyłożył twarz do niewielkiego okna i rzeczywiście w środku zauważył łódkę. Zastanawiał się, czy to ta sama łódka, na której kiedyś, pamiętnego dnia, znaleźli się Magnus i Leonora. Przy szopie hangarze składowano drewno do kominka.

Szopa zamknięta była na małą kłódkę, z którą Erlendur poradził sobie bez problemu, podobnie jak z poprzednią. Oświetlił wnętrze. Łódka była stara i zniszczona, jakby od dawna jej nie używano. Po obu stronach pod ścianami stały warsztaty, a przy ścianie szczytowej były półki od ziemi po sufit. Na jednej z nich, tuż przy podłodze, zauważył stary silnik zewnętrzny marki Husqvarna.

Erlendur oświetlił półki i podłogę. W szopie znajdowały się rozmaite narzędzia ogrodowe jak taczki czy łopaty, butla gazowa, grill, puszki z farbą i z impregnatami do drewna i różne narzędzia. Erlendur nie miał bladego pojęcia, czego szuka, i dopiero po jakimś kwadransie poszukiwań w szopie i obejrzeniu każdego jej zakamarka doznał olśnienia.

Urządzenie zostało umieszczone dość poręcznie. Nic nie wskazywało, aby starano się je ukryć, wręcz przeciwnie, ale też w żaden sposób nie rzucało się w oczy. Było częścią wyposażenia, częścią bałaganu, niemniej przyciągało uwagę, kiedy tylko dotarło do komiasarza, czego szuka.

Oświetlił je latarką. Pudło wielkości i grubości aktówki. Niepozorne, jednak wzbudzało niemiłe wspomnienia z czasów, kiedy niemal zamarzył na śmierć na wrzosowisku we wschodniej części kraju.

*Leonora zawsze powtarzała, że wypadek to ich tajemnica i nikt nie może się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło. Pewno by je rozdzielono. Najlepiej będzie dla nich obu, jak nie będą rozmawiać na temat tego potwornego zdarzenia. Wypadki się zdarzają i nikt nie jest im winien, a to jeden z nich. Niczego się już nie da zmienić, niczego nie osiągnie się, mówiąc o tym, co się wydarzyło naprawdę na łódce. Maria usłuchała matki i pokładała w niej całą swą ufność. Dopiero o wiele później skutki kłamstwa zaczęły wychodzić na jaw. Życie Marii nie mogło już być takie samo, niezależnie od tego, jak bardzo chciała tego jej matka. Już*

nigdy nie wróciło do normy.

W miarę upływu czasu Maria uwolniła się od halucynacji i depresji, na które cierpiała po stracie ojca, do pewnego stopnia opanowała nawet fobie, ale poczucie winy cały czas w niej drzemało i do końca życia nie było dnia, aby nie myślała o tamtych wydarzeniach na Thingvallavatn. To się mogło zdarzyć o każdej porze. Nauczyła się dławić te myśli w zarodku, ale ciągle powracały. Czuła się okropnie, nie mogąc opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, nie mogąc zdjąć z siebie ciężaru i wyjawić wszystkiego, więc czasem myślała o tym, by popełnić samobójstwo, zakończyć swój nędzny żywot i cierpienia. Nic nie było bardziej dotkliwie niż przygniatająca cisza, która nieustannie na nią krzyczała, czasem kilka razy dziennie.

Marii nie dane było opłakać ojca w normalny sposób, nie miała możliwości go pożegnać, nigdy nie wolno jej było za nim tęsknić. To było dla niej najbardziej bolesne, ponieważ bardzo go kochała, a on zawsze był dobry dla swojej małej córeczki. Nie miała już żadnych wspomnień o nim sprzed tego wydarzenia. Nie mogła sobie pozwolić na taki zbytek.

– Wybacz mi – szepnęła Leonora.

Maria jak zwykle siedziała przy łóżku matki. Obie wiedziały, że zbliża się koniec.

– Co? – spytała.

– To... wszystko był błąd. Od samego początku. Ja... Wybacz mi.

– Nic się nie stało – uspokajała ją Maria.

– Nie... stało się. Myślałam, że... Myślałam o tobie. Zrobiłam to dla ciebie. Ty... musisz to zrozumieć. Nie chciałam, aby cokolwiek... cokolwiek ci się stało.

– Wiem – powiedziała Maria.

– Ale... ja... nie powinnam była ukrywać tego wypadku.

– Chciałaś mojego dobra – powiedziała Maria.

– Tak. Ale to było egoistyczne z mojej strony...

– Nie – przekonywała ją Maria.

– Możesz mi wybaczyć?

– Nie przejmuj się tym teraz.

– Możesz?

Maria milczała.

– Powiesz o tym, co się stało, po mojej śmierci?

Maria nie odpowiedziała.

– Powiedz... o tym... – Leonora westchnęła. – Proszę... dla samej siebie... Opowiedz o tym... Opowiedz o tym wszystkim.

Przez kolejne dwa dni Erlendur gromadził dalsze informacje potwierdzające jego wersję wydarzeń w domku letniskowym w wieczór, gdy znaleziono Marię martwą. Nie był jeszcze gotów, aby przedstawić swoje domysły, i zastanawiał się, czy lepiej porozmawiać z Baldwinem i Karoliną osobno, czy razem. Nikomu nie zwierzał się ze swojego śledztwa. Sigurdur Oli i Elinborg wiedzieli, że czymś jest bardzo zajęty, ale nie mieli pojęcia co to takiego, a Valgerdur rozmawiała z nim rzadziej niż zwykle. Sprawa zaprzętała wszystkie jego myśli. Czekał również na telefon z Sandkluftavatn, lecz bez skutku.

Poza tym w ostatnich dniach ogarnęła go tęsknota, która czasem go nachodziła, żeby wyjechać na wschód do opuszczonych ruin i ruszyć na wrzosowisko.

Siedział w domu nad miską z owsianką i nad marynowaną wątrobianką, gdy nagle usłyszał pukanie do drzwi. Poszedł do przedpokoju i otworzył Valgerdur. Pocałowała go w policzek i wślizgnęła się do mieszkania. Zdjęła płaszcz, położyła go na krześle i usiadła obok Erlendura w kuchni.

– Zupełnie przestałeś się do mnie odzywać – powiedziała, sięgając do wazy po owsiankę. Erlendur odkroił Valgerdur kawałek wątrobianki. Uważał, że nie jest dość kwaśna. Zażyczył sobie, by wyciągnięto ją z dna wiadra z marynatą w stoisku mięsnym, a obsługujący go młodzieniec zrobił to z niechęcią. Najwyraźniej nie bawiło go grzebanie w marynacie. Przy okazji Erlendur kupił kiełbasę z baranich połówiczek, łopatkę baranią i trochę mięsa z wędzonych łbów baranich w galarecie.

– Byłem zajęty w pracy – odpowiedział Erlendur.

– A co ty tam pichcisz?

– Ciągłe to samo.

– Zjawy i duchy?

– No. Coś takiego. Kawy?

Valgerdur skinęła głową, a on wstał, żeby zaparzyć. Powiedziała, że jest jakiś zmęczony, i spytała, czy ma zaległy urlop. Odparł, że zostało mu mnóstwo wolnych dni, ale dotychczas nie miał pomysłu, co z nimi zrobić.

– A jak się udało spotkanie, spotkanie z Halldorą?

– Raczej źle – odpowiedział. – Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby się z nią spotykać. Jest tyle spraw, co do których nigdy nie dojdziemy do

porozumienia.

– Co to za sprawy? – ostrożnie spytała Valgerdur.

– Aj, nie wiem. Różne.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

– Uważam, że to na nic. Ona jest przekonana, że nie postąpiłem wobec niej uczciwie.

– A nie postąpiłeś?

Erlendur skrzywił się. Stał przy ekspresie i Valgerdur zwróciła się w jego stronę.

– To zależy może od tego, jak na to patrzeć – odparł.

– Jak to? – spytała Valgerdur.

Ciężko westchnął.

– Ona szczerze oddała się małżeństwu. Ja nie. To jest ta wielka zdrada. Że nie poświęciłem się naszemu związkowi.

– Wiesz, Erlendurze, chyba nie chcę tego słuchać – przerwała Valgerdur. – To nie jest moja sprawa. Dawno minęła i nas nie dotyczy. Podobnie jak naszego związku.

– Tak, wiem. Ale... może lepiej coś rozumiem. Ona o tym cały czas rozmyślała, przez wszystkie te lata. I myślę, że stąd jej wściekłość.

– Z bezwzajemnej miłości?

– W każdym razie tak mówi. Halldora była uczciwa we wszystkim, co robiła. Ja nie byłem.

Erlendur nalał gorącej kawy do dwóch filiżanek i usiadł przy stoliku kuchennym.

– Źle dawać miłość temu, kto jej nie odwzajemni. – Valgerdur westchnęła.

Erlendur spojrzał na nią.

– Tak, chyba tak – przytaknął i zmienił temat: – Powoli poznaję teraz pewien związek i właściwie nie wiem, co z tym począć. To wydarzenia, które rozegrały się wiele lat temu. Kobieta imieniem Solveig zaczęła romansować z mężem swojej najbliższej przyjaciółki. Ten związek skończył się tragicznie.

– Mogę zapytać, co się stało?

– Nie wiem, czy to kiedykolwiek zostanie ujawnione – odparł komisarz.

– Przepraszam, oczywiście nie wolno ci o tym rozmawiać z byle kim.

– Nie, w porządku. Mężczyzna umarł, utonął w Thingvallavatn. Pytanie, jaki udział miała w tym żona. I jak wielką część winy wzięła na siebie córka.

– Jak to?

– Może być niemała – wyjaśnił Erlendur. – Córka wmieszała się w ich kłótnię.

- I musisz coś z tym zrobić? – spytała Valgerdur.
- Myślę, że nic z tego nie będzie. – Erlendur umilkł.
- A co z tymi twoimi wolnymi dniami, nie chciałbyś ich wykorzystać? – Valgerdur przerwała ciszę.
- Powinienem.
- Masz jakiś pomysł?
- Mógłbym się na kilka dni zagubić.
- Zagubić? – Valgerdur zdziwiła się. – Ja myślałam może o Kanarach albo o czymś takim.
- Jest mi to zupełnie obce.
- Jak to jest, wyjeżdżałeś kiedykolwiek z Islandii? Byłeś kiedyś za granicą?
- Nie.
- Masz ochotę?
- Nie bardzo.
- Wieża Eiffla, Big Ben, Empire State Building, Watykan i Rzym, piramidy...?
- Czasem chciałbym zobaczyć katedrę w Kolonii.
- To dlaczego nie pojedziesz?
- Aż tak bardzo mnie to nie interesuje.
- A jak mówisz „zagubić się”, co masz na myśli?
- Ciągnie mnie w rodzinne strony – odpowiedział Erlendur. – Zniknąć na kilka dni. Czasem tak robiłem. Hardskafi...
- Tak?
- Ona jest moją wieżą Eiffla.

Karolina nie wydawała się zdziwiona, widząc ponownie Erlendura w Kopavogur, i zaprosiła go do środka. Trochę śledził ją przez kilka dni i doszedł do wniosku, że kobieta prowadzi raczej mało urozmaicone życie, do pracy przyjeżdża na dziewiątą, do domu wraca koło osiemnastej. Zatrzymuje się po drodze do domu przy sklepiku osiedlowym i robi zakupy. Wieczory spędza w domu, oglądając telewizję lub czytając. Jednego wieczoru odwiedziła ją przyjaciółka. Wtedy zasłoniła okna. Erlendur siedział cierpliwie w swoim aucie i widział, jak tuż po północy przyjaciółka wychodzi. Poszła do końca ulicy w czerwonym, długim płaszczu i zniknęła za rogiem.

– Dalej się pan babrze w tym wypadku żony Baldvina? – spytała bez zbędnych wstępów, wprowadziwszy komisarza do salonu. Pytanie zostało zadane w taki sposób, jakby odpowiedź ją niespecjalnie interesowała. Karolinie najwyraźniej zależało na tym, aby sprawić wrażenie, że dwukrotna



wizyta policjanta w jej domu w krótkim czasie nie robi na niej wrażenia. Erlendur nie wiedział, czy to nie gra.

– Rozmawialiście z Baldvinem, prawda? – zapytał.

– Oczywiście. Śmiesz nas to. Czy usiłuje pan twierdzić, że zrobiliśmy Marii coś złego?

Pytanie zostało postawione w taki sposób, jakby odpowiedź nie miała znaczenia, bowiem podejrzenia Erlendura są zbyt zbyt absurdalne, by traktować je poważnie.

– A to niedorzeczność?

– Niedorzeczność – odparła Karolina.

– Ale na przykład mamy tu też do czynienia z pieniędzmi – rzucił komisarz i rozejrzał się po salonie.

– Pan naprawdę prowadzi śledztwo jak w sprawie morderstwa?

– Czy kiedykolwiek zastanawiała się pani nad życiem po śmierci? – spytał Erlendur i usiadł w fotelu.

– Nie, a dlaczego?

– Maria się zastanawiała – wyjaśnił komisarz. – Bardzo mocno. Można by rzec, że w tygodniach poprzedzających jej śmierć o niczym innym nie myślała. Usiłowała znaleźć odpowiedź, kontaktując się z medium. Coś pani dzwoni?

– Wiem, co to medium – przyznała Karolina.

– Wiemy o jednym, które odwiedziła. Mężczyzna nazywa się Andersen. Dostała od niego nagrania i zabrała je z sobą do domu. Wiemy też, że poszła do innego medium, kobiety, której jeszcze nie udało mi się odnaleźć. Ma na imię, czy też raczej każe sobie mówić, Magdalena. Kojarzy ją pani może?

– Nie.

– Chętnie bym się z nią spotkał – dodał Erlendur.

– Nigdy w życiu nie byłam u medium – odparła Karolina.

Erlendur patrzył na nią długo i zastanawiał się, czy powinien zdradzić swoje podejrzenia co do wydarzeń w domku zamiast kluczyć. Miał hipotezę, ale brakowało mu dowodów. Wielokrotnie zastanawiał się nad innymi możliwościami, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Wiedział, że nadszedł czas, aby coś z tą sprawą począć, by ruszyć z miejsca, lecz wahał się, ponieważ nie miał nic namacalnego. W większości były to podejrzenia oparte na wątplych podstawach, które łatwo było obalić. Z czasem prawdopodobnie byłby w stanie przedstawić jakieś dowody, ale ta sprawa już go tak zmęczyła, że chciał się jej pozbyć, chciał zająć się czymś innym.

– Czy grała pani kiedykolwiek medium? – zapytał.

- Na scenie czy grałam? Nie, nigdy – odpowiedziała Karolina.
  - Nie zna pani medium o imieniu Magdalena?
  - Nie.
  - Tym samym co postać, którą odgrywała pani na scenie?
  - Nie. Nie znam żadnej Magdaleny.
  - Kazałem to sprawdzić – oznajmił jej Erlendur. – Nie ma medium o imieniu Magdalena w Reykjavíku i okolicy.
  - A nie może pan powiedzieć wprost tego, co chce pan powiedzieć? Erlendur uśmiechnął się.
  - Może powinienem.
  - Koniecznie.
  - Powiem pani, co moim zdaniem się stało – powiedział. – Myślę, że Baldvin pchnął Marię do samobójstwa.
  - Tak?
  - Po śmierci matki była bardzo rozbita. Przez dwa lata towarzyszyła jej w walce o życie i pożegnała ją po wielkich cierpieniach i udęce. Zaczęła sobie wyobrazać różne rzeczy, oczekiwała na znaki, które matka miała jej dać, dowodzące, że jest bezpieczna albo że po tym życiu istnieje jakieś drugie życie, może lepsze od tego, w którym tkwimy tu, na tym łez padole. Nie trzeba było wiele, aby nią pokierować. Strasznie bała się ciemności, po śmierci matki zmieniła się w jeden wielki kłębek nerwów, pragnęła wiedzieć, że matka czuje się lepiej w lepszym świecie. Miała wykształcenie historyczne, ale tu nie chodziło o żadne logiczne argumenty, ale o głęboką wiarę, nadzieję i miłość. Zaczęła sobie wyobrazać różne rzeczy. Leonora objawiła się jej w domu w Grafarvogur. Maria szukała pomocy u medium. Ciekawe, czy pani miała z tym coś wspólnego? Z nakłanianiem jej do tego czynu?
  - O co panu chodzi? Ma pan na to jakieś dowody?
  - Żadnych – przyznał Erlendur. – Dobrze to zorganizowaliście.
  - A dlaczego, na Boga, mielibyśmy coś takiego zrobić?
  - Bo chodzi o wielkie pieniądze. Baldvin jest zadłużony i raczej nie zdoła tego spłacić pomimo przyzwoitej pensji lekarskiej. Uwalniacie się od Marii i żyjecie w dostatku do końca waszych dni. Znam morderstwa popełniane dla znacznie mniejszych kwot.
  - Nazywa to pan „morderstwem”?
  - Bo nie wiem, jak można inaczej. Kiedy się tak nad tym zastanowić. Czy pani to Magdalena?
- Karolina długo patrzyła na Erlendura z grobową miną.
- Myślę, że czas już na pana – powiedziała w końcu.

– Czy powiedziała jej pani coś, co mogło uruchomić ciąg wydarzeń prowadzących do jej samobójstwa?

– Nie mam nic więcej do dodania.

– Czy ma pani jakiś udział w śmierci Marii?

Karolina podniosła się. Poszła do przedpokoju i otworzyła drzwi.

– Proszę wyjść – warknęła.

Erlendur także wstał i poszedł za nią.

– Uważa pani, że miała choćby najmniejszy udział w tym, jak Maria zakończyła życie? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Karolina. – Ona nie czuła się dobrze. Popełniła samobójstwo. Wyjdzie pan wreszcie?

– Czy Baldvin kiedykolwiek opowiedział pani o eksperymencie, który przeprowadził, gdy studiował medycynę? Brał udział w doświadczeniu polegającym na tym, że wprowadzono młodego człowieka w stan śmierci klinicznej, a potem przywrócono go do życia. Wiedziała pani o tym?

– O czym pan mówi?

– Myślę, że to był ostateczny argument – powiedział Erlendur.

– Co?

– Proszę spytać Baldvina, czy zna człowieka imieniem Tryggvi. Czy ma z nim dziś jakiś kontakt. Proszę go zapytać.

– Może pan w końcu wyjdzie? – rzuciła Karolina.

Erlendur stał w drzwiach i nie miał zamiaru się poddawać. Karolina zaczerwieniła się.

– Jestem przekonany, że wiem, co się stało tam w domku – oświadczył komisarz. – I nie jest to chlubna historia.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Karolina wypchnęła go za drzwi, ale Erlendur stawiał opór.

– Proszę powiedzieć Baldwinowi, że wiem o defibrylatorze. – Komisarz zdążył to powiedzieć, zanim drzwi się zatrzasnęły.

Erlendur siedział w ciemnościach i czekał niepewny.

Obudził się wczesnym rankiem. Poprzedniego wieczora zajrzała do niego Eva Lind. Rozmawiali na temat Valgerdur. Wiedział, że Eva nie darzy jej sympatią, a jeśli czasem zdarzało się jej zobaczyć auto Valgerdur na parkingu przez blokiem Erlendura, czekała, aż kobieta od niego wyjdzie, i dopiero wtedy pukała do drzwi.

– Dlaczego nie możesz traktować jej normalnie? – zapytał Erlendur córkę. – Kiedy z nią rozmawiam na twój temat, zawsze bierze cię w obronę. Mogłybyście być dobrymi przyjaciółkami, gdyby chciało ci się ją poznać.

– Nie interesuje mnie to – oparła Eva Lind. – Nie interesują mnie kobiety twojego życia.

– Kobiety? Nie ma żadnych kobiet. Jest Valgerdur i koniec. Nigdy nie było żadnych kobiet.

– Wyluzuj – uspokoiła go Eva Lind. – Masz kawę?

– Czego chcesz?

– Tak tylko, nudzę się.

Erlendur usiadł w swoim fotelu. Eva Lind leżała na sofie naprzeciw niego.

– Chcesz tu spać? – spytał Erlendur i zerknął na zegarek. Było już dobrze po północy.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Przeczytałbyś mi jeszcze raz o twoim bracie?

Erlendur długo przyglądał się córce, nim wstał i podszedł do regału. Wyciągnął książkę, wrócił na miejsce i zaczął czytać na temat tamtych wydarzeń i ojcowskiej beczynności i jak to jego samego opisano jako samotnego i przygaszonego, i jak poszukiwał ciała swego brata. Skończywszy lekturę, Erlendur przeniósł wzrok na córkę. Sądził, że zasnęła. Odłożył książkę na stolik koło fotela i siedział z dłońmi na kolanach, rozmyślając na temat wściekłości swojej matki wobec autora. Tak minęła długa chwila, dopóki westchnienie Ewy Lind nie przerwało ciszy.

– Od tamtego czasu próbujesz utrzymać go przy życiu – powiedziała.

– Nie wiem, czy...

– Czy nie nadszedł czas, by umarł?

Eva Lind otworzyła oczy, odwróciła głowę i długo patrzyła na ojca.

– Czy nie czas, byś pozwolił mu umrzeć?

Erlendur milczał.

– Dlaczego się wtrącasz? – zapytał wreszcie.

– Dlatego że cierpisz, z pewnością bardziej niż nie- raz ja – powiedziała Eva Lind.

– Nie wiem, czy powinno cię to w ogóle obchodzić – zauważył Erlendur. – To jest moja sprawa. Robię to, co muszę robić.

– Jedź tam na wschód czy gdzieście się urodzili. Jedź tam i zrób, co musisz zrobić. Uwolnij się od niego. Bądź wolny. Zasługujesz na to po tych wszystkich latach. On też. Pozwól mu umrzeć. Zasługujesz na to i on na to zasługuje. Musisz się uwolnić od tego ducha.

– Dlaczego się wtrącasz?

– I to mówi ten, kto nigdy człowiekowi nie daje spokoju.

Milczeli długo, dopóki Eva Lind nie spytała, czy może spać na sofie, bo nie chce jej się wracać do domu.

– Proszę bardzo – zgodził się Erlendur. – Śpij.

Wstał, żeby pójść do sypialni.

– Jeśli kiedykolwiek tego potrzebowałam, to już dawno to zrobiłam – powiedziała nagle Eva i odwróciła do kąta.

– Czego potrzebowałaś?

– Wybaczyc ci – wyjaśniła.

Warkot samochodu zajeżdżającego przed dom wyrwał Erlendura z zamyślenia. Drzwi się otworzyły i usłyszał, jak ktoś wysiada na żwirowy podjazd i idzie w stronę szopy. Światło dzienne sączyło się przez dwa małe okienka na bocznych ścianach, oświetlając unoszący się kurz. Widział przez nie słońce przeglądające się w gładkiej tafli jeziora Thingvallavatn pogrążonego w jesiennej ciszy. Otworzyły się drzwi. Baldvin wszedł do środka i zamknął za sobą. Minęło trochę czasu, nim zaświeciła się żarówka u sufitu. Zrazu Baldvin go nie zauważył i Erlendur obserwował, jak czegoś szuka, widział, jak schyla się i prostuje z defibrylatorem w rękach.

– A już zacząłem wątpić w to, że się zjawisz – powiedział komisarz, wychodząc w światło z kąta, w którym się zaczął.

Baldvin się wystraszył i omal nie wypuścił urządzenia z rąk.

– Do diabła, aleś mnie wystraszył – jęknął, po czym się opanował i usiłował okazać komisarzowi zarówno złość, jak i oburzenie. – Co...? Co to ma znaczyć? Co pan tu robi?

– Czy nie należałoby raczej zapytać, co pan tu robi? – spytał spokojnie komisarz.

– Ja... to mój domek... jak to, co ja tu robię? To nie pańska sprawa. A może by pan... dlaczego mnie pan prześladowa?

– Zacząłem się już martwić, że się pan nie zjawi – powtórzył Erlendur. – Ale nie mógł pan dłużej wytrzymać i postanowił zabrać defibrylator w bezpieczne miejsce. Sumienie zaczęło gryźć. Może już nie jest pan taki pewien, jak do tej pory, że ujdzie to panu na sucho.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju?

– Z powodu Marii. Nawiedza mnie jak stary duch. Jest wiele spraw dotyczących pańskiej żony, o których wydaje mi się, że powinienem z panem porozmawiać. Pytań, które z pewnością sama chciałaby panu zadać.

– Co pan bredzi? To pan wyłamał kłódkę na drzwiach?

– Kilka dni temu – przyznał Erlendur. – Kiedy postanowiłem uzupełnić braki.

– Co to za brednie? – miotał się Baldvin.

– Miałem nadzieję, że pan mi to wyjaśni.

– Sprzątam hangar – powiedział Baldvin.

– Oczywiście. I jeszcze jedno. Dlaczego użył pan wody z jeziora do jacuzzi?

– Słucham?

– Pobrałem próbkę z jacuzzi, z odpływu. Woda dla domku pobierana jest zestudni. Jest ogrzewana elektrycznie poza domkiem i potem dopiero wpływa do rur. Skąd więc się wzięły drobinki lodu z jeziora w jacuzzi?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – bronił się Baldvin. – My... czasem latem pluskamy się w jeziorze, a potem idziemy do jacuzzi.

– Tak, ale ja mówię o większej ilości wody. Sądzę, że jacuzzi zostało napełnione wodą z jeziora aż po brzegi – zauważył Erlendur.

Baldvin wciąż trzymał defibrylator i zaczął się wycofywać z szopy. Chciał włożyć defibrylator do bagażnika. Erlendur poszedł za nim i wyjął mu urządzenie z rąk. Lekarz nie oponował.

– Rozmawiałem z lekarzem – powiedział Erlendur. – Spytałem, jak można wywołać śmierć kliniczną tak, aby nikt tego nie zauważył. Powiedział, że do tego trzeba woli i dużo zimnej wody. Pan jest lekarzem. Zgadza się pan z tym, co tamten lekarz powiedział?

Baldvin stał przy bagażniku. Milczał.

– Czyż nie taką metodę zastosowaliście niegdyś wobec Tryggvego? – spytał komisarz. – Nie mógł pan podać Marii leków. Wydałoby się, prawda? Gdyby przeprowadzono sekcję. Wolno było panu użyć jedynie drobnej dawki środka nasennego, aby uśmierzyć zimno.

Baldvin zatrzasnął klapę bagażnika.

– Nie wiem, o czym pan mówi – powtórzył wściekły. – I sędzę, że pan też nie wie. Maria się powiesiła. Nie spała w jacuzzi, jeśli pan to sobie wyobraża. Niech pan się nie kompromituje!

– Wiem, że się powiesiła – przyznał Erlendur. – Ale chcę się dowiedzieć: dlaczego. I jak udało się panu i Karolinie nakłonić ją do tego.

Baldvin najwyraźniej chciał stamtąd odjechać, żeby nie słuchać Erlendura. Podszedł do drzwi po stronie kierowcy, otworzył je i już chciał wsiąść, ale zawahał się przez moment i odwrócił do Erlendura.

– Mam już tego wszystkiego dosyć – burknął rozjuszony i zatrzasnął drzwi. – Dostyc tego cholernego prześladowania. Czego pan chce?

Ruszył w stronę Erlendura.

– To sprawa z Tryggvim podsunęła panu pomysł, prawda? A ja chcę się dowiedzieć, jak udało się wam wciągnąć w to Marię?

Baldvin patrzył na komisarza wściekły. Erlendur także patrzył na niego.

– My? – spytał Baldvin. – Jacy my?

– Pan i Karolina.

– Oszalał pan?

– Dlaczego tak nagle przypomniał pan sobie o defibrylatorze? – zapytał Erlendur. – Leżał tu spokojnie od chwili śmierci Marii. Dlaczego teraz chce go pan stąd zabrać?

Baldvin nie odpowiedział.

– Czy dlatego, że wspomniałem o tym Karolinie? Przestraszył się pan? Przyszło panu do głowy, że najlepiej się go pozbyć?

Baldvin nadal patrzył na niego bez słowa.

– Może usiądziemy na chwilę w domku? – zaproponował Erlendur. – Zanim zadzwonię po moich ludzi.

– I jakie ma pan dowody? – zainteresował się Baldvin.

– Jedyne, co mam, to okropne podejrzenia. I mam wielką ochotę je potwierdzić.

– I co dalej?

– Co dalej? Nie wiem. Pan wie?

Baldvin milczał.

– Nie wiem, czy da się oskarżyć ludzi o pomoc w samobójstwie albo świadome podżeganie do odebrania sobie życia – powiedział komisarz. – A pan i Karolina to zrobiliście. Zorganizowaliście to z zimną krwią. Pewno pieniądze odegrały ważną rolę. To wielkie pieniądze, a pan ma problemy z wypłacalnością. A do tego jeszcze Karolina. Gdyby tylko udało się namówić

Marię na śmierć, odziedziczyłby pan wszystko.

– Co mi pan insynuuje?

– Świat jest brutalny.

– Nie może pan niczego udowodnić – powiedział Baldwin. – To wszystko brednie!

– Proszę powiedzieć, co się stało. Gdzie się to wszystko zaczęło?

Baldvin znów się wahał.

– Uważam, że mniej więcej wiem, co się stało – oznajmił mu Erlendur. – Jeśli nie było tak, jak uważam, możemy o tym porozmawiać. Ale musi pan podjąć rozmowę. Innej możliwości nie widzę. Niestety.

Baldvin nie ruszył się. Milczał.

– Gdzie to się zaczęło? – powtórzył Erlendur i wyjął telefon. – Albo mi to pan teraz powie, albo za kilka godzin roić się tu będzie od policji.

– Maria powiedziała, że chce przejść na drugą stronę – odezwał się Baldwin cichutko.

– Na drugą stronę?

– Po śmierci Leonory – wyjaśnił Baldwin. – Chciała przejść przez wielką rzekę, gdzie miała nadzieję ją spotkać. Poprosiła mnie o pomoc. Nic więcej.

– Wielką rzekę?

– Muszę to jeszcze panu wyjaśnić?

– I co?

– Wejdźmy do środka – powiedział Baldwin. – Opowiem panu o Marii, jeśli potem da nam pan spokój.

– Był pan w domku, kiedy umarła?

– Niech się pan uspokoi – powiedział Baldwin. – Opowiem panu, jak było. Najwyższy czas, żeby pan to usłyszał. Nie mam zamiaru umniejszać swojej winy. Nie byliśmy wobec niej uczciwi, ale ja jej nie zabiłem. Nie potrafiłbym. Nigdy. Może mi pan wierzyć.



Weszli do domku i usiedli w kuchni. Wnętrze było wychłodzone. Baldwinowi nie chciało się podkrecać temperatury, nie miał zamiaru zostać tu na dłużej. Zaczął snuć swoją opowieść, jasno i w sposób uporządkowany. Opowiedział, jak poznał Marię na uniwersytecie, o wspólnym z Leonorą mieszkaniu w Grafarvogur i o dwóch ostatnich latach pożycia z Marią, już po śmierci matki. Erlendur odnosił momentami wrażenie, jakby opowieść była z góry przygotowana, ale poza tym brzmiała wiarygodnie, a opowiadający był szczery.

Baldvin romansował z Karoliną od kilku lat. Kiedy studiowali w szkole aktorskiej, przez jakiś czas byli razem, ale nic z tego nie wyszło. Baldwin ożenił się z Marią, Karolinie różnie się układało – to bywała w związkach, to znów mieszkała sama. Jej najdłuższy związek z mężczyzną trwał cztery lata. Spotkała Baldvina i odnowili swoją znajomość, o czym Maria nie wiedziała. Spotykali się potajemnie, z różną częstotliwością, ale nigdy rzadziej niż raz w miesiącu. Żadne z nich nie chciało pogłębiać związku, dopóki na krótko przed zdiagnozowaniem u Leonory raka nie zaczęła o tym wspominać Karolina. Chciała, żeby Baldwin rozwiódł się i zamieszkał z nią. On nigdy nie oponował. Wspólne mieszkanie z teściową źle wpłynęło na jego związek małżeński. Coraz częściej mówił Marii, że nie ożenił się z jej matką i nigdy nie miał takiego zamiaru.

Wraz z chorobą Leonory Maria jakby straciła grunt pod nogami. Jej życie uległo zmianom na skutek zmian w życiu matki. Nie opuszczała chorej. Baldwin przeniósł się do pokoju gościnnego, a Maria spała obok umierającej. Odłożyła na bok wszystko, nad czym pracowała, zerwała większość kontaktów z przyjaciółmi i odizolowała się w domu. Któregoś dnia skontaktował się z nimi deweloper. Dowiedział się, że Leonora i Maria posiadają kawałek ziemi w Kopavogur, i chciał go od nich odkupić. W mieście zaczął się boom inwestycyjny i ceny działek poszybowały w górę. Owszem, mieli tę ziemię, ale nigdy nie przeszło im przez myśl, że jest coś warta, właściwie zapomnieli o niej. Tymczasem deweloper zgłosił się z ofertą. Kwota, jaką chciał zapłacić, przyprawiała o zawrót głowy. Baldwin takich kwot nie widywał nawet na papierze. Maria zachowała spokój. Nigdy nie zaprzętały jej sprawy materialne, a teraz nic jej nie obchodziło poza matką. Sprzedażą zajął się Baldwin. Skontaktował się z prawnikiem, który pomógł

wynegocjować cenę i warunki umowy, przygotował papiery i potwierdził je notarialnie. Nagle stali się bogatsi, niż Baldwin mógłby marzyć w najśmielszych snach.

Im bardziej matka była chora, tym bardziej Maria się izolowała, a przez ostatnie dni w ogóle nie opuszczała jej pokoju. Leonora chciała umrzeć w domu. Lekarz regularnie przychodził i robił zastrzyki z morfiny. Innym nie wolno było jej odwiedzać. Kiedy Leonora odeszła, Baldwin siedział sam w kuchni. Usłyszał rozpaczliwy płacz Marii, dochodzący z pokoju, i wiedział, że jest już po wszystkim.

Przez całe tygodnie Maria była nie do życia. Opowiedziała Baldwinowi, na co się z matką umówiły tuż przed śmiercią. Leonora miała jej dać znak z zaświatów, jeśli istnieje życie po śmierci.

– Czyli powiedziała panu o Prouście? – Erlendur przerwał opowieść.

Baldvin zaczerpnął powietrza.

– Była w fatalnym stanie, pod wpływem leków znieczulających, psychotropów, i od razu o tym zapomniała – odparł. – Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem. Niektóre rzeczy były nawet obrzydliwe, wiem o tym, ale to było, minęło i nie da się tego naprawić.

– Zaczęło się od Prousta, czy tak?

– *W poszukiwaniu straconego czasu* – odparł Baldwin. – Tytuł się zgadzał. Zawsze odnosiłem wrażenie, że one jakby poszukują straconego czasu. Nigdy tego nie rozumiałem.

– Co pan zrobił?

– Pewnej nocy minionego lata wyciągnąłem pierwszy tom z półki i położyłem na podłodze.

– Czy już wtedy postanowiliście coś zrobić z Karoliną?

– Tak – powiedział Baldwin cicho. – Wtedy to się zaczęło.

Nie odsłonił zasłon i dlatego w domku było zimno i ciemno. Erlendur patrzył na salon, w którym Maria zakończyła swe życie.

– To był pomysł Karoliny?

– Zaczęła rozważać taką możliwość. Była gotowa posunąć się o wiele dalej niż ja. Uważałem... byłem gotów pomóc Marii, jeśli chciała poznawać te rejony, życie po życiu, ciąg dalszy, jeśli chciała dowiedzieć się, co jest po drugiej stronie. Wiele razy o tym rozmawiała, zarówno ze mną, jak i o wiele częściej z Leonorą. Znajdowała jakieś wielkie pocieszenie w życiu po życiu. Pocieszenie w tym, że nasz ziemski byt to nie koniec wszystkiego. Obie bardzo trzymały się myśli, że to dopiero początek czegoś. Czytała książki. Penetrowała internet. Bardzo dokładnie wszystko studiowała.

- Ale pan nie chciał iść na całość, prawda?
- Nie, skądże. I nie zrobiłem tego.
- Ale wykorzystywaliście słabości Marii?
- To była gra nie fair, wiem – powiedział Baldwin. – Cały czas się z tym źle czułem.
- Ale nie na tyle, żeby tego nie robić?
- Nie mam pojęcia, co sobie wyobrażałem. Karolina bardzo nalegała. Nawet groziła. W końcu zgodziłem się spróbować. Zresztą sam byłem ciekaw. Co się stanie, jeśli Maria obudzi się z jakimiś obrazami z tamtej strony w głowie? Co, jeśli teorie na temat życia po śmierci są prawdziwe?
- A co, gdyby nie udało się jej panu wybudzić? – spytał Erlendur. – Co się dla pana liczyło? Pieniądze?
- Też – przyznał Baldwin. – To dziwne uczucie mieć w swoich rękach czyjeś życie. Wiedziałby pan, o czym mówię, gdyby pan był lekarzem. To poczucie wielkiej władzy.

Którejś nocy zakradł się do salonu i odszukał na półce *W stronę Swanna* Marcela Prousta. Ostrożnie położył tom na podłodze. Maria spała w łóżku. Dał jej nieco większą dawkę leków usypiających niż zwykle. Dał jej także inne leki, o których nie miała pojęcia, środki wpływające na jej psychikę i mogące doprowadzić ją do szaleństwa. Maria ufała mu w kwestii leków. Był jej mężem. I był lekarzem.

Wrócił do łóżka i położył się obok niej. Karolina zaproponowała, że w ich spisku odegra rolę medium. Baldwin miał nakłaniać żonę do rozmowy z dobrym medium, o którym słyszał w pracy, z niejaką Magdaleną. Wiedzieli, że Maria nie będzie o nic pytać. Nie mogła niczego podejrzewać. Ślepo wierzyła Baldwinowi.

Była niemal zbyt łatwą ofiarą.

Źle spał i rano obudził się przed nią. Wstał z łóżka i przyglądał się śpiącej. Tak spokojnie nie spała od wielu tygodni. Wiedział, że kiedy Maria się przebudzi i pójdzie do salonu, przeżyje szok. Już dawno przestała przesiadywać przed półkami, nie gapiła się na książki, ale zauważył, że nadal kilka razy dziennie kieruje w tę stronę wzrok. Czekala na znak od Leonory i teraz go otrzyma. Będzie zbyt podniecona, by podejrzewać Baldvina. Wątpił, by pamiętała, że mówiła mu o książce. A tu będzie miała dowód.

Czule obudził Marię i poszedł do kuchni. Słyszał, jak wstaje. Była sobota. Nie minęło wiele czasu i pojawiła się w drzwiach kuchennych.

– Chodź – powiedziała. – Zobacz, co znalazłam!

– Co? – spytał Baldwin.

– Zrobiła to! – szepnęła Maria. – To jest znak. Mama mówiła, że weźmie tę książkę. Teraz leży na podłodze. Książka leży na podłodze! Ona... przekazuje mi wiadomość.

– Mario...

– Nie, serio.

– Mario... nie powinnaś...

– Co? – Znalazłaś książkę na podłodze?

– Tak.

– To jest oczywiście...

– Zobacz, gdzie się otworzyła – powiedziała Maria i zaprowadziła go do leżącej na podłodze otwartej książki.

Głośno przeczytała słowa z książki. Wiedział, że to czysty przypadek, że książka otworzyła się akurat w tym miejscu, kiedy kładł ją na podłodze.

„Las jest już czarny, błękitne jeszcze niebo”.

– Nie uważasz, że to pasuje? – spytała Maria. – Las jest już czarny, błękitne jeszcze niebo. To jest ten przekaz.

– Mario...

– Przekazała mi wiadomość, tak jak obiecała. Przekazała mi wiadomość.

– To jest oczywiście... To niewiarygodne. Przecież o tym rozmawialiście i...

– Dokładnie tak jak powiedziała. Właśnie to obiecała zrobić.

Łzy napłynęły Marii do oczu. Baldwin ją objął i posadził w salonie. Była bardzo wzburzona, balansowała między smutkiem a radością, ale w kolejnych dniach po raz pierwszy od dłuższego czasu odnalazła spokój, ukojenie, którego od tak dawna pragnęła.

W jakiś tydzień później Baldwin zapytał swoją żonę zniecacka:

– Może to powód, żeby odwiedzić medium?

Niedługo potem Karolina przyjęła ją w mieszkaniu swojej koleżanki, która akurat przebywała na Wyspach Kanaryjskich. Maria nie miała bladego pojęcia, że Baldwin i Karolina byli razem w szkole aktorskiej, nie mówiąc o ich obecnym romansie. Nigdy też nie spotkała Karoliny. Maria raczej nie znała znajomych Baldvina z czasów aktorskich.

Karolina zapaliła kadzidełko, włączyła spokojną muzykę, na ramiona narzuciła stary szal. Świetnie się czuła w tym przebraniu, z przyjemnością ucharakteryzowała się, malując cienie pod oczami, szerokie brwi, wyostrzając rysy twarzy i używając jaskrawoczerwonej szminki. Przećwiczyła to z Baldwinem, który udzielił jej wielu informacji mogących się przydać

podczas seansu. Zdradził niejedno z młodości Marii, trochę z ich wspólnego z Marią pożycia, powiedział także o jej bliskich związkach ze zmarłą matką, o Marcelu Prouście.

– Czuję, że nie jest ci dobrze – powiedziała Karolina, kiedy usiadły i seans miał się zacząć. – Masz... cierpiałś, wielka twoja strata.

– Moja matka niedawno zmarła – powiedziała Maria. – Byłyśmy ze sobą bardzo blisko.

– I tęsknisz za nią.

– Straszliwie.

Karolina przygotowała się sumiennie i nawet po raz pierwszy w życiu wzięła udział w seansie spirytystycznym. Nie interesowało jej, co mówi medium, ale chłoneła jego sposób mówienia, ruch rąk, głowy i oczu, zwróciła też uwagę na oddech. Zastanawiała się, czy udawać, że wpadła w trans, kiedy siedziała u niej Maria, czy też postępować tak jak medium, które odwiedziła, czyli tylko siedzieć, wczuwać się i słuchać. Wiedziała wszystko o Leonorze, choć jej samej nigdy nie widziała. Baldwin pożyczył jej zdjęcie, które uważnie obejrzała.

Karolina postanowiła nie udawać transu.

– Czuję wielką bliskość – powiedziała.

Maria i Baldwin leżeli w łóżku w noc po seansie i Maria szczegółowo opowiadała mu o wszystkim, co się tam wydarzyło. Baldwin milczał dłuższą chwilę, gdy Maria skończyła swoją opowieść.

– Mówiłem ci kiedyś o swoim koledze z medycyny, który miał na imię Tryggvi? – rzucił i spojrzał na Marię.

Baldvin unikał wzroku siedzącego po przeciwnej stronie stołu kuchennego i słuchającego jego relacji Erlendura. To spoglądał obok niego na salon, to znów wbijał wzrok w blat stołu lub patrzył na ramiona komisarza. Nie spojrzawszy Erlendurowi w oczy, był spłoszony i zawstydzony.

– W końcu ze łzami w oczach błagała pana, żeby pozwolił jej dostać się na tamtą stronę – powiedział Erlendur, nie kryjąc pogardy.

– Ona... natychmiast podchwyciła pomysł – usprawiedliwił się Baldwin i znów wbił wzrok w blat.

– I w taki sposób mógłbyś zabić ją i nikt by tego nie zauważył.

– Taki był pomysł, przyznaję, ale potem nie mogłem. Jak doszło co do czego, to nie byłem w stanie. Nie miałem w sobie determinacji.

– Nie miał pan determinacji – rzucił Erlendur.

– To prawda, nie byłem w stanie zrobić ostatniego kroku.

– I cóż takiego się stało?

– Ja...

– No?

– Chciała, żeby to robić ostrożnie. Bała się śmierci.

– Czyż nie boimy się jej wszyscy? – spytał Erlendur.

Długo w noc leżeli w łóżku i rozważali możliwości wprowadzenia Marii w stan śmierci klinicznej, trwający na tyle długo, by mogła przejść na drugą stronę, ale na tyle krótko, by nic się jej nie stało. Baldwin opowiedział o eksperymencie, jaki jego koledzy z medycyny przeprowadzili na Tryggvim, jak umarł i jak go ożywili. On niczego nie pamiętał, nie miał żadnych wspomnień związanych ze śmiercią, nie widział żadnego światła, żadnych istot. Baldwin twierdził, że wie, co zrobić, żeby wprowadzić Marię w stan śmierci klinicznej, nie podejmując zbyt wielkiego ryzyka. Istniało oczywiście pewne zagrożenie, Maria powinna mieć świadomość tego, ale fizycznie jest zdrowa, więc nie ma się czego obawiać.

– A jak przywrócisz mnie do życia? – spytała Maria.

– Są takie leki – powiedział Baldwin – a poza tym jest jeszcze normalna metoda reanimacji: masaż serca i sztuczne oddychanie. Możemy użyć defibrylatora. Musiałbym go załatwić. Jeśli to zrobimy, musimy uważać, żeby

nikt się o tym nie dowiedział. To nie jest do końca legalne. Mógłbym stracić uprawnienia zawodowe.

– Tu byśmy to robili?

– Ja bym wolał w domku – powiedział Baldwin. – Ale to tylko takie gadanie. Przecież tego nie zrobimy.

Maria milczała. Baldwin wsłuchiwał się w jej oddech. Leżeli w ciemności i szeptali do siebie.

– Chciałabym tego spróbować – powiedziała Maria.

– Nie – bronił się Baldwin. – To zbyt ryzykowne.

– Ale dopiero co mówiłeś, że to nic trudnego.

– Tak, jeśli człowiek o tym mówi. Co innego rzeczywiście to zrobić.

Nie chciał brzmieć zbyt negatywnie.

– Ja chcę spróbować – powiedziała Maria zdecydowanie. – Dlaczego w domku?

– Nie, Mario, przestań o tym myśleć. Ja... to jest nierealne. Mam poważne wątpliwości.

– Oczywiście – powiedziała Maria. – Mogłabym przecież umrzeć i wtedy byś wpadł jak śliwka w kompot.

– To realne zagrożenie – tłumaczył Baldwin. – Nie wolno podejmować takiego ryzyka.

– Ale zrobiłbyś to dla mnie?

– Ja... nie wiem, ja... nie powinniśmy w ogóle o tym mówić.

– Mam ochotę to zrobić. Chcę, żebyś to dla mnie zrobił. Wiem, że dasz radę. Ja ci ufam, Baldwinie. Nikomu nie ufam bardziej niż tobie. Zrobisz to dla mnie?

– Mario...

– Możemy to zrobić. Wszystko będzie dobrze. Ufam ci, Baldwinie. Zróbmy to.

– A jeśli coś się nie uda?

– Jestem gotowa zaryzykować.

Cztery tygodnie później zajechali do domku nad jeziorem Thingvallavatn. Baldwin chciał mieć pewność, że nikt im nie przeszkodzi. Wpadł też na pomysł, że można wykorzystać jacuzzi na tarasie. Chcąc wychłodzić organizm, dopóki serce się nie zatrzyma, potrzebowali dużo bardzo zimnej wody. Baldwin znał kilka sposobów, ale ten uważał za najlepszy i najbezpieczniejszy. Powiedział, że ratownicy i członkowie ekip poszukiwawczych są szkoleni do ratowania ludzi w podobnych warunkach.

Czasem przecież znajdują ludzi, którzy leżeli w śniegu lub wodzie i wtedy trzeba szybko działać, jeśli nie ma być za późno; trzeba przywrócić temperaturę ciała za pomocą ciepłych koców, a jeśli serce się zatrzymało, należy użyć wszelkich metod, aby znów zaczęło bić.

Zaczęli od tego, że napełnili jacuzzi zimną wodą i lodem z jeziora. Lód i wodę nosili w wiadrach. Nie zajęło im to wiele czasu, bo do brzegu było kilka kroków. Było zimno, więc kazał Marii lekko się ubrać, aby przyzwyczaiła się do niskiej temperatury, kiedy znajdzie się w jacuzzi. Do tego zażyła jeszcze dwie słabe tabletki nasenne, które miały ją znieczulić na zimno.

Zanim powolutku usiadła w jacuzzi, zanuciła jeden psalm i pomodliła się chwilę. Zimno był strasznie, ale godnie to zniosła. Najpierw wolniutko weszła do wody, po kolana, potem po uda, potem po biodra i brzuch. Wreszcie usiadła i woda zakryła jej piersi, ramiona i szyję. Tylko głowa wystawała.

– W porządku? – spytał Baldwin.

– Jest... tak... zimno... – Maria westchnęła.

Nie była w stanie opanować dygotu. Baldwin uspokoił ją, że to zaraz minie, jak tylko organizm przestanie walczyć z zimnem. Wtedy będzie o krok od utraty przytomności. Zachce jej się spać i powinna się temu poddać.

– Z reguły ludzie mają ochotę walczyć z sennością – Baldwin uśmiechnął się – ale akurat nie w tej sytuacji. Chcesz zasnąć. I zaśnij.

Maria usiłowała się uśmiechnąć. Wkrótce przestała dygotać. Jej ciało zsiniało z zimna.

– Ja... muszę to... wiedzieć, Baldwinie.

– Tak.

– Ja... ci... ci... ufam – powiedziała.

Baldvin przyłożył stetoskop do jej piersi. Serce biło coraz wolniej. Maria zamknęła oczy.

Baldvin nasłuchiwał coraz słabszego bicia serca.

Potem się zatrzymało. Jej serce przestało bić.

Baldvin spojrział na zegarek. Odliczał sekundy. Mówili o jednej, może półtorej minuty. Baldwin uznał to za bezpieczne. Trzymał głowę Marii nad wodą. Mijały sekundy. Pół minuty. Czterdzieści pięć sekund. Każda sekunda ciągnęła się jak wieczność. Wskazówka prawie się nie poruszała. Baldwin robił się coraz bardziej nerwowy. Minuta. Minuta i piętnaście sekund.

Chwycił Marię pod pachy i sprawnie wyciągnął ją z wody. Owinął ją w wełniane koce i zaniósł do środka. Położył na podłodze przy największym kaloryferze. Nie dawała oznak życia. Zaczął robić jej sztuczne oddychanie,



a potem masować serce. Wiedział, że nie ma wiele czasu. Może za długo trzymał ją w wodzie. Dmuchał powietrze w płuca. Nasłuchiwał bicia serca. Znow zaczął masaż.

Przyłożył ucho do jej piersi.

Zacząło słabiutko bić. Masował całe ciało wełnianymi kocami i przysunął jeszcze bliżej do kaloryfera.

Serce biło coraz szybciej. Wciągnęła powietrze w płuca. Udało mu się wyrwać ją śmierci. Już nie była sina. Skóra lekko się zarumieniła.

Baldvin odetchnął, usiadł na podłodze i przez chwilę przyglądał się Marii. Wyglądała jak pogrążona w spokojnym śnie.

Potem otworzyła oczy. Lekko dezorientowana, patrzyła w sufit. Odwróciła głowę w stronę Baldvina i długo mu się przyglądała. On się uśmiechnął. Zaczęła strasznie się trząść.

– To... już po wszystkim? – spytała.

– Tak.

– Ja... ja ją... widziałam – powiedziała. – Widziałam... jak do mnie przyszła...

– Mario...

– Nie powinieneś był mnie budzić.

– Minęło więcej niż dwie minuty.

– Ona była... taka piękna – powiedziała Maria. – Jaka... ona była piękna. Ja... miałam ochotę... ją objąć. Nie powinieneś... mnie budzić. Nie miałeś... nie... mnie budzić.

– Musiałem.

– Nie... miałeś... mnie budzić.

Baldvin spojrzał z powagą na Erlendura. Wstał i zatrzymał się przy kaloryferze, przy którym Maria miała leżeć, kiedy zbudziła się po śmierci klinicznej w jacuzzi.

– Nie mogłem pozwolić jej umrzeć – powiedział. – To byłoby łatwe. Nie musiałem jej wybudzać. Mogłem położyć ją w pokoju i następnego dnia zostałaby znaleziona. Nikt nic by nie zauważył. Normalny zawał. Ale nie mogłem.

– Jaki pan szlachetny – zadrwił Erlendur.

– Była pewna, że po tamtej stronie coś jest – kontynuował Baldvin. – Powiedziała, że widziała Leonorę. Zaraz po wybudzeniu była bardzo słaba i położyłem ją do łóżka. Zasnęła i spała dwie godziny, a ja wylałem wodę z jacuzzi, wyczyściłem wszystko i zamknąłem klapę.

– To znaczy, że chciała ponownie przejść na tamtą stronę, tym razem na zawsze.

– Takiego dokonała wyboru – powiedział Baldwin.

– I co dalej? Co się stało, kiedy się obudziła?

– Rozmawialiśmy. Doskonale pamiętała, co się stało, kiedy przeszła na tamtą stronę, jak to określiła. Większość pokrywała się z ludzkimi relacjami, długi tunel, światło, oczekujący przyjaciele i rodzina. Uznała, że wreszcie odnalazła spokój.

– Tryggvi twierdził, że nic nie widział.

– Może człowiek powinien być jakoś na to nastawiony, nie wiem – powiedział Baldwin. – Tak to przeżyła Maria. Kiedy wróciłem do miasta, całkiem odzyskała równowagę.

– Przyjechaliście dwoma samochodami?

– Maria chciała zostać nieco dłużej, żeby dojść do siebie. Byłem z nią przez noc, po czym wróciłem do miasta w południe następnego dnia. Jak wiecie, zadzwoniła do mnie wieczorem. Wtedy już całkiem do siebie doszła i przez telefon brzmiała całkiem radośnie. Przed północą miała wrócić do domu. To była moja ostatnia rozmowa z nią. W ogóle nie dało się wyczuć, żeby miała zamiar sobie cokolwiek zrobić. Do głowy mi nawet nie przyszło, że odbierze sobie życie. Nawet o tym nie pomyślałem.

– Myśli pan, że wasz eksperyment miał na to wpływ?

– Nie wiem. Zaraz po śmierci Leonory odniosłem wrażenie, że jest do czegoś takiego zdolna.

– Uważa pan, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się stało?

– Oczywiście... oczywiście, że ponoszę. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność, ale to nie ja ją zabiłem. Nie potrafiłbym. Jestem lekarzem. Nie uśmiercam przecież ludzi.

– Nie było żadnych świadków waszego tutaj pobytu?

– Nie, byliśmy sami.

– Straci pan prawo do wykonywania zawodu.

– Tak, prawdopodobnie.

– Ale to panu nie przeszkadza, ponieważ dziedziczy pan po Marii?

– A myśl sobie pan, co chcesz. Mnie to nie interesuje.

– A Karolina?

– Co Karolina?

– Powiedział pan jej, że odstąpił od zamiaru?

– Nie, jeszcze z nią nie rozmawiałem... nie rozmawiałem z nią jeszcze, od kiedy dowiedziałem się, że Maria nie żyje.

Zadzwońiła komórka Erlendura. Wyciągnął ją z kieszeni płaszcza.

– Cześć, mówi Thorbergur – rozległ się głos w telefonie.

– Kto?

– Thorbergur. Nurek. Parę razy sprawdzałem już to jezioro. Teraz też tu jestem.

– Cześć, Thorbergurze. Przepraszam, ale byłem trochę rozkojarzony. Jakieś wieści?

– Myślę, że znalazłem coś, co cię zainteresuje. Zadzwońiłem już po dźwig i oczywiście po policję. Boję się tu robić cokolwiek bez was.

– Co znalazłeś?

– Samochód. Austin mini. Na środku jeziora. Nie znalazłem niczego w Sandkluftavatn i przyszło mi do głowy sprawdzić inne okoliczne jeziora. Był mróz, kiedy zaginęli?

– Tak, to znaczy niewykluczone.

– Wjechała na lód. Pokażę ci, jak się tu zjawisz. Jestem nad Uxavatn.

– A był ktoś w aucie?

– Dwa ciała. Wydaje mi się, że kobieta i mężczyzna. Nie do rozpoznania oczywiście, ale zdaje się, że to ci twoi.

Thorbergur zamilkł na chwilę.

– Zdaje się, że to ci twoi, Erlendurze.

Po drodze nad Uxavatn Erlendur zadzwonił do domu opieki, gdzie starszy pan oczekiwał na śmierć. Nie mogli go z nim połączyć. Nie wiadomo było, czy przeżyje noc. Jego odejście było kwestią godzin. Erlendur uzyskał połączenie z lekarzem dyżurnym, który powiedział mu, że starszemu panu zostało zaledwie kilka godzin, a może nawet minuty do końca życia. Nie da się tego przewidzieć, ale czasu jest coraz mniej.

Zaczął się zmierzchać, kiedy Erlendur przejechał swoim foldem Hofmannafłöt, potem Meyjarsaeti, następnie przejechał wzdłuż jeziora Sandkluftavatn i skręcił w lewo w kierunku Lundarreykjardalur. Zobaczył nieduży dźwig na północnym krańcu jeziora. Niedaleko stał dżip Thorbergura. Erlendur zaparkował na drodze i podszedł do nurka, który akurat zakładał butle z tlenem. Przygotowywał się do zejścia pod wodę z liną zakończoną hakiem.

– Miałem szczęście – powiedział Thorbergur, gdy się przywitali. – Właściwie to zawadziłem nogą o to auto.

– Myślisz, że to oni?

– W każdym razie ten sam samochód. I jest ich dwoje w środku. Próbowałem ich trochę oświetlić. To nie jest piękny widok, jak się domyślasz.

– Nie, oczywiście. Dziękuję, że to dla mnie zrobiłeś.

Thorbergur wziął od operatora dźwigu wielki hak i ruszył z nim do jeziora. Brodził, dopóki woda nie sięgnęła mu do pasa, wtedy zanurkował.

Erlendur i operator dźwigu czekali na brzegu na powrót Thorbergura. Operator był człowiekiem wysokim i szczupłym. Wiedział tylko tyle, że w jeziorze znajduje się samochód, a w nim dwa ciała. Usiłował wyciągnąć coś z Erlendura, lecz ten był oszczędny w słowach.

– To stara sprawa – powiedział tylko. – Stara, smutna sprawa, o której właściwie dawno zapomnieliśmy.

A potem pograżył się w milczeniu i obserwował jezioro w oczekiwaniu na wypłynięcie Thorbergura.

Wyjeżdżając od Baldvina, niezbyt serdecznie go pożegnał. Miał ochotę powiedzieć mu, jak bardzo się brzydzi tym, co zrobili on i Karolina, ale uznał, że nie zdałoby się to na nic. Ludzie postępujący w ten sposób zazwyczaj mimo uszu puszczają typu uwagi. Postępują według zupełnie innych standardów sumienia i moralności. Baldvin nie spytał, jaki będzie ciąg dalszy

sprawy, a Erlendur wciąż się wahał. Nie wiedział, w co ma wierzyć. Przed sądem Baldvin mógł wszystkiemu zaprzeczyć. Poza Erlendurem nie powiedział nikomu, co się naprawdę zdarzyło, i trudno byłoby komisarzowi cokolwiek udowodnić. Z powodu wprowadzenia Marii w stan śmierci klinicznej i wybudzenia jej, Baldvin prawdopodobnie straci prawo do uprawiania zawodu lekarza, ale w tej sytuacji nie miało to pewnie dla niego znaczenia. Trudno przesądzić, czy zostałby skazany. To oskarżyciel udowodnia winę, a śledztwo Erlendura nie dostarczyło twardych dowodów. Jeśli Baldvin zechce zmienić zeznania, stanąwszy w obliczu procesu, może zaprzeczyć, że podsycił pragnienie Marii do zapadnięcia w śmierć kliniczną. A cóż dopiero, że zamordował żonę. Erlendur mógł zrekonstruować wydarzenia popychające Marię ku samobójstwu, ale to byłby bardzo słaby dowód. Ludzi nie skazuje się za dokuczanie, niezależnie od tego, jakkolwiek niemoralne by było.

Zobaczył głowę Thorbergura wyłaniającą się z wody. Operator dźwigu natychmiast zareagował i wspiał się do kabiny. Thorbergur dał mu znak, by zaczął zwijać linę. Na drodze koło jeziora pojawiły się dwa radiowozy. Jechały szybko, błyskając niebieskimi światłami. Bęben zaczął się obracać. Gruba stalowa lina cal po calu zaczęła się na niego nawijać.

Thorbergur wyszedł na brzeg i zdjął sprzęt do nurkowania. Podeszedł do komisarza stojącego obok forda. Otworzył drzwi po stronie pasażera, aby wysłuchać wieczornych wiadomości.

– No to chyba jesteś zadowolony – powiedział Thorbergur.

– Nie wiem – odparł komisarz.

– Sam poinformujesz o tym krewnych?

– W jednym wypadku może być za późno – wyjaśnił Erlendur. – Matka chłopaka od jakiegoś czasu nie żyje, a ojciec jest umierający. Lekarze mówią, że może odejść w każdej chwili.

– To musisz się pospieszyć – zachęcił go Thorbergur.

– Żółty? – spytał komisarz.

– Samochód? Tak, żółty.

Dźwig zajęczał. Oba radiowozy zatrzymały się. Wyszło z nich czterech funkcjonariuszy i podeszli do nich.

– Masz zamiar to wyrzucić? – spytał Thorbergur.

Wskazał na defibrylator, który Erlendur położył na przednim siedzeniu pasażera w fordzie. Zabrał go z hangaru przy domku letniskowym Marii i Baldvina. Wrzucił go na siedzenie po rozmowie z Baldvinem.

– Nie – odpowiedział Erlendur. – To ma związek z inną sprawą.

– Nie narzekasz na brak roboty.

– Tak. Niestety.

– Dawno nie widziałem takiego złomu. Ktoś używa zepsutego defibrylatora?

– Tak – odparł Erlendur zamyślony.

Stalowa lina uderzyła o wodę i zaraz pojawił się dach auta.

– Nie, o co ci chodzi z tym zepsutym? – Erlendur spojrzał pytająco na Thorbergura.

– Co?

– Mówiłeś, że to urządzenie jest popsute?

– A nie widzisz?

– Nie, ja się na tym nie znam.

– To jest do niczego. No zobacz, ten przycisk jest zepsuty. I przewód, o, tutaj, na połączeniu z elektrodą. Tego się nie da używać.

– Ale...

– Co?

– Jesteś pewien?

– Całe lata pracowałem w straży pożarnej. To jest złom.

– On powiedział...

Erlendur patrzył na Thorberga.

– Nie da się tego użyć? – jęknął.

Bęben skrzypiał głośno. Austin wyłaniał się powoli z wody i wpełzał na brzeg. Operator zatrzymał bęben. Policjanci podeszli bliżej. Woda, piach i błoto wylewały się z auta, aż całkiem się nie opróżniło. Na przednich siedzeniach Erlendur zobaczył zarysy dwóch ciał. Samochód pokryty był szlamem i roślinnością wodną, tu i ówdzie po bokach prześwitywała żółta farba. Szyby pozostały całe, bagażnik się otworzył.

Erlendur usiłował otworzyć drzwi po stronie pasażera, ale się nie poddały. Przeszedł na stronę kierowcy i zauważył szczelinę w drzwiach. Były wygięte. Zobaczył dwa szkielety. Gudrun, zwana Duną, siedziała za kierownicą. Zorientował się po włosach. Spodziewał się, że obok niej siedzi David.

– Dlaczego drzwi są pocięte? – zapytał Thorbergura.

– Wiesz, w jakim stanie był ten samochód?

– Nie musiał być w dobrym.

– Nie mieli dużo czasu – wyjaśnił Thorbergur. – Ona próbowała otworzyć drzwi po swojej stronie, ale udało jej się to tylko do pewnego momentu. Po tej stronie obok samochodu znajdował się głaz. Pasażer najwyraźniej nie był w stanie otworzyć drzwi po swojej stronie. Może drzwi były zepsute. Korbki

do szyb pewno nie działały. Inaczej próbowaliby je otworzyć. To jest w takich okolicznościach podstawowa zasada. To auto było niezłym rękem.

– To znaczy, że siedzieli zatrzaśnięci w samochodzie?

– Tak.

– Podczas gdy życie z nich ulatywało.

– Miejmy nadzieję, że to nie trwało długo.

– W jaki sposób znaleźli się tak daleko na jeziorze? – spytał Erlendur, patrząc na Uxavatn.

– Jedyne logiczne wytłumaczenie, to to, że jezioro musiało być skute grubą warstwą lodu – odparł Thorbergur. – Że wjechała na lód. Niewykluczone, że dla zabawy. Dziewczyna musiała uważać, że dobrze zna to jezioro. I lód pękł. Woda była zimna. Jezioro jest dość głębokie w tym miejscu.

– I zginęli – podsumował Erlendur.

– Dziś o tej porze roku jest niewielki ruch, a co dopiero dwadzieścia lat temu – zauważył Thorbergur. – Nie ma nikogo. Takie przeręble szybko się zamykają, ślad po nich znika. No ale drogi musiały być przejezdne, skoro tu dojechali.

– A co to takiego? – Erlendur wskazał coś między fotelami.

– Można to obejrzeć? – spytał Thorbergur. – Nie trzeba wezwać techników?

Erlendur go nie słuchał. Ponad siedzeniem kierowcy sięgnął po to coś, co wzbudziło jego zainteresowanie. Ostrożnie wyjął przedmiot, który rozpadł mu się w rękach. Trzymał dwie części czegoś i pokazał Thorbergurowi.

– Co to takiego? – spytał nurek.

– Myślę, że to... myślę, że to książka – powiedział Erlendur, przyglądając się szczątkom.

– Książka?

– Tak. Najprawdopodobniej o okolicznych jeziorach. Chłopak kupił ją dla dziewczyny.

Erlendur oddał książkę Thorbergurowi.

– Muszę zdążyć do jego ojca, zanim będzie za późno. – Spojrzał na zegarek.

– Myślę, że ich znaleźliśmy, to raczej nie ulega wątpliwości. On musi się dowiedzieć, co się stało. Jego syn był zakochany. Nic więcej. Nie miał zamiaru zniknąć. To był wypadek.

Erlendur szybko podszedł do forda. Musiał się spieszyć, bo zanim dotrze do domu opieki, chciał odbyć jeszcze jedną wizytę i dotrzeć do prawdy.

*Była małą dziewczynką i siedziała sama na brzegu jeziora, wsłuchując się w szept wody. Była młodą kobietą i patrzyła na jezioro. Widziała jego piękno i blask*

bijący od tafl. Była starą kobietą, uklękła koło dziecka i znów była małym dzieckiem, słyszała szeptane słowa, a w słowach słyszała wybaczenie. Szept dochodził z jeziora i szept brzmiał: „Jesteś moim dzieckiem”.

Bardzo długo odzyskiwała przytomność, ogromnie zmęczona i rozbita, nie mogła nawet otworzyć oczu.

– Bald... vin – jęknęła. – To był wypadek. To, co się stało, kiedy tata umarł... to był wypadek.

Nie widziała Baldvina, ale czuła jego obecność.

Już nie było jej zimno. Czuła się, jakby ktoś zdjął z niej wielki ciężar. Wiedziała, co powinna zrobić. Chciała o tym powiedzieć. O wszystkim. O wszystkim, co się wydarzyło nad jeziorem. Wszyscy, którzy chcą słuchać, dowiedzą się, co się wydarzyło.

Czując, że już nie może złapać oddechu, chciała zawołać Baldvina. Coś ją uciskało, uciskało jej szyję.

Otworzyła oczy, szukając Baldvina, lecz nigdzie go nie widziała.

Bezsilna podniosła ręce do szyi.

– Tak nie wolno – szepnęła.

Tak nie wolno...



Erlendur wjechał w ślepią uliczkę w Grafarvogur i skierował się pod dom Baldvina. Zaparkował samochód na podjeździe do garażu i wysiadł z auta. Spieszył się. Nie miał pojęcia, czy słusznie robi; najchętniej pojechałby prosto do starszego pana, ale dręczyło go pytanie dotyczące defibrylatora, na które odpowiedzieć mógł jedynie Baldvin.

Nacisnął dzwonek i czekał. Zadzwoił jeszcze raz. Przy ulicy w pewnej odległości od domu zauważył zaparkowany samochód Karoliny. Kiedy zadzwonił po raz trzeci, usłyszał jakiś hałas za drzwiami i po chwili otworzył mu Baldvin.

- Jeszcze raz pan? – warknął.
- Mogę wejść? – zapytał Erlendur.
- Zdaje się, że już ten temat odfajkowaliśmy?
- Karolina jest u pana? – spytał komisarz.

Baldvin patrzył obok Erlendura, na samochód Karoliny. Potem skinął głową i wpuścił komisarza do środka. Zamknął drzwi za Erlendurem i zaprosił go do salonu. Karolina wyszła z sypialni, poprawiając włosy.

– Nie widzieliśmy powodu, żeby dłużej bawić się w ciuciubabkę – wyjaśnił Baldvin. – Powiedziałem już panu, co się stało. Karolina wprowadza się do mnie w przyszłym tygodniu.

– Nie musisz mu niczego mówić – odezwała się kobieta. – To nie jego sprawa.

– Słusznie. – Erlendur uśmiechnął się. Spieszył się do domu opieki, ale pilnował się, by zachować spokój. – Można by się jednak spodziewać, że będziecie bardziej ostrożni – dodał. – Że nie będziecie chcieli razem rzucać się w oczy.

– Nie mamy nic do ukrycia – powiedziała Karolina.

– Na pewno? – rzucił Erlendur.

– Co ma pan na myśli? – zainteresował się Baldvin. – Już panu powiedziałem, jak to wszystko wyglądało. Zostawiłem Marię żywą w domku.

– Wiem, co mi pan powiedział.

– To czego pan tu szuka?

– Bo wszystko pan zmyślił – powiedział Erlendur. – Przyszło mi do głowy, czy nie uda mi się namówić was, byście powiedzieli mi prawdę. Byłaby to jakaś odmiana.

– Nic nie zmyśliłem. – Baldwin oburzył się.

– A dlaczego niby miałyby zmyślać? – wtrąciła się Karolina. – Dlaczego mielibyśmy kłamać?

– Bo jesteście kłamcami – stwierdził Erlendur. – Okłamywaliście Marię. Przygotowaliście spisek. Zainscenizowaliście dla niej całe przedstawienie. I choć Baldwin twierdzi, że w ostatniej chwili się rozmyślił, to i tak jest przestępstwo. Okłamywaliście mnie od początku.

– To jakieś brednie – rzekł Baldwin.

– Jak pan to udowodni? – spytała Karolina.

Erlendur uśmiechnął się lekko i spojrzał na zegarek.

– Nie umiem – odparł.

– Czego pan chce?

– Chciałbym usłyszeć prawdę – powiedział Erlendur.

– Prawdę już panu powiedziałem – powtórzył Baldwin. – Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale nie zamordowałem Marii. Nie zabiłem jej. Popęłniła samobójstwo po moim wyjeździe do miasta.

Erlendur patrzył długo na Baldvina. Bez słowa. Baldwin spojrzał na Karolinę.

– Myślę, że pan to zrobił – powiedział Erlendur. – Zrobił pan więcej, niż tylko zachęcał ją do samobójstwa. To pan pozbawił ją życia. To pan założył jej pętlę na szyję. To pan umocował sznur do belki.

Karolina usiadła w fotelu. Baldwin stał w drzwiach do kuchni.

– Dlaczego pan tak mówi?

– Opletliście Marię siecią kłamstw i nadal kłamiecie. Nie wierzę w ani jedno wasze słowo.

– To nie pańska sprawa – zauważyła Karolina.

– Ależ nie, to moja sprawa – potwierdził Erlendur.

– Nie ma pan pojęcia...

– Jak pan sypia w nocy?

Baldvin nie odpowiedział.

– Jakie miewa pan sny, Baldwinie?

– Niech go pan zostawi w spokoju – powiedziała Karolina. – On nic zrobił.

– A mnie powiedział, że to pani go do tego nakłaniała. – Erlendur spojrzał na Karolinę. – Że to pani wina. Odniosłem wrażenie, że chce całą winę przerzucić na panią.

– On kłamie – wtrącił Baldur.

– Mówił, że to pani była mózgiem tego przestępstwa.

– Nie słuchaj go! – krzyknął Baldwin.

– Uspokój się – powiedziała Karolina i spojrzała na Baldvina. – Wiem, o co mu chodzi.

– Czyli to Baldwinowi bardziej zależało? – spytał komisarz.

– To się panu nie uda – oznajmiła Erlendurowi Karolina. – Baldvin może mówić, co chce.

– Tak, oczywiście – przyznał Erlendur. – Nie wiem, czy wierzyć choćby w jedno jego słowo. Na jego temat. Na pani temat. Marii.

– Pańska sprawa, w co pan wierzy – warknęła Karolina.

– Jesteście aktorami – zauważył Erlendur. – Oboje. Odgrywaliście swoje role przed Marią. Napisaliście sztukę. Wybraliście scenę. Wybraliście scenografię. Ona nigdy niczego by nie podejrzewała. Chyba że dowiedziałyby się o defibrylatorze.

– Defibrylatorze? – Karolina zdziwiła się.

– To miał być oczywiście tylko element scenografii – ciągnął komisarz. – To był, jak to się mówi, rekwizyt. Wcale nie miał działać. To nie miał być instrument ratujący życie. To urządzenie nigdy nie miało zostać użyte do ratowania życia Marii. Ot, drobny element scenografii, który umieściliście tam dla waszego jedyne go widza, dla Marii.

Karolina i Baldvin przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Baldvin spuścił wzrok.

– Defibrylator jest zepsuty. – Erlendur zwrócił się do Karoliny: – Dlatego musiał go zabrać z domku. Wykorzystał go, żeby Marię omamić. To miało dowieść, że nie kłamie, że zrobi wszystko co w jego mocy, aby zapewnić Marii bezpieczeństwo.

– A co pan tam wie? – oburzył się Baldvin.

– Uważam, że wiem jedno: to pan ją zabił. Pożądał pan pieniędzy, do których tylko ona miała dostęp. Chyba że zmarłaby przed panem. Miał pan romans z Karoliną, który utrzymywał pan przed Marią w tajemnicy; nie mógł się pan z nią rozwieść z powodu pieniędzy. Ale pragnął pan Karoliny. Spodziewam się też, że współzycie z Marią było na dłuższą metę męczące. Jej matka zawsze była w pobliżu, a nawet jak zmarła, i tak można było odnieść wrażenie, że wciąż tam jest. Maria o niczym innym nie myślała. Spodziewam się, że już dawno przestał się pan nią interesować i stanowiła dla pana tylko przeszkodę. Przeszkodę dla pana i dla was obojga.

– I potrafi pan jakoś udowodnić te brednie? – spytała Karolina.

– Była pani tutaj tamtego wieczoru, kiedy przyjechaliśmy poinformować go o śmierci Marii?

Karolina zawahała się przez moment, potem skinęła głową.

– Zdawało mi się, że zauważyłem jakiś ruch w oknie salonu, kiedy odjeżdżałem spod domu.

– Nie powinnaś była wtedy przyjeżdżać – Baldwin zwrócił się do Karoliny.

– Co się wydarzyło w domku?

– To, co panu powiedziałem – odpowiedział Baldwin. – Nic więcej.

– A defibrylator?

– Chciałem ją uspokoić.

– Spodziewam się, że większość z tego, co mi pan mówił na temat tego, co poprzedzało śmierć kliniczną, to prawda. I spodziewam się, że Maria sama tego chciała. Ale chciała też żyć. Dlatego spodziewam się, że wszystko to, co miało się wydarzyć po zatrzymaniu akcji serca, to kłamstwo.

Baldwin nie odpowiedział.

– Coś wymknęło się spod kontroli i uznał pan, że musi zainscenizować samobójstwo – kontynuował Erlendur. – Najschludniej byłoby, gdyby umarła tak, jak pan chciał i jak pan to szczegółowo zaplanował, w jacuzzi. Ale tak się nie stało, prawda?

Baldwin cały czas patrzył na niego i milczał.

– Popełnił pan jakiś błąd – ciągnął komisarz. – Wybudziła się ze śmierci klinicznej. Pewno wtedy zdążył pan Marię wyciągnąć z wody i położyć do łóżka. Udało się panu zatrzymać akcję serca. Nikt by niczego nie podejrzewał. Autopsja wykazałaby zawał, śmierć z przyczyn naturalnych. Jest pan lekarzem. Zna się pan na tym. Udało się panu. Maria połknęła przynętę. Jedyne, co musiał pan zrobić, to ją zawieść. Zawieść zaufanie żony. Zaufanie osoby niewinnej balansującej od dawna na krawędzi rozpacz. Niezbyt to honorowe, ale przecież żaden z pana bohater.

Karolina spuściła wzrok.

– Może położył ją pan do łóżka – powiedział Erlendur. – Przed ucieczką do miasta postanowił pan po raz ostatni sprawdzić puls. Wcześniej zadzwonił pan tutaj, gdzie zamiast pana telefon odebrała Karolina. Chciał pan, żeby wyglądało, że to Maria dzwoniła. Po raz ostatni sprawdził pan stan Marii i ku swemu przerażeniu stwierdził, że ona jeszcze żyje. Że nie umarła. Serce biło. Słabo, ale biło. Zaczęła oddychać. Mogła się obudzić.

Karolina słuchała Erlendura w milczeniu. Unikała jego wzroku.

– Może się obudziła. Może otworzyła oczy, jak to pan opisał, i była po tamtej stronie. Może coś zobaczyła, choć prawdopodobnie nie widziała nic. Może powiedziała panu coś na temat swojego doświadczenia, ale nie miała na to dużo czasu. Poza tym była wyczerpana.

Baldwin nie reagował.

– Może zorientowała się, co pan robi. Prawdopodobnie była zbyt osłabiona, aby walczyć. Nie zauważyliśmy żadnych oznak walki. Wiemy, że Maria zadławiła się, kiedy pętla zacisnęła się wokół jej szyi.

Karolina wstała i podeszła do Baldvina.

– Maria powoli gasła.

Objęła go i spojrzała na Erlendura.

– To było jakoś tak, prawda? – spytał Erlendur. – Czy to nie w ten sposób zmarła Maria?

– Sama tego chciała – odezwał się Baldwin.

– Może czegoś chciała, ale nie śmierci.

– Prosiła o to.

– I pan wyświadczył jej przysługę.

Baldvin patrzył obojętnie na komisarza.

– Myślę, że powinien pan stąd iść – powiedział.

– Powiedziała coś? – spytał Erlendur. – O Leonorze?

Baldvin kręcił głową.

– Coś o ojcu? – pytał dalej Erlendur. – Musiała powiedzieć coś o swoim ojcu.

– Niech pan wyjdzie – powtórzył Baldwin. – Ma pan omamy. Powinienem oskarżyć pana o prześladowanie.

– Nic nie powiedziała o ojcu? – powtórzył komisarz.

Baldvin nie odpowiedział.

Erlendur długo im się przyglądał. Potem ruszył w stronę przedpokoju.

– I co teraz? – spytała Karolina. – Co ma pan zamiar z tym zrobić?

Erlendur otworzył drzwi i odwrócił się.

– Wygląda na to, że wam się udało – powiedział.

– Co się udało? – spytał Baldwin.

– To, co zamierzaliście zrobić – wyjaśnił Erlendur. – Dobraliście się jak w korcu maku.

– Nic pan nie zrobi? – spytała Karolina.

– Niewiele mogę – powiedział komisarz i już chciał zamknąć za sobą drzwi.

– Złożę raport moim przełożonym, ale...

– Czekaj – wyrwał się Baldwin.

Erlendur odwrócił się.

– Wspomniała o ojcu – powiedział Baldwin.

– Tego się spodziewałem – powiedział Erlendur. – Pewno zrobiła to na sam koniec.

Baldvin skinął głową.

– Myślałem, że ona chce się skontaktować ze swoją matką, Leonorą – wyjaśnił.

– Ale się pan mylił, prawda? – zauważył Erlendur.

– Tak – przyznał Baldvin.

– Tęskniła za ojcem, prawda? – Erlendur drążył temat.

– Nie całkiem zrozumiałem to, co mówiła. Chciała, żeby jej wybaczył. Co miał jej wybaczyć?

– Tego pan nigdy nie zrozumie.

– Czego?

Baldvin wbił wzrok w Erlendura.

– Czy to... czy to... Maria? Była z nimi na łódce, kiedy zginął Magnus. Obwiniła siebie o to, co mu się stało?

Erlendur pokiwał głową.

– Nie mogliście znaleźć słabszej ofiary – powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Wbiegł do domu opieki na oddział, na którym przebywał starszy pan. Nie zastał go w pokoju i dowiedział się, że został przeniesiony do innej sali. Erlendur szybko tam poszedł. Wskazano mu łóżko. Staruszek leżał pod grubą kołdrą, spod której wystawała tylko głowa i wychudzona twarz. Kościste ręce spoczywały na kołdrze.

– Zmarł przed chwilą – powiedziała pielęgniarka, która przyprowadziła tu Erlendura. – Umierał spokojnie. Nigdy nie sprawiał żadnych kłopotów.

Erlendur usiadł przy łóżku i ujął dłoń starego w swoją dłoń.

– David był zakochany – powiedział cicho. – On...

Erlendur chwycił się za czoło. Oczami duszy widział, że kiedy już stało się jasne, że nie wydostaną się z samochodu, chwycili się za ręce, w pełni pogodzeni z losem, a życie w nich gasło i serca przestały bić w zimnej wodzie.

– Chciałem tu przyjść trochę wcześniej – powiedział.

Pielęgniarka cicho opuściła salę i zostali sami.

– Poznał dziewczynę. – Erlendur przerwał długą ciszę. – Nie umarł sam. To był wypadek. Nie popełnił samobójstwa. Nie był w depresji i nie cierpiał, kiedy umierał. Był szczęśliwy. Zakochał się w dziewczynie, którą niedawno poznał, i bawili się; była w nich jakaś radość, z pewnością byś to zrozumiał. Umarli razem. Był ze swoją dziewczyną i z pewnością powiedziałby wam o niej, gdy wróciliby do domu. Powiedziałby, że ona studiuje na uniwersytecie, jest fajna i bardzo interesuje się jeziorami. Że jest jego

dziewczyną. Jego dziewczyną na zawsze.

Stał przy ruinach dawnego domu rodzinnego i patrzył w stronę góry Hardskafi. Z powodu opadającej coraz niżej nad wody fiordu mgły nie widział jej dobrze. Ubrał się ciepło, miał na sobie stare buty trekkingowe, grube, ocieplane spodnie i kurtkę. Długo przyglądał się górze, milczący i poważny, nim wreszcie ruszył pieszo z laską i niewielkim plecakiem na ramionach. Wędrował spokojnie, otoczony milczącą naturą, która wokół kładła się do zimowego snu. Nie minęło wiele czasu i zniknął w gęstej mgle.



Przekład: Jacek Godek

Redakcja: Filip Modrzejewski  
Korekta: Małgorzata Denys  
Adiustacja: Aleksandra Wolińska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter  
Logo serii: Marek Goebel

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3305-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**